

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/528**

**1991**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

G. HÉRLING-GRUDZIŃSKI:

**PODRÓŻ DO POLSKI**

M. KOMAR: **STRONA GRANDIERA**

K. WOLICKI:

**CZASU MAŁO, PANIE PREZYDENCIE**

M. CZECH: **NIE TYLKO LWÓW I PRZEMYSŁ**

L. UNGER: **„ANTY-KULTURA”**

## SPIS RZECZY


Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą (Podróż do Polski, 8-31 maja 1991)</i> .....	3
Czesław Miłosz:	<i>W Wielkim Księstwie Sillicianii</i> .....	19
Michał Komar:	<i>Strona Grandiera</i> .....	34
<b>WIERSZE</b>		
Tomasz Jastrun:	<i>Dzień między wojnami; — Deszcz; — Bezszenność</i> .....	49
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Henry Kissinger:	<i>Pomagajmy Europie Wschodniej, nie Związкови Sowieckiemu</i> .....	51
Janusz Mondry:	<i>Rozwiązanie Ośrodka Badań Polski w Tokio</i> .....	57
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Lidia Ciołkoszowa:	<i>Jak było naprawdę?</i> .....	59
—	<i>Doroczne Sprawozdanie NED (Narodowego Funduszu Demokracji) w Stanach Zjednoczonych, 1.10.1989 — 30.9.1990</i> .....	64
Ks. Sławomir Blin:	<i>Apel z Mohyłowa</i> .....	67
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Czasu mało, panie prezydencie</i> .....	68
<b>SĄSIEDZI</b>		
Mirosław Czech:	<i>Nie tylko Lwów i Przemysł</i> .....	77
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	94
Sławomir Magala:	<i>Umiarkowany szok</i> .....	100
—	<i>Z działalności SPNP</i> .....	112
<b>KRONIKA KULTURALNA</b>		
M. Broński:	<i>Isaac Bashevis Singer, 1904-1991</i> .....	114
Alina Grabowska:	<i>Nomenklaturowy mutant</i> .....	119
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Józef Hen:	<i>Juliusz Stroynowski — czynny i uczynny</i> .....	127
—	<i>Wiktor Fay</i> .....	130
<b>KSIĄŻKI</b>		
Leopold Unger:	<i>„Anty-Kultura”</i> .....	131
Leszek Szaruga:	<i>Chaotyczne uwagi o poezji lat ostatnich</i> .....	144
Michał Heller:	<i>Koronny dowód</i> .....	150
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	153
<b>WOLNA TRYBUNA</b>		
Ewa M. Thompson:	<i>Dialog polsko-rosyjski</i> .....	155
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kroniki amerykańska, kanadyjska i norweska</i> .....	161
—	<i>Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim</i> .....	170
J. Boniecki, K. Górski, J. Józwicki, A. J. Matejko:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	171
—	<i>Wyjaśnienie Polskiego PEN Clubu</i> .....	174
—	<i>Nagrody</i> .....	175

VARSOVIE  
W6

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1991

**INSTYTUT**  **LITERACKI**

## WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

C.P. Czuchwicki, Panorama S.A., (Australia) po raz 19-ty ....	F. 200,00
R. Czyżewski, Chicago, IL (USA), po raz 3-ci — dol. US 50,00 .....	F. 290,00
Dla uczczenia pamięci Jarosława Pieniężnego, niezłomnego patrioty i wybitnego działacza polonijnego — Norbert Żaba — Krs 100,00 .....	F. 93,00
Dla uczczenia pamięci Stanisława Ludkiewicza, zmarłego w Sztokholmie w maju 1991r. — Karol Martel — Krs 100,00 .....	F. 93,00
Lech Krysiwicz, Montreal, PQ (Kanada), po raz 5-ty Dol. c. 50,00 .....	F. 255,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 3-i .....	F. 100,00
Maria i Bohdan Paczowscy, Luksemburg, po raz 3-i .....	F. 2.100,00
Krzysztof Sojka-Wilmański, Toronto, ON (Kanada), Dol. c. 45,00 .....	F. 230,00
Inż. Aleksander Wilk-Wilczyński, Vasteras (Szwecja) — dla uczczenia 20-tej rocznicy śmierci śp. dr med. Ewy Rajewskiej-Przesmyckiej, uczestniczki Powstania Warszawskiego, zmarłej w wrześniu 1971r. w Swindon (Anglia), której zawdzięczam ocalenie wraz z rodzicami w latach zagłady — Krs 500,00 .....	F. 465,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja) — dla uczczenia pamięci Szymona i Marii Konarskich w 10-tą rocznicę zgonu .....	F. 500,00

DZIĘKUJEMY!

Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) na:

— pomoc dla Polaków w Rosji (listy z 15.04.91 i z 21.05.91) po £stg 5,00 = £stg 10,00 .....	F. 100,00
— pomoc Litwinom w walce o wolność i niezależność od ZSSR — £stg 10,00 .....	F. 100,00

## Dziennik pisany nocą

(PODRÓŻ DO POLSKI, 8-31 MAJA 1991)

Piszę w drugiej połowie czerwca, a więc będą to (naśladując Dostojewskiego) „letnie zapiski o wiosennych wrażeniach”. Mój notes podróżny jest zbyt skąpy i wrywkowy, by z jego pomocą napisać zwykły dziennik. Miejsce datowanych zapisów muszą zająć luźne zapiski, powiązane bądź tematem, bądź etapem podróży.

Moje pierwsze kroki na ojczyściej ziemi okazały się „polityczne”, odsuwając raptownie na bok nostalgiczne uczucia (dość zrogowaciałe po pięćdziesięciu przeszło latach) i ich rozmaite pochodne, które ożyły podczas lotu z Rzymu do Warszawy. Po wylądowaniu i wyściskaniu siostry i przyjaciół znalazłem się natychmiast w specjalnej salce dworca lotniczego, gdzie obskoczyli mnie dziennikarze z radia i telewizji. Tam właśnie, w ich pytaniach, wtargnęła od razu i bez pardonu polityka. „Wybory prezydenckie skwitował pan w swoim dzienniku ostrą krytyką głównych protagonistów naszej sceny politycznej. Podtrzymuje pan tę krytykę?”. Odpowiedziałem że nie mam żadnego powodu wycofywać się z niej, po czym uzasadniłem ją krótko i jeszcze ostrzej. Wieczorem, ledwie skończył się dziennik telewizyjny, zatelefonował do mnie bliski mi człowiek, którego bardzo cenię. „Mój drogi, u nas (z naciskiem w głosie) nie mówi się tak ostro”. Co zabrzmiało przyjacielskim ostrzeżeniem, nieoczekiwanym doprawdy w jego ustach.

Przyjacielskie ostrzeżenie oznaczało, że inne są tutaj „reguły gry”, że — być może — trzeba wciąż pilnować granicy między

wypowiedzią prywatną, w czterech ścianach pokoju, i wypowiedzią publiczną. Czyli że wciąż, w warunkach odzyskanej wolności, wskazana jest ostrożność w wyrażaniu rzeczy szeroko odczuwanych. Nie mam bowiem wątpliwości, że nie byłem odosobniony w mojej ocenie „głównych protagonistów naszej sceny politycznej”, w moim odczuciu, że poważne i ważne dla nas sprawy przybrały naraz formę komedii o przeplatających się wątkach to z Witkacego, to z *Trans-Atlantyku*. Odkąd (nie powiedziałem tego dziennikarzom na lotnisku, lecz dorzucam teraz) uraczono Polaków absurdem „wojny na górze”, „przyspieszonej drogi na skróty” i tym podobnych dziwolągów „progu niepodległości, wszystko stało się możliwe. Przede wszystkim stało się możliwe odwrócenie do góry nogami, głową w dół, naturalnej procedury: wolne wybory do Sejmu-Konstytucyjny wybór Prezydenta, aby fenomenem „tymińszczyzny” zatruć na długo „niedojrzałe” (zdaniem Giermka) społeczeństwo w procesie dążenia do „normalności” demokratycznej.

Pod koniec podróży nadarzyła mi się jeszcze jedna sposobność zaobserwowania granicy między prywatną i publiczną wypowiedzią. Waldemar Gasper, redaktor *Tygodnika Literackiego*, zaprosił mnie na spotkanie z komitetem redakcyjnym w kawiarni w Alejach Ujazdowskich. Młodzi ludzie, inteligentni, bystrzy, wrażliwi. Mówili rzeczy ciekawe i to ostro. „Dlaczego o tym nie piszecie w waszym tygodniku? Dlaczego trzymacie się tylko literatury, jakby *Zeszyty Literackie* nie wystarczały aż z nawiązką do obsługi warszawskich saloników? Jest znaczące, i w pewnym sensie zawstydzające, że najciekawszym w Polsce tygodnikiem jest nadal *Polityka*. Z tego prostego powodu, że ma wycucie co dziś może przyciągnąć czytelników polskich i pisze o tym otwarcie, nie uciekając jak dawniej od tzw. tematów drażliwych. Mówicie tu w kawiarni o podobnych problemach, pilnych i drażliwych, mówicie ciekawie i śmiało, ale unikacie ich w waszym piśmie. W obecnej sytuacji, w ambitnym tygodniku, albo mówi się o wszystkim otwarcie i ostro, albo szuka się złudnego schronienia w literackich smaczkach i subtelnościach. Tekst, który nie prowokuje do myślenia, jest dziś mało wart. Istnieją rozmaite rodzaje papki, także postna papka czysto literacka”.

Miałem wrażenie, może mylne, że zostało to w jakimś stopniu usłyszane.

Ze Starego Bemowa (przedwojenno Boernerowa), gdzie mieszkałem, droga do miasta prowadzi przez płaty uprawnych pól i wysepki kolonii mieszkaniowych. Kiedy zaczęły się zna-

jome nazwy ulic (Chłodna, Żelazna, moja niegdyś dzielnica), pozostawały tylko nazwami. Chociaż oczekiwałem tego, byłem na to przygotowany, ból nie odnajdywania się w mieście dwuletnich studiów uniwersyteckich nie stawał się mniej dotkliwy. Dopiero Nowy Świat złagodził pierwsze zderzenie. Potem Krakowskie Przedmieście, Uniwersytet, Plac Zamkowy, Stare Miasto — jakby rozkurczyło się ściśnięte gardło i zabiło żywiej serce.

Łaźnienie w tym rejonie nie było próbą niemożliwego powrotu, było opukiwaniem martwych dla mnie miejsc, nasłuchiowaniem głuchych dla mnie ech. Na Starym Mieście — letnie włóczęgi nocne krótko przed wojną. Na Sewerynowie — pro-seminarium i Koło Polonistów. Na Senatorskiej — dom (ścięty teraz), do którego przychodziłem na niedzielne obiady do brata. I tak dalej i tak dalej, można o tym nieskończenie. Ale zawsze ze świadomością nieodwołalnej utraty, nawet w sentymencie księdze pamięci.

Warszawa to głównie stara Warszawa, ocalała lub odbudowana. Reszta nie ma charakteru, jest hybrydą mieszaniną ulic bez własnego życia, nie zaludnionych zdawałoby się i nie wrosniętych w glebę miasta, szerokich arterii i wielkich przestrzeni, osiedli niemal stepowych (w rodzaju Ursynowa), do których pasowałoby określenie „spółdzielnia zbiorowego spania” (w komunistycznej „nowomowie” restauracje były swego czasu „spółdzielniami zbiorowego żywienia”). Pogłębiła się celność przedwojennej *Piosenki dla Warszawy* Lieberta: „Ani tu Zachód, ani Wschód...”.

U moich warszawskich przyjaciół i znajomych, pilnych obserwatorów rzeczywistości polskiej, przeważało czarnowidztwo. Z dwoma przegięciami: albo w stronę widma dyktatury, albo w stronę widma anarchii i chaosu, „prawdziwej wojny wszystkich przeciw wszystkim”, żeby wyjąć ten termin z bukietu niegdysiejszych sloganów Prezydenta Wałęsy. Zarówno prorocy dyktatury jak prorocy anarchii powoływali się zgodnie na zjawisko, uniemożliwiające stopniową stabilizację post-komunistycznego porządku. A mianowicie szybkie (chciałoby się ironicznie powiedzieć: przyspieszone) szerzenie się zubożenia politycznego, tak radykalne i gwałtowne, że do zamierzchłej przeszłości zdają się należeć wypadki „cudownego roku” 1989, gdy Solidarność i solidarność były sterem polskiego Łamacza Lodów, który zwycięsko dobijał do brzegu nowego ustroju.

Cokolwiek by się sądziło o przyczynach rosnącego indyferentyzmu społeczeństwa, podmywa on istniejące i kruche jeszcze (bo połowiczne) struktury demokratyczne, a w wyborach do Sej-

mu będzie źródłem ogromnej absencji i wylęgarnią rozlicznych odmian „tymińszczyzny”.

Czy można jeszcze, choćby częściowo, powstrzymać ten proces? Odpowiedzią były różne odcienie sceptycyzmu. Nie, rzecz zaszła za daleko. Nawet nadchodząca pielgrzymka papieska nie odegra roli galwanizującej. W atmosferze wzbierającego antyklerykalizmu, sporów o aborcję i religię w szkole, postulatów ograniczenia świeckich wpływów i ingerencji Kościoła, słyszy się nawet publiczne utyskiwania nie do pomyslenia przedtem; utyskiwania na nadmierne koszty pielgrzymki. Budowę kościołów zaczyna się ostatnio od plebanii, żeby w szachu trzymać ofiarność wiernych. Słabym echem odbiła się encyklika *Centesimus Annus*, mimo że prócz uwag kontrowersyjnych zawiera refleksję krytyczną o niebezpieczeństwach niczym nieskrępowanego kapitalizmu, i tym samym rekomendację gospodarki mieszanej, co wielu ludziom, przerażonym groźbą bezrobocia i stopniowej atrofii państwa opiekuńczego, powinno się podobać.

Wyskoczyli nagle chwálcy „elit”, przeciwstawionych (jakkolwiek nie jest to powiedziane wprost) „tłumowi”, „motłochowi”, „ciemnym masom”. Nie ma co, piękny epilog sojuszu, który uitorował drogę „polskiej rewolucji”. I dowód arogancji „intelektualistów” na szczycie „społecznej piramidy”, niepomnych już co robili i mówili za panowania „realnego socjalizmu”, w okresie „hańby domowej”; pamiętających tylko, i nierzadko dyskontujących, swoje niewątpliwe zasługi w późniejszych okresach.

W takich sytuacjach sięga się jeszcze do remedium Rządu Jedności Narodowej, bez większych złudzeń zresztą, to znaczy wiedząc że byłby to co najwyżej małeńki plasterzek przyłożony do dużej rany. Za późno już na to, powiedziano mi; zanadto pogłębiły się przedziały między politycznymi rywalami i antagonistami. Nie da się na siłę odtworzyć, w przybliżeniu bodaj, w ułamkowej postaci, klimatu Solidarności.

Coś podobnego powiedział mi Tadeusz Mazowiecki w długiej rozmowie na kawie u Stefana Frankiewicza, w przeddzień mojego wyjazdu. „Po wyborach (dorzucił) powstanie prawdopodobnie rząd koalicyjny”. Ale dla mnie Rząd Jedności Narodowej miałby jedynie sens, i jakieś minimalne szanse wytrącenia społeczeństwa z choroby zubożenięcia postępowego, przed wyborami. Po wyborach rząd koalicyjny będzie już czymś zupełnie innym, całkiem możliwe że dosyć zatrzważającym.

W Warszawie dwa wieczory autorskie: w PEN-Clubie, gdzie przewodniczył Artur Międzyrzecki, a o moim piarstwie mówił Tomasz Burek (*signum temporis*: po wieczorze radca kultu-

ralny ambasady sowieckiej w Warszawie podziękował mi za przeczytane przeze mnie opowiadanie o śmierci Szałamowa *Piętno*); w *Czytelniku*, pod przewodnictwem Henryka Chłystowskiego i ze słowem wstępnym Włodzimierza Boleckiego. Obie sale wypełnione były po brzegi; długi ogonek przed księgarnią *Optimus* Czesława Apiecionka, w której podpisywałem książki. W Poznaniu, prócz tłumnej ceremonii wręczenia doktoratu honorowego, wieczór autorski na Uniwersytecie pod przewodnictwem Ryszarda K. Przybylskiego; oraz podpisywanie książek w księgarni *Best-Seller*. W Krakowie w wielkiej auli na UJ przewodniczył Jan Błoński, książki podpisywałem w księgarni *Orlando*. W moich rodzinnych Kielcach spotkanie z czytelnikami w Domu Środowisk Twórczych zorganizowali Irena Furnal i Jan Paławski, w oprawie poświęconej mi, bardzo dobrej wystawy. Podobną wystawę urządził świetnie — oglądałem ją dwukrotnie — Zdzisław Kudelski, kurator moich książek w Kraju, w Muzeum im. Czechowicza w Lublinie. Dyrektorka Muzeum, pani Łosiowa, przewodniczyła wraz z Kudelskim na moim spotkaniu z czytelnikami lubelskimi.

Dlaczego zapisuję to tak drobiazgowo, łamiąc przykazanie skromności? Po pierwsze, by podziękować wszystkim wymienionym wyżej osobom. Po drugie, żeby podkreślić jedną rzecz. O tym że mam w Polsce sporo oddanych mi czytelników, wiedziałem z opowiadań i z cyfr nakładów; ale co innego jest wiedzieć, a co innego widzieć. Nie potrafię opisać radości, z jaką patrzyłem na pełne sale; i przykrości, gdy wyinstruowany przez mojego kardiologa, musiałem po jakimś czasie przerywać podpisywanie książek, krzywdząc czekających jeszcze w kolejkach.

„Lubią cię młodzi”, powiedział mi kiedyś Kisiel. Powiedział to z przekąsem, czułem że chętnie na miejsce „młodych” postawiłby „niedowarzonych”. W każdym razie przekonałem się, że miał w dużej mierze rację, młodzi stanowili poważną część audytoriów i kolejek. Nie zapomnę drobnego epizodu: w krakowskiej auli czytałem opowiadanie *Monolog o martwej mniszce*, nie bez pewnego lęku że w uniwersyteckiej dekoracji zabrzmi nieprzyzwojnie. Później, w salce obok auli, kilka młodych osób, studentek i studentów, zdumiało mnie trafnością i finezją odbioru *Monologu*.

Dodam tu wreszcie, że przywiezłem z podróży okazały tom *Etos i artyzm*, plon poznańskiej sesji na temat mojego piarstwa z listopada 1990, pod redakcją Seweryny Wystouch i Ryszarda K. Przybylskiego. Dwie książki o moim piarstwie: Ryszarda K. Przybylskiego *Być i pisać*, Włodzimierza Boleckiego *Ciemny Staw*. Z Lublina otrzymam wkrótce drukowanego *Pielgrzymia Świętokrzyskiego* Zdzisława Kudelskiego i tom referatów wygłoszonych na sesji kulowskiej w 1988 roku. Wśród licznych wy-

wiadów najciekawsze wydają mi się trzy: Ireny Morawskiej w *Gazecie Wyborczej*, Beaty Chmiel i Michała Komara w *Życiu Warszawy* (i w całym szeregu gazet pozastolecznych, związanych z *Życiem*), Ryszarda K. Przybylskiego w *Tygodniku Solidarność*.

W moim notesie podróżnym pod datą 11 maja: „Rano z Piotrem Brożyną w Wilanowie i w Łazienkach. Piotr jest jedynym spotkanym przeze mnie umiarkowanym optymistą, zwraca uwagę na cierpliwość Polaków, mimo że nieuczciwość „nowej nomenklatury” mogłaby najspokojniejszemu poszarpać nerwy. Nie jestem pewien, czy ma rację. Ja wyczuwałem wyraźną podszewkę gniewu, nawet wściekłości, w zjawisku niepowstrzymanego zobojętnienia politycznego. Po południu herbata u Juli i Artura, byli Woroszyłscy, był Piotr z Kaliną”. Potem dużymi literami: „ARTYKUŁ MIŁOSZA”.

Chodzi o wydrukowany tego dnia w *Gazecie Wyborczej* artykuł *Państwo wyznaniowe?*. W ciągu następnych paru dni wracał we wszystkich rozmowach.

Ponieważ (jak słyszę) bardzo ważna i rozumna wypowiedź Miłosa będzie wydrukowana w *Kulturze*, można sobie darować streszczenie. Powiem jedynie, że napisana przez człowieka który do religijności przywiązuje wielką wagę, jest monitem, uderzeniem na alarm: jeśli kościelny (często wytłumaczalny) triumfalizm ulegnie pokusie (diabelskiej zaiste!) udrapowania się w szaty integralizmu, strażnika „państwa wyznaniowego”, stanie mu naprzeciw antyklerykalizm (który w Polsce nie jest pozbawiony tradycji), w naszym trudnym i powikłanym położeniu rzecz doprawdy zbyt cenna. „Rozdział Kościoła od państwa — pisze Miłosz, — ściśle przestrzegany w Stanach Zjednoczonych, nie przeszkodził religii w rozszerzaniu jej wpływów”. I jeszcze: „Może tak się zdarzyć, że kler będzie celebrować obrzęd narodowy, kropiąc, święcąc, egzorcyzmując, ośmieszając się zarazem swoim tępieniem seksu, a tymczasem będzie postępowało wydrążanie religii od wewnątrz i za parę dziesiątków lat Polska stanie się krajem równie mało chrześcijańskim jak Anglia czy Francja, z dodatkiem antyklerykalizmu, którego zaciekłość będzie proporcjonalna do władzy kleru i jego programu państwa wyznaniowego”. (Nawiasem dorzucę, że Miłosz uważa za wskazane uprzedzić: „Nie ubiegam się o żaden urząd publiczny, a więc nie muszę być ostrożny, i wypowiadam kilka opinii, które na pewno są przez wiele osób wypowiadane po cichu, w gronie zaufanych”. Wyborny dodatek do moich doświadczeń „u nas się tak ostro nie mówi”. Musi być „ostrożny” kto nie przekreśla swych ukrytych rojeń o „urzędzie publicznym”; szczególnie

wśród znanych intelektualistów apetyt budzą stolce senatorskie i ambasadorskie).

Zastanawiam się, czy aby Kościół polski nie zamierza odegrać roli misyjnej w dziedzinie „etyki seksualnej”, zachęcany w tym przez papieża. W ostatniej encyklice, na ogół, dobrze przyjętej na Zachodzie (i słusznie), Jan Paweł II zajmuje się obszernie Trzecim Światem, lekceważąc problemy demograficzne; gdy tymczasem nie ma na świecie ekonomisty, który by w projekcie pomocy gospodarczej dla Trzeciego Świata nie uwzględnił postulatu kontroli urodzin; dotyczy to także ekonomistów głęboko wierzących. „Misyjność” encykliki wyraża się też w pośrednim napiętnowaniu Oświecenia i racjonalizmu liberalnego jako prekursorów marksizmu. Niebezpiecznie jest grzebać się tak w korzeniach, mógłby ktoś cofnąć się jeszcze dalej i wskazać Świętą Inkwizycję jako archetyp współczesnego totalitaryzmu.

W środowisku „lewicy laickiej” panują obawy, że dziecko zostanie wyrzucone wraz z brudną kąpielą. Uprzytomniłem to sobie na kawie u wdowy po Witoldzie Kuli (zabrała mnie do niej moja córka Marta, autorka prac o Witoldzie Kuli i przekładu jego książki na włoski). Poza gospodynią (którą pamiętam sprzed wojny jako Ninę Assorodobraj, asystentkę profesora Stefana Czarnowskiego i autorkę *Początków klasy robotniczej w Polsce*) byli tam Marcin Kula z żoną, Jadwiga Strzelecka (wdowa po Janku) i Marysia Ofierska. Zrozumiałem lepiej te obawy, gdy Michał Komar powiedział mi, że grono nauczycieli żąda usunięcia z lektur szkolnych *Przedwiośnia* jako książki „czerwonej”; a obywatele jakiegoś miasteczka wymogli „odebranie ulicy” Mieczysławowi Niedziałkowskiemu, również „czerwonemu”. Jednym słowem, podsumowując problematykę klerykalizm-antyklerykalizm i gruntowną czystkę wszelkich „czerwonych” (z wyjątkiem finansowych i biurokratycznych notabli komunistycznej nomenklatury), można autorowi przyszłej powieści o dzisiejszej Polsce zasugerować pożyczanie tytułu od Stendhala...

Miasta mają swoją aurę, nawet krótki pobyt pozwala ją uchwycić. Poznańskie powietrze nasycone jest przywiązaniem do kilku zasad: porządku, solidności, słowności, stateczności, punktualności. Niemiecki *humus* uderza po pierwszym spacerze: w ciężkich i masywnych „tumach”, w zachowaniu się na ulicach, w wyglądzie małych restauracji — ta, do której wstąpiliśmy zaraz po przyjeździe, przypominała mi monachijską *Bierstube*. Miasto jest ładne w swojej surowości, w przywiązaniu do swojej odrębności.

Od pierwszej do ostatniej chwili wszystko odbywało się tak,

jakby Ryszard (Przybylski) odmierzał na zegarku ustalone z wczesnego punktu programu. Ale nie chcę przesadzać z tą sztywną precyzją trzech poznańskich dni. Przyjęcia — u Przybylskich, u Seweryny Wysłouch, u Ewy Wiegandtowej, w uniwersyteckiej willi za Poznaniem (rektor Fedorowski zaprosił tam „wybranych” po ceremonii doktoratu honorowego) — były skrzyżowaniem serdeczności i swobody. Poznałem zgrany i bardzo ruchliwy zespół polonistów poznańskich. Odnowiłem znajomość — bywała przecież w *Kulturze* — z Zofią Trojanowiczową, współautorką *Poznańskiego czerwca 1956* i autorką książki o Julianie Klaczko. Od Bożeny Chrzastowskiej dostałem w prezencie opracowaną przez nią antologię tekstów literackich i pomocniczych dla klas maturalnych *Literatura współczesna „zle obecna” w szkole*; ponieważ znalazło się w niej sporo moich tekstów, w dedykacji mowa o książce jako świadectwie mojej „autentycznej obecności w ojczyźnie”. A pisarze poznańscy? Z odwiedzin w Neapolu i uważnych lektur pamiętałem Egona Naganowskiego, wyborczego badacza twórczości Joyce’a, Musil’a i Kafki. Teraz dopiero poznałem Jerzego Korczaka. I ucieszyłem się na widok starych znajomych (i przed laty sąsiadów w „pawiloniku” w Maisons-Laffitte), poety Ryszarda Krynickiego i jego żony. Nie zabrakło też w Poznaniu strużki włoskiej. Z Mediolanu przyjechał mój przyjaciel, najlepszy we Włoszech znawca spraw polskich, Francesco Cataluccio; z Warszawy, gdzie mieszka z polskim mężem, moja tłumaczka Donatella Tozzetti.

Poznańskie rozmowy wolne były od apokaliptyczno-katastroficznych tonów, obecnych w rozmowach warszawskich. W Poznaniu, mimo analogicznych niepokojów i lęków, wierz się w przyszłość. Drobna prywatyzacja zaszła daleko, od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu procent małych przedsiębiorstw. Ale nie dobrano się jeszcze do zakładów typu Cegielskiego, kolebki poznańskiego czerwca. Mówiący to wypowiedział ze znaczącym naciskiem trzy ostatnie słowa.

O ceremonii wręczenia doktoratu honorowego cóż powiem? Była dobrze zorganizowana, uroczysta i zarazem prosta. Emocje — nie ukrywam ich — przytępiły mój zmysł obserwacji. Celne było wprowadzenie Seweryny Wysłouch, zabawna oracja Profesora Sajkowskiego.

Zwyczaj zdaje się nakazuje, by Uniwersytet nadający doktorat honorowy zasięgnął dwóch opinii od innych Uniwersytetów czy Instytutów Naukowych. W moim wypadku opinie wydali Profesor Janusz Sławiński z IBL i Profesor Jan Błoński z UJ. Ofiarowano mi fotokopie tych opinii. Przytoczę dwa urywki, które sprawiły mi wyjątkową satysfakcję. Sławiński: „Najważniejsze dla niej (drugoobiegowej recepcji) było odkrycie, że pisarz, który mówi *stamtąd*, może znajdować się tak blisko doświad-

czeń, aspiracji, języka, sposobu myślenia ludzi *tutejszych*. Jego pisanie nie oddzielają bowiem od nas ani rytuały 'bycia emigran-tem', którym uległo tak wielu twórców żyjących na obczyźnie, nie wyłączając najwybitniejszych. Herling jest całkowicie wolny od wszelkich póź emigranckich lub wygnańskich; nie ma poczucia, że przebywanie gdzieś — w Neapolu czy w Paryżu — daje mu jakieś szczególne prawo do przemawiania wieszczego czy nauczycielskiego, gdy mówi o nas i do nas — żyjących w świecie gorszego gatunku, w upośledzeniu i pohańbieniu. Jego głos, pozbawiony tego sztucznego ustawienia, brzmi dla nas zupełnie naturalnie, a bierze się to i stąd, że równie naturalnie brzmi tam, skąd nas dobiega — w Neapolu, Paryżu czy Londynie”. Błoński: „W istocie rozróżnienia gatunkowe tracą w wypadku *Dziennika* Herlinga sens: jak mówił Wiktor Hugo, 'całość maluje', czyli rozmaite sposoby wypowiedzi używane są na równych prawach dla stworzenia dzieła, będącego wyrazem budującej się osobowości. Jest to zatem przedsięwzięcie trudne i odważne, ale tym bardziej godne uznania i wyróżnienia”.

Odwiedziłem naturalnie Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów *W drodze*. Tam przecież — w tej oazie ciszy, spokoju i refleksji — ukazała się w roku 1988 z inicjatywy O. Marcina Babraja moja pierwsza książka w „pierwszym obiegu” *Wieża i inne opowiadania*, a w dwa lata później wydawca zachęcony powodzeniem książki rzucił na rynek *Opowiadania zebrane*, które niebawem pociągną za sobą rozszerzony o cztery opowiadania nowy nakład. Miło było porozmawiać w zawalonym książkami pokoiku z O. Marcinem Babrajem, z O. Marcinem Ziębą i z Janem Grzegorzycykiem, obejrząc dokładnie dominikański ośrodek, spotkać się z alumnami, zabrać świeży numer *W drodze* z przedrukowanym z *Kultury* opowiadaniem *Dżuma w Neapolu*, z ciekawym szkicem o moim pisarstwie pióra Zofii Mocarskiej-Tycowej i z przypomnianym po tylu latach, dedykowanym mi, wierszem śp. Tadeusza Sułkowskiego.

W Poznaniu przekonałem się czym jest dobra recytacja, przyznaję, że nie przywiązywałem do niej dotychczas większego znaczenia, przyuczony od najmłodszych lat do powolnego czytania po cichu. Moje jedyne opowiadanie „dialogowe” *Oko Opatrzności* przeczytali na dwa głosy w *Teatrze Verbum* dwaj doskonali aktorzy. Słuchałem oszołomiony i w napięciu, jakbym to nie ja był jego autorem. Również moja żona, znająca dobrze to neapolitańskie opowiadanie w przekładzie angielskim Ronalda Stroma, była przejęta.

W niedzielne popołudnie na poznańskiej ulicy pokrzykiwał czy podśpiewywał pijany jegomość: „Polska kraj handlu”. W Gnieźnie, gdy wyszedłem na ulicę po zwiedzaniu niezwykłej Bazyliki Prymasowskiej, skocznym krokiem maszerował podпиты także jegomość, pokrzykując czy podśpiewując: „Niech nam ży-

je partia". Mam potrzebę utrwalenia tej osobliwej wódczanej syntezy w mojej relacji z podróży do Polski.

Było korespondencyjnie z góry ustalone, że w Krakowie znajdę się w rękach Józefa Opalskiego, mojego przyjaciela, kierownika literackiego Teatru Starego i Opery, przed laty lektora języka polskiego na okropnej polonistyce neapolitańskiej, znakomitego nauczyciela mojej córki Marty. W rękach energicznych, twardych, „szybkostrzelnych”, wstawionych ostatnio organizacją Festiwalu Mrożka. Znalazłem się także z żoną w jego (i jego pań) mieszkaniu na Dietla, przyjemnie staroświeckim, rozkosznie zagraconym przedpotopowymi bibelotami.

Józef (Żuk, jak go wszyscy nazywają) objął komendę natychmiast po obiedzie, zajrawszy do planu „operacji”. Zaczęliśmy od galerii malarskiej *Inny Świat* Tadeusza Nyczka (tak się nazywa od chwili założenia, w ciężkich latach wyjaśniano podejrzliwym urzędasom komunistycznym, że chodzi po prostu o „inny świat sztuki”), gdzie w swoim czasie wystawiane były przemycane z Londynu obrazy mojej pierwszej żony Krystyny. Stamtąd poszliśmy na Kanoniczą, do krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, ślicznego lokalu w starej kamieniczce. Przyjął mnie serdecznie prezes Włodzimierz Maciąg, w asyście sekretarki Teresy Walas. W Warszawie miałem już okazję poznać mojego ulubionego prozaika Jana Józefa Szczepańskiego, na Kanoniczej poznałem moją ulubioną poetkę Wisławę Szymborską. W sąsiednim pokoju Marta Wyka przeprowadziła ze mną krótką rozmowę telewizyjną.

Krótki przedwieczorny spacer, który pozwolił mi tylko zerknąć na Kraków, zerknięciem szybkim lecz zakochanym już w nim „od pierwszego wejrzenia” (byłem w Krakowie tylko raz przed wojną jako piętnastoletni chłopiec w ramach czterodniowej wycieczki szkolnej). Żuk ciągnął nas na umówioną godzinę do radia. Dwie bite godziny trwała „na żywo” rozmowa (sympatyczna) o wszystkim i o niczym w składzie dyrektor Wildstein-Opalski-ja pod redaktorskim nadzorem pani Koniecznej.

Nazajutrz rano mogłem trochę swobodniej powalać się (?) po Krakowie, bo spotkanie na UJ wyznaczono na dwunastą. Tak, była to miłość „od pierwszego wejrzenia”. Pchnęły mnie natychmiast w objęcia miasta, jak podejrzewam, dwie rzeczy. Po pierwsze, po trzydziestu pięciu latach pobytu we Włoszech jestem „italianizantem”, cokolwiek pachnie „włoszczyzną” podpływa mi do serca ciepłą falą. Po drugie, jestem z wychowania i z natury prowincjuszem, mam duszę prowincjusza, przerażają mnie i odpychają wielkie metropolie (Londyn był dla mnie mę-

czarnią, z Mediolanu uciekałem, wyjątek skłonny byłbym zrobić dla Rzymu i Paryża), a w Krakowie zawiąło nagle Ferrara, Padwę, Perugię. Niech ci którzy mieszkają w Krakowie, którzy prawie wszystkich znają z widzenia i prawie wszędzie mogą zająć pieszo, a po drodze wstąpić do pięknego kościoła i posiedzieć w chłodnej nawie, którym ładne kamieniczki pozwalają zapomnieć o ohydnych wieżowcach, niechaj ci dziękują codziennie losowi za łaskawość.

Po spotkaniu na UJ w programie była wizyta w *Tygodniku Powszechnym* i w *Znaku*. W Gnieźnie zaszedłem, w pobliżu Bazyliki Prymasowskiej, do sklepu z dewocjonaliami i prasą katolicką. Widok na ladzie był niewiarygodny: stos numerów *Tygodnika Powszechnego* z zeszłego tygodnia. Można — zapytałem w Krakowie kogoś „dobrze poinformowanego” przed wizytą na Wiślniej — mówić o kryzysie *Tygodnika Powszechnego*? Można, niestety można, odpowiedział ze smutnym wyrazem twarzy. I wyjaśnił, że kryzys jest podwójny. Młodzi w redakcji, którzy stanowią już większość, prą do zmiany pisma na całkowicie świecki tygodnik chrześcijański. Starsi, bojąc się tego kroku, odczuwają coraz dotkliwiej kontrolę Kurii. „Skandal” wybuchł po ukazaniu się rozsądnego, spokojnego i rzeczowego artykułu Waldemara Kuczyńskiego o częstych potknięciach Prezydenta Wałęsy. W Kurii zawrzało, wycofany został asystent kościelny ksiądz Andrzej Bardecki, list kardynała Macharskiego w tej sprawie zawierał, ni w pięć ni w dziewięć, zdanie krytyczne o artykule Kuczyńskiego. Z Rzymu jakoby, od księdza z otoczenia papieskiego, przyszło potępienie „ataku na Prezydenta, nie do pomyślenia na Zachodzie”. Ksiądz ten prawdopodobnie, wobec nawału pracy kapłańskiej, nie ma czasu na czytanie gazet i słuchanie dzienników telewizyjnych. Gdyby Cossiga, Mitterrand i Bush czytali pod swoim adresem tylko lukrowane wymówki w stylu Kuczyńskiego, uznaliby prawdopodobnie sprawowany urząd za najmiłą rozrywkę pod słońcem. (Wtrąć na marginesie, że Kościół zdaje się mieć szczególną predylekcję do słówka „atak”. Ilekroć za dawnych lat pojawiała się w *Kulturze* krytyczna uwaga o polityce kościelnej, rozlegał się błyskawicznie głuchy tam-tam „atak atak”. Celował w tym zwłaszcza Andrzej Micewski, nadworny publicysta Prymasa Glempa. Raz nawet do słówka „atak” przyczepił w ferworze przymiotnik „hanielbny”, co przed każdym na Zachodzie sądem przyniosłoby mu wyrok skazujący za zniesławienie).

Podczas ogromnie miłej wizyty na Wiślniej nie spostrzegłem naturalnie śladów tego „kryzysu”. Spostrzegłem jedynie dużo młodych redaktorów, młodszych już nawet nie tylko od Naczelnego Jerzego Turowicza, ale od mojego przyjaciela Tadeusza Chrzanowskiego, z którym przyjaźnie skrzyżowałem szpady na



temat świeżej „mody na elity”. *A propos*: kiedy wreszcie Tadeusz rozszyfruje wszystkie pseudonimy, pod jakimi przez wiele lat drukował swoje świetne teksty w *Kulturze*?

Jacek Woźniakowski zabrał mnie do siedziby wydawnictwa *Znak*, wydzierzawionego dworku ze sporym kawałkiem ziemi. Generalny remont nie wpływa na intensywność pracy w biurach wydawnictwa. Wyszedł właśnie *Gombrowicz filozof* w opracowaniu Francesco Cataluccio i Jerzego Illga. W przygotowaniu są *Wybór pism* Simone Weil w tłumaczeniu Miłosza (przedruk tomu z *Biblioteki Kultury*), korespondencja Merton-Miłosz, *Rok myśliwego* Miłosza, niedawno wydany przez *Kulturę*. Od Jerzego Illga dowiedziałem się, że mój tom esejów *Godzina cieni* jest już wyczerpany; drugi nakład w druku.

Podpisywanie książek w księgarni *Orlando*, obiad z jej kierowniczką u *Wierzyńka*, i na wystawę fotograficzną Bohdana Paczowskiego w *Domu Polonii*, urządzoną przez Stanisława Kasprzysia i panią Ronikerową. Fotograficzny odprysk Neapolu i okolic oraz Maisons-Laffitte. Widziałem dawniej fotografie Bohdana w małych dawkach, tu dopiero — w dużej kompozycji wystawowej — widać jego mistrzostwo. Poruszaliśmy się z Lidią wzdłuż ścian olśnieni, cofając się co jakiś czas na środek sali by objąć całość. W doborze fotografii czuć rękę Bohdana i Marii. Katalog zawiera fragmenty z mojego *Dziennika* „dopasowane” do fotografii, oraz moją neapolitańską rozmowę z Opalskim z 1 grudnia 1981; była przeznaczona dla krakowskiego *Pisma*, w dwa tygodnie później stan wojenny zmiotł ją do kosza wraz z *Pismem*.

Zbieg okoliczności? Jeżeli tak, to w duchu *theory of coincidence* Kota Jeleńskiego. W kącie wystawy omawiałem po cichu ze Stanisławem Kasprzysia (tłumacz) i z Piotrem Kłoczowskim (wydawca) polski wybór esejów Nicoli Chiaromonte.

Dobrze wróżył widok z szosy przy wjeździe do Kiel: Klasztor Bernardynów na Karczówce, na tej Karczówce z której Żeromski „widział śpiczastą Radostową, ciemnoniebieską Łysicę i ponury Kamień”. Dobrze wróżył, upewniając mnie jakby, że nie przytrafi mi się to, co przy wjeździe do nierozpoznanej Warszawy. Przytrafiło się jednak, na szczęście tylko na obrzeżach miasta, które do sześćdziesięciu tysięcy mieszkańców przed wojną skoczyło do dwustu pięćdziesięciu tysięcy dzisiaj. Przecisnąwszy się do centrum, odetchnąłem z ulgą: park miejski z okrągłym stawem i ciemnymi alejkami, które tyle słyszały, i zapewne słyszą nadal, sztubackich wyznań miłosnych; moje gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, obecnie Wojewódzka Biblio-

teka Pedagogiczna, Plac Katedralny i Katedra, pałac Biskupi (z *Dzienników* Żeromskiego, rok 1888: „Kielce. Wsiadam w dryndę i jadę przez miasto ducha, zbudowane przez księży biskupów na skale bigoterii”), ulica Sienkiewicza gdzie mieszkałem z rodzicami a potem na stacji, Bazary gdzie (jak Żeromski) mieszkałem na drugiej stacji. Byłem więc w Kielcach-Łżawcu-Klerykowie, w starych Kielcach otoczonych szerokim pierścieniem nowych. Do kompletu zabrakło mi jedynie wąskiej uliczki, między Pałacem Katedralnym i Bazarami, z parterowym lochem piwnicznym, w którym Icek Hitler sprzedawał „bryki” Zuckerkandla ze Złoczowa i zwinięte w harmonijki „ściągaczki” maturalne na wszystkie możliwe tematy, przeważnie na temat Trzech Wieszców. Legenda głosiła, że niegdyś dostarczał również Hitlerowi „ściągaczki” biedny i uzdolniony gimnazysta Stefan Żeromski. Lecz była to tylko legenda zrodzona przez tę samą imaginację „na tropach Żeromskiego”, która w smutnej pani z mufką i gęstą woalką na twarzy kazała uczniom widzieć starą Birutę i kłaniać jej się z respektem na spacerowym deptaku od dworca kolejowego do kina „Czwartak”.

W *Domu Środowisk Twórczych* im. Tomasza Zielińskiego spotkałem się z gronem czytelników, wprowadzony inteligentnie przez Irenę Furnal. W pytaniach i odpowiedziach mowa była głównie o żywej w pamięci „małej ojczyźnie”, bez której (jak kiedyś napisałem) „nijaczej się z dała od dużej”.

Stamtąd zawieziono mnie do gmachu Rady Miejskiej, na uroczystość przyznania mi honorowego obywatelstwa Kielc. Dwóch miałem przyjaciół w gimnazjum Żeromskiego: Jurek Głowania zginął po wojnie w wypadku samochodowym, Franek Zyguła jest kieleckim adwokatem. I to on przemawiał wzruszająco na uroczystości i podarował mi dwie fotografie pamiątkowe: naszej klasy na wycieczce w Wieliczce w roku 1935, oraz naszej klasy po maturze w roku 1937. Dziękując za obywatelstwo honorowe, zrobiłem rzecz (o ile wiem) nie praktykowaną: złożyłem je w hołdzie „dedykowałem” ceniom Żeromskiego. „Wiem, że nie jest dziś przez młodzież chętnie czytany, że razi jego społeczna i narodowa egzaltacja, że zanikła w jego rodzinnym mieście tradycja szukania pamiątek po nim. Sam wierny pozostałem niektórym tylko książkom Żeromskiego, inne uważając za nadgryzione przez ząb czasu i przyprószone kurzem historii. Ale ocaleje duch Żeromskiego, będzie zawsze unosił się nad tym miastem pisarz serca nienasyconego i ustawicznego rachunku sumienia. Pozostanie aktualne, nie zestarzeje się nigdy, jego zdanie o konieczności rozdrapywania ran, żeby nie zarosły błoną podłości. Dziś brzmi ono donośniej może, niż kiedykolwiek”.

Franek Zyguła nie opuszczał mnie już podczas reszty mojego pobytu w Kielcach. Pojechaliliśmy do domu na Sienkiewi-

cza 52: tam mieszkałem, najpierw z rodzicami, po śmierci matki na stacji. Długie niegdyś podwórze skrócono zabudową, zastępując widok na rzeczkę Silnicę. Zakład fotograficzny od podwórza, jak za moich czasów, ale ten jest bez nazwy, a tamten nazywał się „Rembrandt”.

Wyszliśmy z podwórza na ulicę, kilkadziesiąt metrów dalej most na Silnicy. Patrzyłem na płytką i brudną rzeczkę, zarośla na jej brzegu, których dawniej nie było, zasłoniły nadbrzeżną kiszkę Plant.

Tak, dom Planty 7, miejsce pogromu z roku 1946. Cokolwiek się o tym pogromie powie jako o prowokacji ubeckiej i enkawudowskiej (Aleksander Smolar: „Trzeba przyznać, że hipoteza prowokacji ma poważne podstawy”), nie tłumaczy to szybkości i łatwości, z jaką iskra prowokacji roznieciła pożar. Ziemia zdawała się czekać na taką iskrę.

W rekonstrukcji pogromu Jerzy Morawski i Piotr Pytlakowski piszą: „Emerytowany dziennikarz z Kielc, naoczny świadek wydarzeń, widział młodego Żyda stojącego po kolana w rzeczce Silnicy. Staniał się na nogach, był z maltretowany, pokrwawiony. Po obu stronach rzeki zgromadził się tłum napastników i rzucał w niego kamieniami. Działo się to już w piątej godzinie pogromu! Ci ludzie — wspomina świadek — kamienowali człowieka w sposób beznamiętny, ciskali kamieniami od niechcenia, czekali kiedy padnie”.

Ale nie padł, wiem to z innych źródeł. Nie padał na twarz, bo rzeczka choć płytką udusiłaby go szybko. Padał tylko na kolana, ogromnym wysiłkiem woli podnosił się znowu, rozkładał szeroko ramiona, jakby szukał ramion krzyża do oparcia, do zaczepienia się o coś w pustym powietrzu przecinanym ze świstem kamieniami. Nie kamienowali go, przybijali do niewidocznego krzyża gwoździami kamieni. Nie robili tego w sposób beznamiętny, śmiali się, szydzili, jak na Golgocie. Jakaż siła tkwi w człowieku, który upiera się żyć po latach codziennego umierania! Upadał na kolana, podnosił się z trudem, cały już we krwi, machał rozkrzyżowanymi ramionami, znowu upadał i znowu się podnosił. Zapadł zmierzch, gdy padł wreszcie na płask ugodzony ostrym kamieniem w skroń. Rzeczka była zbyt płytka, by ponieść go ze słabym prądem. Rzucono jeszcze na niego kilka cięższych kamieni, aby się upewnić że w nocy, rozkrzyżowany na mulistym dnie, nie spróbuje oderwać się od swego krzyża.

Żeromski, gdyby dożył naszych dni i rozdrapał tę ranę, obawiając się że zarośnie błoną podłości: „Anno Domini 1946 część kieleckich chrześcijan wzięła, po tysiąc dziewięćset trzynastu latach, odwet na winnych ukrzyżowania Pana Jezusa. Nawet najszczęśliwsze pokutnicze łkania, nawet krzyk krwawiącego serca, nie zmyją z ciebie całkowicie, Łzawcu-Klerykowie, tej plamy”.

Tumlin, Zagnańsk, Łączna, Suchedniów. Po lewej stronie szosy stał kiedyś drewniany krzyż, naprzeciwko zaczynała się Sokolica. Wjechaliśmy na nią, na sam skraj. Starczyłby kwadrans pieszo, by z daleka przynajmniej zobaczyć w pamięci-wyobraźni to, co jest już nie do zobaczenia w rzeczywistości: Ciemny Staw, nasz dom, młyn. Została tylko, jak mi w Warszawie powiedział Krzysztof Kąkolewski, olchowa grobla. Po raz pierwszy w tej podróży serce przebiła mi długa, cienka igła. Albo tak mi się zdawało, uroiłem sobie to ukłucie, opanowany nagle nieodpartym impulsem ucieczki.

Lublin, miasto którego nie znałem, miał dla mnie smak natychmiastowego zdomowienia. Zawdzięczałem to naturalnie moim gospodarzom, Dorocie i Zdzisławowi Kudelskim, oraz ich licznym przyjaciółom. Ale nie tylko. Nareszcie zetknąłem się z aktorami *Teatru Provisorium*, Opryńskim, Kłoczowskim (Janem) i Brzezińskim, którzy za czasów cenzury wystawili przeróbkę sceniczną *Innego Świata*, prezentując ją na afiszu „po dostojewsku” jako *Wspomnienia z Domu Umarłych*; z Fundacją Bernarda Nowaka; z Andrzejem Peciakiem i Tomaszem Pietrasiewiczem z FIS-u, wydawcy moich *Żywych i umarłych* i *Dwóch opowiadań* z ilustracjami Janka Lebensteina; byłem na kawie u rektora KUL-u księdza Wielgusa i u dyrektora Paluchowskiego w imponującej bibliotece Uniwersytetu. I to jednak nie wyjaśnia dostatecznie owego „smaku zdomowienia”. Prawdziwym wyjaśnieniem jest po prostu samo miasto. Byłem nim zachwycony.

Lublin jest chyba po utracie Wilna ostatnim miastem dawnej Rzeczypospolitej, miastem Unii przecież, z zachowanymi przynajmniej w tradycji i w zabytkach wątkami wielonarodowymi i wielowyznaniowymi. Monografia Anny Różyckiej *Bizantyjsko-ruskie malowidła w Kaplicy Zamku Lubelskiego* odwołuje się do pierwszej pełnej monografii Michała Walickiego, który „za główny punkt odniesienia w zakresie ikonografii uznał szkołę serbską XIV wieku, wiele też rysów przypisując Zachodowi”. Miał rację. Oglądając cudowną Kaplicę w Kościele Świętej Trójcy (w trakcie odnawiania), bez przerwy myślałem o freskach Giotta w Asyżu, a zwłaszcza o jego *Cappella degli Scrovegni* w Padwie. Całe zresztą Wzgórze Zamkowe jest przepiękne. A inne wątki? Mała cerkiew wśród kościołów (mówiono mi, że kiedyś sąsiadowały ze sobą cerkiew, kościół i synagoga), resztki żydowskiego *Jesziwotu* z roku 1506, resztki (podobno) starego majdanu tatarskiego. Wszystko to trwa zgodnie obok siebie, nie podmywane gwałtownymi przyplływami nacjonalistycznych amoków. Prawie nie do wiary.

Nie lubię na ogół pomników, a już szczególnie takich, które ogrom tragedii próbują ująć w kamienne ryzy retoryki. Nie podobał mi się, na przykład, pomnik bohaterów getta w Warszawie. Ale Majdanek! Ten długi, chropowaty, porowaty, bezkształtny głaz u wejścia obok bramy z szarpanego żeliwa, z rozległym, pustym i jałowym polem poobozowym w tle, aż do odległego muzeum na horyzoncie. Całość, przejmującą do głębi całość, zaprojektował ktoś (nie mogłem się niestety dowiedzieć kto), rozumiejący dobrze jakie wolno stawiać pomniki Zagłady.

Dziwne doprawdy bywają nasze reakcje wobec rzeczy na pozór błahych, mało zdawałoby się znaczących, które naraz, zupełnie nieoczekiwanie, powodują wybuch emocji tak silnych, że trzeba wielkiego wysiłku by je opanować. Dwa razy zdarzyło mi się to podczas mojej podróży. Raz, gdy któregoś dnia poszedłem rano ze szwagrem i żoną na spacer do Puszczy Kampinoskiej, przylegającej swoim brzegiem do Starego Bemowa. Szwagier zgubił dawną ścieżkę, albo zarosła w ciągu paru lat, dość że kluczyliśmy wśród drzew i wykrotów, otarliśmy się o kawałek starego toru kolejowego, brodziliśmy w suchych trawach leśnych. Niby nic: zwykły las. Ale dla nas, w naszej historii, Las z dużej litery, miejsce gdzie często, za często, wiły się, płątały lub wędzły polskie drogi i polskie losy. Drugi raz, późnym popołudniem w Warszawie, wyszedłem z księgarni na rogu Krakowskiego i Miodowej. Było ciepło, słońce oblewało złotawym światłem tłum płynący na Plac Zamkowy. Za dwa dni miałem wracać do Włoch. Pojutrze już. W moim wieku w każdym pożegnaniu czai się rozstanie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## W Wielkim Księstwie Silliciani

W r. 1813 niejaki Robert Johnston A.M. odbył podróż do Rosji i Polski, prowadząc diariusz, który ukazał się w Londynie w r. 1815: *Travels Trough Part of The Russian Empire And The Country Of Poland Along The Southern Shores Of The Baltic*. Udawał się w tę podróż szczęśliwy, że skończyły się w Europie rządy zła i bezprawia, że potwór Napoleon został pokonany, porządek przywrócony, a nikt już nie ośmielił się targnąć na prawa monarchów. Było to wiekopomną zasługą Anglii i jej sojuszniczki, Rosji. Jadąc z Danii przez Hamburg i Lubekę do Gdańska, wszędzie widział ślady okrucieństw Francuzów i cierpień ludności.

Pierwsze jego spotkanie ze Słowianami nastąpiło pod Gdańskiem, skąd podróżni wyjechali nocą, żeby uniknąć upału, i pocztylion zablądził, wskutek czego ekwipaż ugrzązł w bagnie. Niemiecki służący Johnstona, wysłany dla szukania pomocy w pobliskiej wiosce, wrócił oburzony, wykrzykując, że wieśniacy „nie rozumieją ani słowa po niemiecku i nie zasługują na to, żeby żyć”. Wreszcie, kiedy pocztylion zwołał ludzi kościelnym dzwonem, zjawili się „kilkunastu niechlujnych, oberwanych Polaków”. „Trudno sobie wyobrazić coś nędzniejszego niż wygląd tych biednych ludzi. Owijali się w kozuchy. Niektórzy byli dotknięci tą wstrętną chorobą *plica polonica*, czyli splątanym włosem. Włosy spadają im na szyje grubymi i zbitymi kłakami. Podobno dolegliwość ta stąd pochodzi, że głowa wydziela lepkie humory, które dostają się do korzeni włosów, a włos tak się rozszerza, że wchłania kuleczki krwi”.

Ustęp ten dość dobrze ilustruje właściwe Johnstonowi politowanie dla istot nie znających dobrodziejstw cywilizacji. Ale wielki Goethe też poświęcił nieduży traktacik sprawie nauczania Polaków języka niemieckiego, przez co podniosłoby się ich poziom moralny.

Angielski podróżnik przejechawszy końmi Prusy Wschodnie, wsiadł w Memel czyli Kłajpedzie na okręt i zwiedzanie największego z krajów słowiańskich zaczął od Petersburga. Jego podziw dla architektury i splendorów tego miasta nie przeszkodził mu jednak w określeniu go jako „mieszaniny świetnego barbarzyństwa i krzepkiego prostactwa”: „podczas gdy z jednej strony widzi się nieskończone rzędy wspaniałych pałaców, z drugiej jest się otoczonym przez tłum stworów bardziej podobnych do zwierząt niż do ludzi”. Gdyż Anglik (Irlandczyk?) był podróżującym filozofem i starał się zbadać, co przesądza o takim a nie innym charakterze poszczególnych narodów. Za główne czynniki uważał klimat i glebę, ściślej, ukształtowanie krajobrazu. Podziął na klasę wyższą, która brzydzi się handlu i pracy własnymi rękami oraz niższą, złożoną z niewolników, nie rokował jego zdaniem dobrze przyszłości Rosji. Ale było to zapewne skutkiem klimatu tudzież monotonii równin. Gdyż jedynie pagórki i doliny sprzyjają pojawieniu się ludzi obdarzonych wyobraźnią. Wtedy człowiek umie radować się i smucić, cierpieć i być szczęśliwym. Na równinie natomiast żyje, bo musi żyć, i tępo znosi swój los. Chłopi rosyjscy zdumiewają Anglika swoją wytrzymałością, cierpliwością i brakiem potrzeb. Notuje ich obyczaje, na przykład smarowanie ciała tłuszczem, tak że nie gryzie ich mrowiące się na ich ubraniu robactwo.

Nie uszła jego uwagi również literatura rosyjska. „Językiem w powszechnym użyciu wśród panów jest francuski i znanym jest faktem, że wielu nie umie pisać we własnym języku. Rosyjska literatura będzie zawsze karłowata, dopóki nie zostanie zmieniony język. Niezależnie od innych przyczyn, ich autorzy są zanadto gadatliwi wskutek samej budowy zdań i słów; i nawet w literach ich alfabetu jest barbarzyństwo wręcz odrażające. Stąd nieliczne książki, które posiadają, nie będą czytane przez cudzoziemców, a jeżeli znajdują się ludzie natchnieni i zechcą przekazać swoje idee, będą musieli przybrać je w mniej prostacki i bardziej wykwintny strój, aby je podać światu. Używa się powszechnie francuskiego albo niemieckiego; w ten sposób tubylcy nie mają dostępu do wiedzy, którą mogliby przekazywać i ulepszać. Jest to jednak tylko jeden z wielu powodów ubóstwa rosyjskiej literatury; żeby wyliczyć je wszystkie, należałoby przejść cały katalog moralnych okaleczeń”.

Kiedy podróżnik to pisał, Puszkina miał czternaście lat, Gogol był dzieckiem czteroletnim. I jednak rosyjski, wraz z „barbarzyńskim alfabetem”, okazał się dla nich dostatecznie wykwintny.

Z Moskwy nasz podróżnik jechał na zachód szlakiem niedawnych bitew, wśród zgliszczy, wypalonych drzew i ruin, mijając konwoje nieszczęśliwych francuskich jeńców. Odnotowuje

ogromną zmianę z przekroczeniem dawnej granicy Wielkiego Księstwa Litewskiego koło miasteczka Liady: ta część kraju, powiada, jest zamieszkała głównie przez Żydów, którzy nigdy nie ośmielili się mieszkać w Rosji. „Tu Żydzi osiedli w całej okazałości swego grzechu, wraz z tymi charakterystycznymi cechami, którymi słynie ich plemię”.

Odtąd zamiast opisu przejazdu przez Białoruś wystarczyłoby wyliczyć słowa, jakimi autor darzy miasteczka, gdzie podróżni targują się o ceny zmienianych koni: brud, brzydota, nędza, zdzierstwo, zabobony, smród, oszustwo, podstęp, chytryść, chciwość, nawet brak patriotyzmu, bo podczas kiedy w Rosji ludność przeklinała Francuzów, tutaj Żydzi są obojętni i obchodzi ich tylko zarobek. Ale również budynki chrześcijan, w tym ich kościoły, nie znajdują u podróżnika uznania, toteż używa określeń: niezgrabne, brzydkie, bylejakie, rudery, chatynki, gnojowiska i tak dalej. Ludność wiejska też nie wypadła lepiej. Chłopi, o długich, lnianego koloru włosach, w płóciennych długich koszulach, w łapciach z łyka, otrzymują epitety: nędzni, obdarci, wyblakli, brudni, ciężcy, apatyczni, nieszczęśni, ponurzy, dzicy, zwierzęcy i czego brakuje, to nazwania ich podludźmi. Jedynie zobaczona w Mińsku szlachta „zarówno litewska (?) jak polska (?)” zyskuje uznanie. „Jest to wybitnie urodziwy gatunek ludzi, a ich stroje są pełne wdzięku. Noszą długie płócienne albo wełniane suknie o luźnych rękawach, z jedwabnym pasem zawiązanym w taliu, głowy mają wygolone a na nich hesskie czapy. Podobno Karol II próbował wprowadzić ten strój do Anglii”.

Zbliżając się do Nowogródka, Johnston wypowiada opinię, która zasługuje na utrwalenie w dziejach kultury. „Z wyglądu i ubrania lud tutejszy w wielu częściach tego powiatu wykazuje wielkie podobieństwo do niższych klas w Irlandii; — budowa i barwa skóry są dokładnie takie same, szorstkie kurty i wysokie miękkie kapelusze przepasane sznurem zamiast wstążki też są podobne. Podobieństwo to jest jednak tylko zewnętrzne; z chwilą kiedy otworzą usta, kończy się porównanie i zamiast usłyszeć z tych ust różnorodnie wyrażony dowcip, geniusz i namiętność, tak charakterystyczne dla jednych, nic prócz języka niegodziwości nie usłyszymy od drugich; zamiast gościnnego przyjęcia i otwartej duszy jednych zauważymy niskie, pochlebne czolganie się; zamiast samorządnej, pośpiesznej szczodropliwości przychodzi zimna, kalkulująca chytryść; zamiast dowcipu i wyobraźni, przebiegłość i tępota. Wieki muszą przetoczyć się nad ich w nocy pogrążoną historią, czas musi przyspieszyć swój bieg, rządy muszą się zmienić i gleba polepszyć, zanim nadejdzie ta godzina, kiedy bardów Sclavonii oświeci duch taki jak Sterne'a, a świątynie ich konsekruje geniusz taki jak Burke'go. Ale

nigdy nie nadejdzie ten dzień, nigdy natura ludzka nie zabłyśnie tutaj; tak jak na północy szara, goła skała zimnym swoim czołem ocienia polarną falę, wszystko będzie zawsze martwe, posępne i nieruchome w tych nieprzyjaznych, melancholijnych okolicach. Równie mało słabe zimowe słońce ma siły rzucając swój niegrzejący promień, równie leniwie i bezużytecznie igra letnia fala wokół wyspy Zjembli, jak światło duszy wokół tych ciemnych istot”.

No i utrafił. Właśnie wjeżdżał do Nowogródka: „Miasteczko stoi na wyniosłości i jest z daleka widoczne. Tak jak wszystkie miasta Litwy ma w środku duży plac skąd rozchodzą się brudne ulice. W centrum miasta jest kilka nędznych ceglanych budynków, także ruiny zamku czy cytadeli. Ludzie są prostacy, nędzni i brudni, a składają się głównie z Żydów; kobiety jednak bardziej troszczą się o swój strój i mają najładniejszą powierzchowność ze wszystkich litewskich miast, które widzieliśmy. Nie ma prawie handlu poza handlem żydowskim”.

„Scena naszego wjazdu do Nowogródka, z pojazdem podtrzymywanym deską i tylko o trzech kołach, była źródłem nieskończonej wesołości dla mieszkańców. Jak zwykle otoczyli nas Żydzi. Po dwóch dniach szczęśliwie spotkaliśmy Niemca, który nam sprzedał koło”. Wśród miejscowych, przyglądających się cudzoziemcom, mógł być piętnastoletni wówczas Adam Mickiewicz.

*Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych  
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągniętych*

teścił w Paryżu Mickiewicz i zestawienie jego kraju dzieciństwa z Nowogródzczyzną widzianą przez cudzoziemca nasuwa niepokojące pytanie o prawdę opisu. Na pytanie to łatwo odpowiedzieć wyszydając naiwnych, którzy wierzą, że istnieje jakaś rzeczywistość obiektywna poza słowami dodawanymi do słów czy barwami i liniami na płótnie. Anglik nie był uczuciowo zaangażowany, a nawet kierował się swoimi oczywistymi przesądami co do niższości rasowej Żydów i Słowian, toteż i krajobrazy układały mu się ideologicznie. Natomiast dobrze wiadomo, że nawet nędzny kraj, wioska, miasto, jeżeli tam upłynęło nasze dzieciństwo, przystają się w upiększające barwy i *Pan Tadeusz* korzysta ze wszystkich przywilejów dystansu, który zdaniem Schopenhauera — i Simone Weil — jest duszą sztuki. A jednak, należąc do naiwnych, przywiązanych do pojęcia prawdy obiektywnej, można znaleźć niezłe argumenty we własnej obronie. Istnieje coś takiego jak duch krajobrazu i odnajdujemy go u malarzy różnych stuleci, którzy ten krajobraz malowali, czy też u poetów chłonących jego niepowtarzalne cechy. Istnieje też duch miasta, choć trudno uchwytny, bo na przykład wszystkie opisy Paryża wspierają się wzajemnie i nie łatwo oddzielić zobaczo-

ne od zapamiętanego, a więc od obrazów Paryża w malarstwie i literaturze. Również mgiełki i prześwietlone słońcem szarości Isle-de-France są jedyne na świecie i tylko z ich obserwacji mogli impresjoniści wziąć swoje pejzaże, a z kolei oni nauczyli nas znajdować to samo co spostreegli. Kiedy Mickiewicz opisuje stopy akermzańskie, nie mamy powodu mu nie wierzyć. *Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu*: były jednak naprawdę te stopy i były wtedy oceanem zieleni. Zapewne, rzeczywistość jest zawsze wielowymiarowa. Nowogródzczyzna zawierała w sobie i brzydotę jak dla Brytyjczyka i piękno jak dla Mickiewicza. Ale chyba więcej piękna.

Z dziurysza podróży Johnstona można wyciągnąć parę wniosków. Oto jeszcze niedawno cała duża część Europy była na tzw. zachodzie mniej znana niż wyspy Fidzi. Przyjaciel Tadeusza Kościuszki, Thomas Jefferson, pisząc krótki rys biograficzny, wysoce pochwalny, bohatera Amerykańskiej Wojny Niepodległościowej, twierdzi, że urodził się w Wielkim Księstwie Sillicianii (*Grand Duchy of Silliciania*), który to kraj jako żywo nigdy nie istniał. Być może źle odczytał zapisane przez siebie słowo Lithuania. Nieznajomość, także nieznajomość języków i historii tego obszaru, jak u Johnstona, miała poważne skutki, także polityczne, i na wielu decyzjach mężów stanu zaważyła chęć pozbycia się komplikacji wlokących się za krainami, których główne rysy stanowiło ubóstwo i zacofanie — pozbycia się zwykle na rzecz Rosji.

Drugi wniosek dotyczy niebezpieczeństwa uogólnień i pogardliwej oceny narodów, skoro te zawsze są zdolne sprawić niespodziankę. Choć jest to też okazja do zbadania naszych własnych stronniczych sądów. Silliciania, czy jak chce Johnston Sclavonia, ukazywała mu się jako kraj bez historii, najwyżej z mrocznymi dziejami półdzikich szczepów, toteż w pierw musiałaby wkroczyć w dzieje nowożytne, zanim mógłby odezwać się głos jej bardów. Ale czyż nie odnosimy się dzisiaj podobnie do piśmiennictwa krajów młodych, dopiero od niedawna kultywujących swoje języki i swoją narodową odrębność? Rozporządzamy przy tym pewnymi danymi sprawdzalnymi doświadczalnie. Bo jednak wygląda na to, że nie da się przeskoczyć etapów w rozwoju świadomości i że przejście od literatury przekazywanej ustnie do pisanej odbywa się zwykle tak samo: w pierwszym swoim rozpędzie jest ona zajęta jednym tematem, swoją własną narodową czy plemienną wspólnotą, i nie ma w niej miejsca na zagadnienia bardziej uniwersalne. Dlatego, być może mylnie, nie oczekujemy jakichś objawień dla siebie od poetów Jakutii. Również poezja Afryki nuży swoim ograniczeniem się do kwestii tak zwanej *negritude* i kolonializmu.

Nieco inaczej partykularyzm przedstawia się tam, gdzie sło-

wo pisane ma za sobą bogatą przeszłość form i rodzajów literackich. Irlandia straciła swój język gaelicki na rzecz angielskiego, ale zyskała dzięki temu podwójną językową tradycję, celtycką i angielską. Stąd też np. dzieło Williama Butler Yeats'a okazało się dostatecznie uniwersalne, żeby wpłynąć na poezję Anglii i Ameryki, choć tam, gdzie Yeats występuje jako bard irlandzkiego ruchu niepodległościowego, jest mało zrozumiały dla czytelników niewtajemniczonych w historię Irlandii. Tego rodzaju wtajemniczenie jest też chyba potrzebne przy lekturze Joyce'a, choć nastąpiło u niego, buntownika przeciwko służbie narodowej (*non serviam* — nie będę służył) przesunięcie problematyki lokalnej w tzw. wymiar ogólnoludzki.

Gdyby wzgardliwy Johnston dowiedział się, że postponowana przez niego Sclavonia wydała geniusza i że mógłby z nim w Nowogródsku rozmawiać, zdziwiłby się niepomnie i orzekłby, że nastąpił cud. I trzeba przyznać, że kiedy taki poeta jak Mickiewicz pojawia się na głębokiej prowincji europejskiej, graniczy to z cudem. Pojawia się, żeby wraz z romantyzmem gruntować tożsamość narodową, czyli, jako że natchnieniem jest mu kraj pozbawiony wtedy niepodległego bytu, podlega ogólnej zawężającej zasadzie literatur młodych. Zarazem jednak nie jest tylko takim lokalnym piewą, zapewne dlatego, że jest dzieckiem dużego państwa i języka od kilku stuleci zaprawianego do najróżniejszych zadań. Niespodziewane zjawisko, cud — ale zarazem cud prowincjonalny i za tę prowincjonalność nie tylko sam wieszcz będzie płacić cenę.

Trudno w to uwierzyć, ale nieokreśloność dotychczas towarzyszy rozmowom o pochodzeniu Mickiewicza. Ta nieokreśloność zdaje się odpowiadać niejasnym podziałom etnicznym w Wielkim Księstwie, na pograniczu Litwy i Białorusi. Nazwisko Mickiewicz jest tam równie pospolite jak w Polsce Kowalski i Litwini naliczyli 640 rodzin tego nazwiska. Chcieliby oni widzieć w Mickiewiczu Litwina, jednak Nowogródek zawsze, jak się zdaje, pozostawał poza litewskim obszarem etycznym, toteż *Lietuviu Enciklopedija* podaje, choć nie wiem w oparciu o jakie źródła, że dopiero pradziad Adama, Krzysztof Rymwid Mickiewicz, mieszkający w etnicznie litewskim rejonie Radunia, przeniósł się do Nowogródzyny.

Zródłostów nazwiska również nie dostarcza pewności. Koło Wilna jest miejscowość Mickuny, a litewski Mickus, podobnie jak Mackus, należą do nazwisk wziętych z imion — pierwsze od Dymitra, drugie od Macieja. Tutaj Białorusini mieliby punkt dla siebie, bo podczas gdy Mackus, a w ślad za tym Mackiewicz,

wskazują na polskiego Maćka, Mickus pochodzi najwyraźniej od Mit'ki, jak Kościuszko od Kostii. Co dowodzi, jak bardzo splatały się tam ze sobą pierwiastki białoruskie, polskie i litewskie. Dziwnym zrzędzeniem losu, kiedy za rządów komunistycznych dawny Uniwersytet Stefana Batorego został przemianowany na uniwersytet Kapsukas, w istocie stał się on uniwersytetem Mickiewicza, bo Kapsukas był literackim pseudonimem wczesnego litewskiego komunisty o prawdziwym nazwisku Mickiewicz.

Matka poety, Barbara z Majewskich. Profesor Juliusz Kleiner w swoim monumentalnym dziele *Mickiewicz* zastanawia się nad świadectwem Ksawerego Branickiego, które narobiło dużo szumu. Branicki w przedmowie do „Bramy pokuty”, której przekład z hebrajskiego ukazał się w 1879 roku w Paryżu, miał przytoczyć słowa Mickiewicza: „mój ojciec z Mazurów, matka moja Majewska z wychrztów”. Nie wynikałoby z tych słów, że dziad albo nawet pradziad Adama przywędrowali z ziem mazurskich, najwyżej mogło chodzić o starą kolonizację, jak w wypadku szlachty w Dobrzyniu, choć przecie wtedy ślad zachowywał się w nazwiskach. I, równolegle, „z wychrztów” mogło znaczyć, że nie sama matka, ale jacyś jej przodkowie byli ochrzczeni. Tak sądzi profesor Kleiner. Jednakże kto widział to oświadczenie Branickiego? Jak ono naprawdę brzmiało? M. Bosak w swojej pracy o żydowskim pochodzeniu Mickiewicza ogłoszonej w 1953 w Izraelu (podaje to Samuel Scheps w książce *Adam Mickiewicz, ses affinités juives*, 1964) twierdzi, że egzemplarzy „Bramy pokuty” zachowało się na świecie jedynie kilka i że były starannie wykupywane w celu ich zniszczenia, zwłaszcza przez spokrewnionego z Branickimi profesora Tarnowskiego. A zdanie cytowane przez Kleinera podobno brzmi tam tak: „Mój ojciec był Mazurem, matka zaś nawrócona świeżej daty. Następstwem tego jestem na poły Lechita (słyszę już krzyk rozpaczliwych Litwinów), na poły Izraelita, z czego jestem dumny”. Więc która cytata jest poprawna? Czy Kleiner zmienił ją celowo, czy też w ogóle tej oryginalnej nie widział? Litwini ciągnęli w swoją stronę, pomniejszając białoruskość i kraju rodzinnego i folkloru, którym Mickiewicz się żywił. Polacy byli zainteresowani zacieraniem żydowskich śladów. Z kolei ciągnęli na swoją stronę badacze żydowscy. A dane w *Encyclopedia Judaica*, przyjmujące za dowiedzione, że był Żydem, bo z matki Żydówki, trochę zanadto świadczą o chęci, żeby jeszcze jeden wielki człowiek do Żydów należał.

Sam Mickiewicz nigdzie bezpośrednio o tym nie wspomina (chyba „z matki obcej”, co skłaniało do domysłów) i włożone w jego usta wypowiedzi wobec znajomych mogą być prawdziwe albo nie. Niemiecki pamiętnikarz Karl von Varnhagen przytoczył rozmowę z Karoliną Jaenisch, która podczas pobytu Mic-

kiewiczza w Rosji była przez krótki czas jego (niemal) narzeczoną, następnie wyszła za Pawłowa i ma swoje miejsce w literaturze rosyjskiej jako poetka. Po śmierci Mickiewicza Pawłowa miała powiedzieć: „Mickiewicz był Żydem”. Czy tak było rzeczywiście, a jeżeli tak, to dlaczego uważał za stosowne tak twierdzić, skoro wówczas nawet żydowskość po matce nie wystarczała, żeby uznać się za Żyda? I czy mamy wierzyć odrzuconej damie serca? Nie wiemy nawet, czy dla niej „Żyd” to lepiej czy gorzej.

Wszelkie tego rodzaju dociekania tracą sens wobec faktu, że u Mickiewicza nie ma pochodzeniowych zajadów czy urazów i ich brak musiałby być jakoś wytłumaczony przez tropicieli rodowodu. Zresztą nawet dość niski status społeczny nie bardzo mu przeszkadza, a jeżeli przyjmiemy wersję, że Maryla wolała hrabiego, bo Mickiewicz był ubogi, to i tak klasowe niechęci nie zaważyły na jego dziele. Co do Żydów, to znane jego sympatie do „brata starszego Izraela” były okazywane jawnie, a małżeństwo z frankistką Celiną Szymanowską i przez nią związki z wpływową rodziną warszawskich frankistów Wołowskich czyli Szorów tę sympatię potwierdzają.

Mnie osobiście przodkowie Mickiewicza niezbyt obchodzą. Już po napisaniu tych uwag przeczytałem książkę Jadwigi Maurer *Z matki obcej*, gdzie zebrane są argumenty za żydowskim pochodzeniem matki. Autorka przypomina, że nie tylko frankiści przechodzili do stanu szlacheckiego, bo na Litwie każdy ochrzczony Żyd był nobilitowany, i broni swojej hipotezy o takim właśnie wychrzcie, skromnym ekonomie Majewskim w majątku Uzłowskich.

Cały ten spór, nierozstrzygnięty w niemal dwieście lat od urodzenia Mickiewicza, nie jest pozbawiony akcentów humorystycznych, bo może znaczy po prostu, że w Wielkim Księstwie Sillicianii trudno się wyznać. Widocznie trzeba było, żeby tamtejszy wielki poeta wymykał się podziałom narodowościowym i był przykładem wszelkiego rodzaju splątanych genealogii.

Gdyby mnie zapytano, co jest mi najbliższe w dziele Mickiewicza, odpowiedziałbym, że *Zima miejska*, *Ballady i romanse*, *Sonet*, *Pan Tadeusz*, liryki lozańskie, *Zdania i uwagi*. Jego kraj rodzinny został w *Balladach* ustanowiony: *tu „Spójrz, Marylo, gdzie się kończą gaje”*. Już gdzieś pisałem, że prowincja tamtejsza miała nad nim szczególną władzę, tak że duchy i zjawy w *Balladach* ukazywały się rzeczywiście, jak dla kogoś, kto w ich istnienie mocno wierzy, czyli nie są to jedynie romantyczne pomysły, bo pod igraniem, humorem kryje się światopogląd staroświecki, magicznie-religijny, i chyba dlatego te wierszowane

opowieści wydają się nam tak naturalne. *Dziady* są niejako rozszerzeniem *Ballad*: obrzęd białoruski na scenie służy pokazaniu moralitetu z duchami, diabłami i aniołami, rodem ze średniowiecza, z wplecioną w to historią mocno literackiego kochanka, i mocno literackiego, byronicznego buntownika, Konrada. *Dziady* wileńskie są bogatsze w tajemniczość, ale nie mogą powstrzymać się od wyznania: zawsze zastanawiałem się nad tym, co myślała ta, która tak bardzo jest w nich obecna, pani Maryla, hrabina Puttkamerowa. Dwie romantyczne dziewoje mnie niepokoją: ona i Ludwika Śniadecka. Bo nie mogę przystać na ich nieco przesadną duchowość i eteryczność. Ludwika Śniadecka, do której wzdychał Słowacki, to wiadomo: była z tych, które przyjęte w ich epoce obyczaje traktują jako maski, szukając prawdziwego życia, odważając się na brutalną wiedzę o nim, i są jak bohaterki Stendhala. Ludwika miała stać się miłośnicą i awanturnicą, polityczną intrygantką w Stambule jako żona Sadyka-Paszy, i nie wiem czemu wyobrażam ją sobie palącą cygara niby George Sand, przemawiającą grubym głosem. Ale i Maryla nie wiem czy nie śmiała się trochę, czytając o Gustawie, werterowskim samobójcy, wlokącym za sobą gałąź jedliny. Trochę podobnie, z ukosa, nie-romantycznie, warto może spojrzeć i na *Dziady* drezdeńskie.

Co nie jest łatwo, bo najpiękniejsza jaką napisano po polsku poezja chwytą nas i nie puszcza, jakże więc przeciwko niej brykać rozumowi? Cudowny wiersz anioła otwierający scenę pierwszą, budzący się wiezień, duchy z prawej i duchy z lewej strony — już nie uwolnimy się ani na chwilę od tego poetycko-teatralnego szamaństwa, przygwożdżeni, uczestniczący. I dopiero później, kiedy odkładamy książkę albo wychodzimy z teatru, pojawia się refleksja o tamtych wydarzeniach z perspektywy historycznej.

Romantyzm zwyciężył i zgryźliwy starzec-racjonalista ze swoim szkiełkiem i okiem został ośmieszony. Po czym pokolenia były wychowywane w kulcie romantyzmu, także politycznego, do czego i komunistyczna szkoła swoje dołożyła, jako że carat, ruchy rewolucyjne, dekabryści i tak dalej. Historia w ten sposób ułożona toczyła się jak musiała się toczyć, od procesu Filomatów do spisku podchorążych, nocy listopadowej 1830 roku i powstania, aż po nowe powstanie i szubienice Murawiewa. Czy naprawdę musiała, jak do tej konieczności przyczynił się sam Mickiewicz — takie pytania rzadko były zadawane, bo nasuwałyby podejrzenie, że ktoś zaleca, *ex post*, cofnięcie się do politycznej ostrożności klasyków.

Czy ludzie Oświecenia, racjoniści jak Jan Śniadecki, całkowicie się mylili w ocenie romantyzmu? Rozmyślam teraz o wszystkim, czego mnie uczono. Ruchy i idee następujące w czasie po innych są lepsze, bo późniejsze. Klasycy byli zacofańcami, skamielinami. Nikt z nas nie podawał w wątpliwość ukrytych prze-

słanek takiego rozumowania, wymagających niemal heglowskiej wiary w postęp. A przecie warto byłoby pamiętać, że ów „suchy” racjonalistyczny osiemnasty wiek ukształtował twórców niebiańskiej zaiste, nieprześcignionej do dziś, muzyki, że jego loże masonskie dostatecznie podniecały wyobraźnię wtajemniczonych — patrz *Czarodziejski flet* Mozarta — i że największy poeta piszący po polsku właśnie pisarzom Oświecenia zawdzięczał swoją dyscyplinę językową. Żeby jego współczesnych nadal hołdujących rozsądnej poetyce ośmieszyć, nazwano ich pseudo-klasykami — że niby klasycyzm to dobre, ale oni się do niego nie umywają, bo wieszczą krytykowi.

Zastanówmy się, co się dzieje w *Dziadach* drezdeńskich. Wszystkie siły nieba i ziemi zostają poruszone z okazji pobytu w więzieniu (niezbyt uciążliwym) kilkunastu studentów. Wystarcza to, żeby rzucić w twarz panu Bogu skargę na męczeństwo całego narodu i oskarżyć Go o obojętność i na te cierpienia i na wszelkie zło. Czyżby poeta był tak młodociany, że nie miał czasu zastanowić się nad Biblią? A co z krzykiem Hioba? Co z nieszczęściem towarzyszącym człowiekowi przez wieki, z głodem, przemocą, okrucieństwem, chorobą, śmiercią? Czyż Panu Bogu nie można wytoczyć procesu o samą kondycję ludzką? Dlaczego to buntować się dopiero kiedy dzieje się krzywda studentom ze szlacheckich rodzin na Litwie podającym się za naród? A chłopom pańszczyźnianym nie działa się krzywda, i to nie na miesiące i lata liczona? Ci młodzieńcy są, zaiste, niezbyt dojrzały, jeżeli swojemu procesowi nadają metafizyczne i apokaliptyczne rozmiary. Literaci w „Salonie warszawskim” są mali, zgoda, ale czy nie rozumniejsi i jakoś bardziej zadowoleni w swojej kosmopolitycznej Europie Oświecenia?

W *Dziadach* drezdeńskich diabły, anioły i sam Bóg są zaprzęgnięci do polityki, muszą służyć romantycznej, dopiero co odkrytej, idei narodu. To niemało, jeżeli zbawienie duszy zależy od decyzji politycznie poprawnej według kryteriów przyjętych w danym środowisku i w danym momencie. Krótko mówiąc, kto służy caratowi, znajdzie się w piekle. A nawet Pan Bóg posłuży się piorunem żeby go ukarać, jak Doktora. Wielka Improwizacja potęgą poezji rozbraja wszelką krytykę, choć przecie jest to objaw tak daleko posuniętej pychy, że na pewno zasługuje na miano diabelskiej. Dusza Konrada zostaje jednak uratowana przez Księdza Piotra. Nie łatwo opowiedzieć cudzoziemcom chcącym coś z *Dziadów* zrozumieć, kim jest ta postać. W literaturze rosyjskiej, zwłaszcza u Dostojewskiego, występują mało przychylnie traktowani „polskie ksiendze”, którzy łączą w swoich osobach katolicyzm i polski nacjonalizm. Takim „księdzem” jest właśnie ks. Piotr. Scena kiedy jest policzkowany odsyła nas do Ewangelii, do żołnierzy rzymskich naigrywających

się z Chrystusa. Święty, egzorcysta, ma władzę zagładania w przyszłość. „Widzenie księdza Piotra” zawiera, niestety, główną myśl *Dziadów* drezdeńskich. Mówię „niestety”, bo jest to myśl mesjaniczna, wsparta przedmową autora, w której czytamy o narodach europejskich, które płakały nad Polską jak niedołęzne (?) niewiasty Jeruzalemu nad Chrystusem, wsparta następnie publicystyką *Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*, skąd już niedaleko do szaleństw towiańszczyzny. Zgoda, można ostatecznie „Widzenie księdza Piotra” i *Księgi narodu* oddzielić od sekciarskiego opętania — ale, by prawdę rzec, tylko z trudem. „Widzenie” dziś czytane jest żenującą lekturą.

Nie tylko z księdza Piotra naigrawają się cesarscy służalcy jak żołnierze rzymscy z Chrystusa. Całe „Widzenie” robi podobny użytek z Ewangelii i tu nie możemy oprzeć się poczuciu jakiejś niewiarygodności. Car jest nazywany Herodem i urządza rzeź niewiniątek, czyli deportację młodzieży. Rzeź nie przyniosła pożądanego skutku, bo jedno dziecko uszło: „To obrońca! Wskrzesciel narodu / — Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy / A imię jego będzie czterdzieści i cztery”. Kimkolwiek jest to dziecko, może samym Mickiewiczem jak interpretowano, obrońca, wskrzesciel jednego plemienia zrównany zostaje z Chrystusem. Zaraz też ten Mesjasz zyskuje podwójną tożsamość: jest on i osobnym człowiekiem i Polską, którą włoką na trybunał, jak Jezusa. Piłat (Francja) umywa ręce, monarchowie europejscy krzyczą: „Ukrzyżuj!”, po czym naród polski zostaje rozpięty na krzyżu, a żołdak (Moskal) przebija mu bok włócznią i wytacza „krew niewinną mego narodu”.

No nie. To nie lepsze od towiańszczyzny. Kto posługuje się religią Boga-człowieka, czyli religią Wcielenia po to, żeby wprowadzić kolektywnego Mesjasza, traci wszelki sens proporcji i wszystkiego już można się po nim spodziewać. „Widzenie” kończy się powrotem do motywu wskrzesciela, a więc poszczególne człowieka, i prorocstwem, które pozostaje całkowicie niezrozumiałe, i, jak się zdaje, zostało napisane przez Mickiewicza w transie, poza rozumieniem.

Staram się zapomnieć o tysiącach stronic, które o tym napisali poloniści i osądzać rzecz na własny, choćby ograniczony, rozum. Mesjanizm Mickiewicza jest z rzędu pomysłów kompensacyjnych, w których celują gnębione wspólnoty ludzkie, kiedy dorabiają sobie różne mitologie. Co prawda szczycić się swoim niezasłużonym męczeństwem to posuwać się w polepszaniu swego samopoczucia nieco za daleko, bo znaczy to, że niewiele zostało powodów do dumy. Ale widocznie to było bardzo potrzebne, jeżeli polska hierarchia kościelna nie potępiła tej wyraźnej herezji. A Watykan, oskarżany przez Polaków o kunktatorstwo wobec rosyjskiego imperium, okazał pewien takt, bo



przecie mógł „polską herezję” publicznie napiętnować. Jeżeli tego nie zrobił, to widocznie uznał, że są to majaczenia zbyt prowincjonalne, żeby zasługiwały na uwagę.

Gdybyż to oczekiwanie Mesjasza nie było żydowską specjalnością i gdybyż to mesjanizm nie kwitł na ziemiach Rzeczypospolitej! Ale kwitł. W siedemnastym wieku mnóstwo Żydów sprzedaje swoje posiadłości i emigruje do państwa otomańskiego na wieść, że pojawił się tam wybawiciel imieniem Sabbetai Zewi. Ledwo skończył się ruch sabatystów, a również stamtąd, z południo-wschodu, z Salonik, przychodzi nowy Mesjasz, Jakub Frank. Urodzony na Podolu, powraca do „Polin” (Polska po hebrajsku), która ma być ziemią obiecaną, a on jest jej królem. Boski wybraniec, szczególna misja, powołanie plemienne i terytorialne (Frank był przeciw powrotowi Żydów do Palestyny), założenie sekty — zanadto wszystko to rymuje się z wieszczaniem Mickiewicza, w którym tak samo występuje mąż wybrany (Mickiewicz? Towiański?) i wybrana narodowość. Rymuje się — ale jak się łączy, nie próbuję zgadywać, choć aż dziwne, że Mickiewicz, mesjanista i wkrótce sekciarz, wżeniał się, przez małżeństwo z Celiną Szymanowską, w sektę frankistów.

*Dziady* drezdeńskie kończy długi poemat opisowy zatytułowany „Ustęp”, niezwyklej konkretności i siły, który całkowicie rehabilituje Mickiewicza — klasyka. Poemat ten wywarł wpływ na literaturę rosyjską przez swoje obrazy Petersburga, mimo że surowy sąd autora o Rosji nie mógł nie narażać go na zarzuty ze strony rosyjskich patriotów. Jednakże tutaj rozprawa z Rosją jest poważna, bez uciekania się do pomocy romantycznego moralitetu i dzięki temu „Ustęp” ma wartość uniwersalną, tak jak „Jeździec miedziany” Puszkina, niezależnie od polemicznych zamiarów w obu tych utworach, z których pierwszy atakuje, drugi broni.

Tutaj muszę powtórzyć, co nieraz starałem się sformułować: że polscy poeci romantyczni tam są najlepsi, gdzie nie zarczują jeszcze miar i powściągów klasycyzmu. *Maria* Malczewskiego, *Godzina myśli* Słowackiego — i Mickiewicz, — choć nie cały.

Przyznając, że ten poeta jest niekiedy w swoich mesjanistycznych wierzeniach prowincjonalny, kupujemy sobie prawo do bezstronnej oceny mesjanicznych pokus u innych, przede wszystkim u Rosjan. Pokusy te, zwłaszcza u Dostojewskiego, jawnie występujące w jego publicystyce, są skazą jego najwybitniejszych nawet powieści, na przykład *Braci Karamazow*, gdzie cała scena z Polakami rażąco odbiega od poziomu całości i zdumiewa siłą nieważności, do której potrafił zniżyć się równie wielki pisarz.

Na nieszczęście, historia przysłała z pomocą mesjanizmowi Mickiewicza i *Pologne martyre* potwierdzać miała w każdym po-

koleniu jego podział na anielstwo i diabelstwo. Prześladowania studentów przez władze carskie w latach 1820-tych były umiarkowane w porównaniu z tym, co miało nadejść później. W ten sposób *Dziady* stały się paradygmatem wszelkich stosunków Polska-Rosja i przypowieść o procesie Filomatów działała potężnie dzięki doświadczeniom czytelników i słuchaczy. Był szczególny demonizm w fakcie, że do tego samego Wilna, gdzie urzędował Nowosilcow, gdzie odbywał się Bal u Senatora, przysłano w 1863 roku Murawiewa, który wprowadził terror wieszając przywódców powstania. *Dziady* sprawdzały się więc również terytorialnie, a już najbardziej, kiedy nastąpił wiek dwudziesty. Bo wbrew fachowym rozważaniom historyków trzeba powiedzieć, że triumfy rosyjskiego ruchu rewolucyjnego trudno wytłumaczyć inaczej, niż działaniem nieczystej siły — co odgadł w *Biesach* Dostojewski. Następnie bolszewicy pokazali, co umieją, zwłaszcza na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, i sama liczba zamordowanych, deportowanych stamtąd, zamęczonych w gułagach, gdyby dała się ustalić, podniosłaby włosy na głowie. Wiedza o tym, choćby szeptana, towarzyszy pokoleniom i dlatego *Dziady* na scenie są za każdym razem takim wstrząsem dla widzów.

Pogrążając się w Mickiewiczu, uwiedzeni poetyckim słowem, nie jesteśmy wolni od uczucia niewygody, które trudno nazwać. Pomyślmy. Istniało duże państwo zwane Rzeczpospolitą Obojga Narodów, utworzone w następstwie unii Litwy z Koroną. Państwo to miało strukturę klasową, z panami i szlachtą na górze, z chłopami na dole, polskimi w Koronie, niepolskimi w Litwie. Już po upadku tego państwa pojawił się wielki poeta, który pisał tak, jakby i to państwo i ta struktura społeczna nadal trwały — i niewątpliwie trwały w świadomości tych, dla których pisał, a on temu trwaniu dał jeszcze potężny impuls. Jeżeli jednak jego świat, ten który go wydał i którego on był współtwórcą, odsuwał się w przeszłość, z oporami, z klęskami powstań, aż po ostateczny koniec w dwudziestym wieku, kiedy nie zostało nic z jego ściślejszej ojczyzny, Litwy historycznej, jeżeli tak, to chyba coś z tej przemiany rzeczywistości, która go ukształtowała, musi wynikać? Narzucił przekonanie, że Rzeczpospolita w granicach sprzed 1872 roku zwana Polską dalej istnieje i że jej niebył jest jedynie krótkotrwały, oznaczający przejściowy triumf diabła, który dręczy niewinną Polskę — ofiarę. Narzucił to przekonanie komu? Swoim, tzn. mówiącym po polsku mieszkańcom Litwy historycznej, a więc ziemiaństwu i drobnej szlachcie, czyli mniejszości, ale także klasom wyższym w Królestwie, czyli znów mniejszości, natomiast obojętny na takie

wysokie sprawy lud polski miał, w miarę wychodzenia z analfabetyzmu, tę szlachecką rodem wersję historii przyjąć i nawet, co jest nieco paradoksalne, rozpoznać siebie w szlacheckiej kulturze Sopllicowa. Zapewne, w kraju o tak silnym podziale klasowym jak Anglia, ci na dole, mówiący w *cockney*, przyswoili sobie Szekspira, a lud francuski nadal wchłania dworskiego Racine'a. W wypadku Mickiewicza jednak chodzi nie tylko o siłę języka, także o polityczne myślenie czy polityczne odruchy, a właściwie o coś, co można nazwać religijno-politycznym światopoglądem.

Nie tylko Polska w granicach sprzed 1872 roku. Także ciągle obecna u Mickiewicza Litwa — w *Grażynie*, w *Konradzie Wallenrodzie*, w „Litwo, ojczyzno moja”, w hymnie na cześć litewskich lasów. Dlaczego mają to uznać za swoje potomkowie chłopów podkrakowskich czy wielkopolskich? A uznali. Ale przede wszystkim uznali za swoje Litwini i tutaj szczególna rola tego poety w kształtowaniu litewskiej świadomości narodowej, zwracającej się przeciwko samej przesłance jego politycznego myślenia, tj. przeciwko Unii Lubelskiej. Wiadomo, że wszystkie ruchy narodowościowe mają swoje źródło w epoce romantyzmu, tak że romantyzm i nacjonalizm są dwoma skrzydłami tego samego zjawiska, a często synonimami. Centralne tutaj jest pojęcie narodu i działacze litewscy powołali do życia pojęcie narodu litewskiego, którego głównym i podstawowym wyróżnikiem jest język. Z Mickiewiczem mieli kłopoty, bo jego pojęcie narodu różniło się znacznie od tego, które powinna była narzucać romantyczna jedność „duszy ludowej”, języka i wspólnej historii. Jeżeli podmiotem dziejów jest cierpiący i odkupiający naród polski, to jakżiś on polski, kiedy jego poeta nazywa siebie Litwinem i w dodatku czerpie z białoruskiego folkloru i z historii średniowiecznej Litwy? Oczywiście mickiewiczowski „naród” silnie zabarwia się państwowością, tj. obszarem Rzeczypospolitej, a kto wie czy nie podobny jest do zbiorowości-idei, jak naród francuski za Rewolucji. Tym niemniej pierwsi narodowcy litewscy znajdowali u Mickiewicza drogą im swojskość, a czytali go przecie w oryginale, zresztą wielu z nich znało polski lepiej niż litewski. Pochodzili przeważnie z zamożniejszych chłopów i drobnej szlachty, toteż nietrudno im było rozpoznać się w większych obrazach. Choć głównie brali z niego przeszłość, tj. czas świetności dawnej Litwy i walk z Krzyżakami, i zapewne ten zapożyczony z baśni romantycznych rodowód nie mało zaważył na szczególnych cechach litewskiego nacjonalizmu.

Pozytywista polski profesor Marian Massonius odpowiedzialnością za „metafizykę polską” czyli religijną interpretację historii obciążał „romantyczną umysłowość litewską”, która zaraziła empirycznie nastrojony umysł Polaków. Tezę tę można przyjąć jedynie w znaczeniu pickwickowskim, ale w istocie Massonius ma tutaj na

myśli głównie Mickiewicza. Sami Litwini zdradzali mało chęci do przejmowania mesjanistycznej części mickiewiczowskiego dziedzictwa. Trzeba jednak przyznać, że duchy i anioły, tak obficie występujące w dziele Mickiewicza, zdają się być krewnymi tych, które zaludniają litewski krajobraz, jak również że Towiański nie z Polski przecie zjechał do Paryża lecz z Litwy.

Opowiadając się za tym, co w Mickiewiczu jest klasyczne, dają wyraz swojej chęci utrzymania go w stuleciu, w którym się urodził. Jak wiadomo, zaczynał od adaptacji Voltaire'a, ale wiek osiemnasty nie był jedynie wiekiem encyklopedystów. Poza muzyką, która stanowi jakby odpowiednik wcześniejszego o sto lat malarstwa Holendrów, wydał Goethego interesującego się w młodości alchemią, pisma Swedenborga — i pamiętniki Casanowy, jak też cały folklor masonskich „łóż mistycznych” z postaciami takimi jak Martinez Pasqualis i Claude de Saint Martin. Frywolność obyczajowa (kobiety tej epoki, kiedy w starości przyglądały się swoim romantycznym i patetycznym wnuczkom, trochę się z nich podśmiewały), autentyczne poszukiwania religijne, odkrycie wymiaru podróży, jeszcze nie turystycznej, potrzebnej natomiast do wychowania i wtajemniczenia (np. podróż włoska Goethego oraz wędrówki jego bohatera Wilhelma Meistra), dwory książęce goszczące magów i cudotwórców (Cagliostro) — wszystko to współistniało i nadawało stuleciu szczególny koloryt. W Wilnie młodości Mickiewicza jeszcze ten koloryt zdołał się zachować i dobrze, że młody poeta zajmował się poezją Trembeckiego, jak też że napisał uroczą *Zimę miejską*, choć i *Ballady*, uznane za wybuch romantyzmu, są nadal wierne osiemnastowiecznemu poczuciu humoru.

Prawdopodobnie tamto Wilno żyło jeszcze językowymi i w ogóle kulturalnymi zapasami sprzed rozbiorów i dlatego tak ważne są jego loże masonskie, „Wiadomości brukowe” oraz osobowości Jana i Jędrzeja Śniadeckich. Był to jednak niejako żywot pośmiertny i ogromne państwo, starte z mapy Europy, już zamieniało się w Sillicianię, w krainę nigdzie. Naród bez państwa: to już temat dla bardów narodowych, potrzebnych w danym układzie, choć noszących piętno zaścianka. Mickiewicz stoi na pograniczu dwóch epok, ale jego wielbiciel z końca dwudziestego wieku wołałby, żeby obeszło się bez egzaltacji jako odpowiedzi na niewolę, bo ciężkie to dziedzictwo i nie najlepiej przygotowane do zajęcia skromnego ale bezpiecznego miejsca w międzynarodowej wspólnotce.

Czesław MIŁOSZ

## Strona Grandiera\*

Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu

W czasie śledztwa Grandier milczy. Nie przyznaje się do winy. Nie obciąża nikogo zeznaniami. Miażdżą mu nogi. Nadal milczy. Proces jest farszą, a wyrok znany z góry. Sędziom nie chce się nawet udawać, że są bezstronni. Zapada wyrok. Grandier milczy. Egzorcysty boją się, że zbiera siły na czas egzekucji. Że ze stosu wykrzyczy parę niebezpiecznych słów. A do tego nie wolno dopuścić. Więc zaczyna się ponury przetarg o śmierć między oprawcami i ofiarą. Mówią mu, że życie ludzkie jest wartością najwyższą po to, by udowodnić, że także i śmierć może stać się wartością. Ale w przypadku Grandiera wartością okazuje się sposób zadania śmierci, technika zabijania. W zamian za milczenie mnisi przyrzekają Grandierowi, że kat udusi go przed podpaleniem stosu.

Jakie argumenty padły w czasie tego przetargu? Czy to w pół żywe ciało było zdolne do czegoś więcej niż do wsłuchiwania się we własny ból?

Być może mnisi zaczęli odwoływać się do sumienia skazańca? Może zaczęli mówić o Sprawie, której Grandier winien się przysłużyć przedśmiertnym milczeniem? Do tej pory milczenie było dowodem, że nieszczęsny ksiądz czerpie siły ze współpracy z diabłem. Teraz milczenie staje się zgodą na wyrok. Zgoda na wyrok jest przyznaniem się do winy. W ten sposób grzesznik korzy się przed trybunałem i dopomaga Prawdzie w walce ze Złem. Czy Grandier dał się przekonać tej złowrogiej dialektyce? A może oteępiały z bólu i z lęku, ostatecznie ponizony, marzył już tylko o jednym: o szybkiej śmierci?

\* Fragment większej całości.

W każdym razie przyrzekł, że będzie milczał. I starał się dotrzymać tego słowa. Spłonął 18 sierpnia 1934 roku. Spłonął żywcem, bo zanim dobry kat podszedł doń z powrozem do duszenia, egzorcysta — franciszkanin Lactance — podłożył ogień pod stos. Wtedy — podobno — Grandier zawył: — Oszukaliście mnie! Wierzył do końca. A czy mógł nie wierzyć? A co by się zmieniło, gdyby nie uwierzył? Nic.

Wszedł jednak w układy z prześladowcami. Milczeniem uprawomocnił ich zbrodnię. Uzasadnił oskarżenie, inscenizację procesową i wyrok. Chcąc śmierci, co wybawia, zdradził własne cierpienie; utracił niewinność. Ale czy można mu czynić z tego powodu wyrzuty? A jeśli tak, to w imię jakich wartości?

Rubaszow w *Ciemności w południe* Artura Koestlera przyznaje się do zbrodni, których nie popełnił. Pod dyktando śledczego Gletkina „oddaje partii ostatnią przysługę”. Gletkin wyjaśnia (a moim zdaniem to wyjaśnienie jest formą tortury):

„...Wasze zadanie jest proste (...) Waszym zadaniem jest zohydzić opozycję, dać masom do zrozumienia, że opozycja jest zbrodnią i że przywódcy opozycji są zbrodniarzami (...) Partia nie obiecuje wam żadnej nagrody (...) partia daje tylko jedno przyrzeczenie: po zwycięstwie, kiedyś, kiedy to już nikomu nie zaszkodzi, opublikuje się wszystkie tajne archiwa. Wtedy świat dowie się, co stało za ową szopką — jak wyście to nazwali — którą musieliśmy przed nim odegrać zgodnie ze skryptyem reżyserskim historii...”

Rubaszow odpowiada: — „Zastanawiałem się zawsze, jak wygląda neandertalczyk na sentymentalno. Teraz wiem...” i godzi się na kontrakt, w wykonaniu i niewykonaniu którego czeka go nieodmiennie strzał w potylicę.

Od 1940 roku, a więc od chwili wydania *Ciemności w południe*, Rubaszow uchodzi za tego, który podjął się „ostatniego zadania”, tak jak Nikołaj Bucharin w czasie procesu „Antyradzieckiego Bloku Prawicowo-Trockistowskiego” w Moskwie w 1938 roku. Co więcej, liczni recenzenci uznali, że taka interpretacja powieści Koestlera nie tylko ostatecznie tłumaczy zachowanie Bucharina przed sądem, ale w ogóle wyjaśnia wszystkie tajemnice procesów moskiewskich. Sam Koestler zwracał jednak uwagę (na przykład w *The Invisible Writing*), że tworząc postać Rubaszowa myślał o Bucharinie i Karolu Radku (a także o Lwie Trockim), ludziach, którzy znacznie się od siebie różnili. Warto też dodać, że we fragmentach opowiadających o działalności Rubaszowa — wysłannika Międzynarodówki Komunistycznej w Europie zachodniej — pisarz niewątpliwie miał przed oczyma Georgija Dymitrowa (był blisko Willygo Mün-

zenberga, a ten z kolei pozostawał w stałym kontakcie z Dymitrowem w latach 1929-1933). Do środowiska komunistów anty-stalinowców, w którym potem obracał się Koestler, docierały wiadomości (także za pośrednictwem agentów N.K.W.D.) o kulisach procesów moskiewskich. Kto chciał wiedzieć — mógł z mieszaniny plotek, półprawd i strzępów prawdy wysnuć wniosek, że u podstaw sukcesów Stalina leżą szantaż, przemoc, morderstwo. Wiadomo było, że N.K.W.D. został upoważniony do stosowania „nacisku fizycznego”, że Kamieniew i Zinowiew przyznali się do działalności terrorystycznej w zamian za obietnicę życia, mówiono też wówczas, że Ordżonikidze, który im tę obietnicę złożył, popełnił samobójstwo na wieść o ich zabiciu...

Rubaszow przyznaje się przed sądem do udziału w zbrodniczym spisku i wszystkich wynikających stąd konsekwencji (choć też nie do końca). Tymczasem Bucharin doprowadził zasadę samooskarżenia do absurdu mówiąc, że poddany „średniowiecznym zasadom procesowym” bierze na siebie odpowiedzialność polityczną za zbrodnie popełnione przez kontrrewolucyjną organizację „niezależnie od tego, czy o nich wiedział czy też nie wiedział”. Następnie — wzbudzając tym wściekłość Andrzeja Wyszynskiego, który zapienił się: „...Bucharin... to skrzyżowanie lisa i świni...” — odrzucił oskarżenia o współpracę z wywiadem niemieckim, brytyjskim i japońskim, o udział w zabójstwie Kirowa, Mienżyńskiego, Gorkiego, o udział w spisku na życie Lenina, a skwapliwie wyznających swe mniemane winy Szarangowicza i Iwanowa nazwał „agentami-prowokatorami”. Wiedział, że musiał zginąć. Wiedział o tym na długo przed aresztowaniem. Uwięziono jego przyjaciół, a wtedy on — mieszkaniec Kremla, „ulubieniec Partii” — ogłosił głodówkę. Jego przyjaciele poszli pod ścianę. Wtedy zaczął walczyć o sposób umierania dla samego siebie. W czerwcu 1937 roku odrzucił przygotowany przez Stalina tekst wymaganych odeń zeznań. Przez następne miesiące, aż do końca lutego 1938 roku, „w dzień i w nocy” poddawano go obróbce przypominając, że od jego postawy przed sądem zależy los żony i dziecka. Skazano go na śmierć 13 marca 1938 roku. Dwa dni później prasa sowiecka podała wiadomość o wykonaniu wyroku. Plotki głoszą, że na chwilę przed śmiercią przeklął Stalina, ale to tylko plotki.

W 1980 roku powieść Koestlera przeczytał, a następnie poprzedził wstępem Władimir Bukowski. Píše tam tak:

„Zachowanie ofiar moskiewskich procesów z lat trzydziestych dotychczas stanowi psychologiczną zagadkę. (...) Jakże mogło się stać, że *niezłomni rewolucjoniści*, którzy w przeszłości wytrzymywali ciężkie roboty i tortury, nagle przyznawali się publicznie do absurdalnych rzekomych przewinień i kajali się, pokornie błagając o

litość, bez widocznego wstydu i zahamowań. (...) Dlaczego przynajmniej nie wyszli na spotkanie śmierci z należytą godnością? Przecież żadna siła nie byłaby w stanie zmusić ich do milczenia na sali sądowej. A jednak znane są tylko dwa albo trzy przypadki ofiar, które próbowały zadać kłam oskarżeniu, a i to bez należytej energii. Naturalnie byłoby naiwnością podpisywanie się pod twierdzeniem Gletkina i większości marksistów na Zachodzie, jakoby wszystko to było kwestią *kondycji fizycznej*. (...) Tortury łamią ludzi, którzy chcą żyć, lecz nie tych, którzy są gotowi umrzeć w każdej chwili za sprawę, której zawierzyli i służą”.

Alexander Weissberg i Gustaw Herling-Grudziński przeszli przez więzienia N.K.W.D. w tamtych latach. Pierwszy został w 1941 roku wydany przez Rosjan w ręce Gestapo. Przeżył. Zapisał w *Wielkiej czystce*, że „... zmuszano ich do samooskarżeń nie dialektyką, lecz torturami i głodem”. Drugi, uzyskawszy wolność na mocy układu między Sikorskim i Stalinem, przedarł się do korpusu generała Andersa. Przeżył i zaświadcza w *Innym Świecie* oraz w pięknych i smutnych esejach, że tajemnicy samooskarżeń trzeba szukać w „technice tortur i głodu wypracowanej przez stalinizm”. Jeśli przyjmiemy, że Weissberg i Herling-Grudziński (oraz Robert Conquest na przyczepkę) stanowią większość marksistów na Zachodzie, to przyjdzie przyznać rację Bukowskiemu.

Popow, ten sam, który był współoskarżonym w procesie o podpalenie Reichstagu, potem wraz z Dymitrowem i Tanewem odleciał samolotem do Moskwy, odśpiewał „Międzynarodówkę”, a zanim wyszły mu lzy wzruszenia, znalazł się w celi Łubianki, opowiedział po latach memu ojcu, a ten z kolei mnie, o mniej znanych fragmentach procesu Kostowa. Jak wiadomo, Trajczko Kostow Dżunew, sekretarz Komitetu Centralnego partii komunistycznej w Bułgarii, oskarżony wraz z grupą towarzyszy o zdradę, „spiskowanie na żołądzie Zachodu” oraz szereg przestępstw kryminalnej natury, przyznał się do „odchylenia nacjonalistycznego” i błędów politycznych, ale już w pierwszym dniu procesu (7 grudnia 1949 roku) powiedział, że nie potwierdza zeznań złożonych w śledztwie. Zaskoczony sąd zarządził przerwę. Drobiazgowy scenariusz procesu nie przewidywał takich ekstrawagancji. Kostow został wywleczony z sali. Następnie odczytano jego zeznania (podpisane przezeń 27 października 1949 roku), w których przyznawał się do przedwojennych kontaktów z Kunem i Waleckim (rozstrzelanymi w latach trzydziestych w ZSSR), współpracy z Tito i z Dżilasem oraz wywiadem anglo-amerykańskim. Potem proces toczył się gładko, gdyż Kostowa faszzerowano narkotykami. „... Jak Van der Lubbe...” — mówił Popow. Do skandalu doszło 14 grudnia 1949 roku. Był to ostatni dzień procesu. Kostow, jako jedyny z oskarżo-

nych, zaprotestował: „... nigdy nie wiązałem się z wywiadem brytyjskim, nigdy nie służyłem Tito...”. Doradcy rosyjscy szybko przekuli tę klęskę w zwycięstwo: fakt, że Kostow mógł stawić opór wykorzystano propagandowo jako dowód wiarygodności przewodu sądowego. Tego samego dnia obecnym w Sofii dziennikarzom zagranicznym pokazano rękopis prośby Kostowa o łaskę: „... potwierdzam zeznania złożone w śledztwie... (...) ubolewam nad swoim zachowaniem przed sądem, które jest rezultatem napięcia nerwowego i wyrazem chorobliwej inteligenckiej żądzy sławy”. Zabito go, zdaje się, zaraz potem. Tak okrutnie, że Popow, który widział w życiu parę rzeczy naprawdę strasznych, nie chciał wdawać się w opisy.

Scenariusz procesu Kostowa był starannie przygotowany. Pojawienie się w nim nazwisk Kuna i Waleckiego nie było przypadkowe. Planista wyznaczał w ten sposób dalszy ciąg sprawy na Węgrzech i w Polsce. Jesienią 1949 roku doszło do serii aresztowań w Warszawie. Stach Bielski, syn Waleckiego, służył wówczas w Wojsku Polskim. Miał za sobą straszliwe doświadczenia śledztwa i łagru w ZSSR. Przyjaciółom, którzy po wojnie wyrwali go z Rosji, powiedział, że „... jeśli to przyjdzie drugi raz — to nie ma po co żyć”. Dowiedziawszy się z prasy o pojawieniu się nazwiska jego ojca w procesie Kostowa, poprosił o zwolnienie ze służby. Bolesław Bierut zapewnił go, że nie ma powodu do obaw. Nie będzie żadnych czystek, żadnych powtórek, żadnych represji. W 1952 roku Informacja uwięziła wszystkich przyjaciół Bielskiego. Został osaczony. Sięgnął po pistolet. Na wieść o tym szef Informacji, pułkownik Wozniesieński, wrzasnął histerycznie: — „Uciekł, łajdak!” i pojechał obejrzyć stygnące zwłoki. Nachylił się nad roztrzaskaną głowę Stacha. Ostrożnie sięgnął po kawałek mózgu, uniósł do nosa, powąchał. Potem strzepnął grudkę z palców, rozplaskala się o blat biurka, i kołysząc się na obcasach powiedział: — „... *sobakie — sobacz'ja smert*”. I wyszedł.

Istnieją dusze tak wzniosłe, tak wysoko kroczące ponad ziemią, że niezdolne do rozumienia tego, co dzieje się w dole, pośród ludzi którzy mają ciała i przeczuwają, że istnieje los. Kiedy więc czytam pełne obrzydzenia słowa Bukowskiego o tych, co „kajali się, błagając o litość, bez widocznego wstydu i zahamowań”, zaczynam myśleć o świętości, której źródłem jest niewiedza grzechu. Ta świętość opiera się na przekonaniu, że światło jest nam dane raz i na zawsze. Albo wcale nie. Jednym tak, a drugim nie. Jeśli tak, to wynika stąd, że są dwa gatunki ludzi. Pierwszy i lepszy — usprawiedliwiony przez wiarę. Ci umierają dumnie, zawsze w odprasowanych koszulach i czystych gaciach — a więc tak, jakby nie umierali. (Na pogrzebnie

Edwarda K., zaszczutego w 1968 roku przez dawnych towarzyszy partyjnych, jakiś człowiek wykrzyknął nad trumną: — „Komuniści nie umierają! — „Jasne” — uśmiechnęła się stojąca obok mnie starsza pani. Jej ojciec, matka, mąż, siostra i bracia zakatowani w ZSSR, ona sama dziesięć lat Sybiru plus ciężkie przejścia w Polsce Ludowej. Ciekaw jestem, czy Bukowski uważa, że nieśmiertelni są antykomuniści). Drugi i gorszy — tych, co na chwilę przed śmiercią jęczą o litość i srają pod siebie ze strachu. Są też — odpowiednio — dwa rodzaje bólu. Pierwszemu należy się współczucie, gdyż jest moralnie czysty. Drugiemu szyderstwo i pogarda. I dwa rodzaje śmierci. Pierwszy — godny pochwały. Drugi — nie warto mówić, *sobakie — sobacz'ja smert*. Ja jestem z tego drugiego, gorszego gatunku. Dlatego pytam: a jeżeli światło nie jest nam dane raz i na zawsze, to co? A jeśli światło rodzi się z nas, z naszego poszukiwania światła, z niepewności, z prób sprawiedliwego ważenia sprzecznych racji i motywów, z rozstrzygnięcia dylematów, których rozstrzygnąć się dobrze nie da, z poszukiwania światła, które niekiedy przygasa, niekiedy znika, a przecież nie wolno ustawać w dążeniu do niego — to co wtedy?

Świętość zrodzona z niewiedzy grzechu opisuje świat wedle powinności, a nie wedle namacalnych faktów. Te nie są ważne. Nieczuła na dźwięki, barwy i zapachy, z kurczowo zaciśniętymi powiekami (i pośladkami też) zaślepią się w kokonie wszechwiedzy. Stamtąd ogłasza nieodwołalne wyroki. Ponieważ nie ciekawia jej ludzkie intencje, odrzuca z rozmachem zasady tworzące moralny rozum prawa. Nie umie wybaczać. Nie zna tego pojęcia. Jakże by zresztą mogła wybaczać grzech, a więc coś, o czym nie ma pojęcia? Nie umie tedy sądzić. I nie powinna! Sprawiedliwość, prawo do sądenia to sprawy zbyt poważne, by powierzać je moralności!

Czytałem we wspomnieniach jednego z sowieckich literatów, że Stalin, człowiek o znacznym poczuciu humoru, lubił w chwilach wolnych słuchać opowieści o tym, jak Zinowiew i Kamieniew błagali o litość i całowali po nogach i rękach swych oprawców, byle by tylko darowano im życie. Najładniej opowiadał to człowiek, który był odpowiedzialny za wykonanie egzekucji. To znaczy, który osobiście do nich strzelał. Miał podobno zdolności aktorskie. Patrząc nań Stalin trząsał się ze śmiechu, potem nagle poważniał i wtedy wszyscy rozumieli, że dobrze się stało i że tak trzeba było: zlikwidować te *swolotczy*, te gnidy pozbawione godności. A wtedy Stalin machał ręką: — „Opowiadaj od początku...”.

Trafnie zauważa Gustaw Herling-Grudziński (w *Nieposkromionym umyśle*), że teoria „ostatniej przysługi oddanej Partii” powstała nie tyle może nawet w wyobraźni Koestlera, co w

podświadomości wielu komunistów i ekskomunistów, broniących się przed prawdą faktów. Rzecz należałoby chyba rozszerzyć: powieść Koestlera nie miała szczęścia do interpretatorów. Jej tekst służył im jako pretekst do rozważań, które niewiele miały wspólnego z jego brzmieniem dosłownym. I tak Maurice Merleau-Ponty (w *Humanisme et Terreur*) zarzucał Koestlerowi w 1947 roku, właśnie w związku z *Darkness at Noon*, że słabym jest marksistą, skoro nie rozumie, dlaczego Rubaszow musiał być zlikwidowany. Wykład francuskiego filozofa przypominał językową zabawę dziecięcą:

grunt to ziemia,  
ziemia to matka,  
matka to anioł,  
anioł to stróż,  
stróż to dozorca  
a zatem grunt = dozorca

a streszczał się tak: po pierwsze, historia jest; po drugie — historia ma sens; po trzecie — sens dziejów został ostatecznie określony przez zasady materializmu historycznego, marksizm jest wskazaniem warunków, bez których nie będzie ludzkości w sensie wzajemnego stosunku człowieka do człowieka ani racjonalności w historii, zatem po czwarte — proletariatus jest klasą, która nieuchronnie zbawi ludzkość; po piąte — emanacją proletariackiego przeznaczenia, spełnieniem jego świadomości i jego praktyki rewolucyjnej jest Partia; po szóste — Związek Sowiecki nie jest zapewne państwem idealnym, nie spełnia postulatów humanizmu drobnomieszczańskiego, a jakże są tam obozy i plutony egzekucyjne, ale... po siódme — ... w konkretnej sytuacji dziejowej, przez zniesienie prywatnej własności środków produkcji, przez wydanie bitwy imperializmowi, spełnia treść postanowienia proletariatus, kroczy ku finałowi Dziejów; po ósme — każdy krok Partii jest jej zwycięstwem, działaniem opozycyjnym wobec linii generalnej na danym etapie jest zatem przestępstwem nie tylko przeciw Partii, ale i przeciw interesom proletariatus, to jałowa próba zakwestionowania sensu dziejów; po dziewiąte — Bucharin subiektywnie był szczerym rewolucjonistą, ale oponując przeciw likwidacji NEP-u, przeciw kolektywizacji, przeciw „terrorystycznej dyktaturze”, obiektywnie stanął w szeregach wrogów rewolucji, musiał zatem zostać zmiądzony.

W istocie przedmiotem rozważań Merleau-Ponty'ego nie była ani historia życia i umierania Rubaszowa, ani sens powieści Koestlera, ani rola terroru w budowie społeczeństwa sprawiedliwego, w którym „człowiek doświadcza autentycznej intersubiektywności”, lecz radość samego filozofa z powodu ostatecznego rozwiązania zagadki bytu.

Z kolei Stephen F. Cohen, autor znakomitej biografii Bucharina (*Bukharin and the Bolshevik Revolution. A Political Biography 1888-1938*) pisze, że Rubaszow to „...skruszony bolszewik i moralnie zbankrutowany intelektualista...”. Tekst powieści Koestlera wskazuje jednak, że Rubaszow, przez długie lata oddany regule głoszącej, że cel uświęca środki, właśnie w więzieniu pojmuje bezmiar udręk, jakie sprowadził na swych bliźnich. Bierze na siebie odpowiedzialność za wszystko. Przyznaje się do winy. Ale nie tej, o którą jest oskarżony. Mówi w ostatnim słowie: „Biada pokonanym, których historia siera w proch. (...) Zapłaciłem; moje porachunki z historią są zamknięte. Byłoby śmiesznie prosić o łaskę”. Wie, że mówi tekstem otwartym. Wie, że dla tych, co go słuchają, dla milionów wymóżdżonych przez strach i przez wiarę, te słowa nie mają znaczenia. Z jego poręki, z jego starań, z jego „walki i pracy” wyrosło pokolenie Gletkinów, neandertali równie okrutnych, co sentymentalnych. Jeden tylko człowiek, sprawiedliwy, rozumie o czym mowa. Ten jeden ma w pamięci słowa Ewangelii. Wynika to z tekstu powieści, że w chwili, w której stary Wasyl szepcze: — „Niech się dzieje wola Twoja. Amen”, strażnik strzela dwukrotnie w głowę Rubaszowa, a *wieczność obojętnie wzrusza ramionami*.

Jak wiadomo, jeszcze przed publikacją *Darkness at Noon* o pojedynku Gletkina z Rubaszowem pisał Walter Krywicki, wysoki funkcjonariusz wywiadu sowieckiego, uciekinier, zamordowany potem w Nowym Jorku przez agenta N.K.W.D. W *Byłem agentem Stalina* Krywicki stwierdził, że sukcesy sowieckich oficerów śledczych biorą się ze stosowania mieszanki: „...odwołują się do słabości ciała i do najszlachetniejszych rzeczy, jakie posiada człowiek...”. Gustaw Herling-Grudziński zauważa w związku z tym, że Krywicki „użył wyrafinowanej interpretacji psychologicznej, by pokryć nieznośną dla siebie (bo zbyt prostą) rzeczywistość”. Uważam jednak, że w tej mieszance „słabość ciała” i „najszlachetniejsze rzeczy” nie są przeciwstawne. Na odwrót — to raczej harmonizujące ze sobą składniki skutecznej mikstury. Kto chce umierać w świadomości zeszmacenia? Ból ciała jest potęgowany przez torturę użycia „rzeczy najszlachetniejszych”. Nie ma takiej dźwigni, na której można by umieścić ich ciężar. Przecież Iwanow, pierwszy śledczy przesłuchujący Rubaszowa, jest jego przyjacielem od wielu lat. Zawdzięcza mu życie. Przecież wyrok śmierci wydany jest przez Partię, której Rubaszow bezgranicznie się poświęcił. I dla której — przyjmując, że cel uświęca środki — wyparł się wszelkich uczuć moralnych. Co więcej, czyniąc zeń mierzwę, partia żąda jeszcze „ostatniej przysługi”. I jeszcze więcej: żaden ze śledczych nie udaje przed Rubaszowem, że oskarżenie jest prawdziwe. Prawdziwa ma być tylko jego śmierć. Potrzebna Partii. Potrzebna

ludzkości, która na wehikule terroru dojedzie do szczęśliwego kresu Dziejów. Wszystko wywrócone na nice. Na wypalenie. Pozostaje pustka, którą wypełnia przeraźliwy głos Obywatela Prokuratora: „... nie macie widać żadnego czucia moralnego!” Wtedy Rubaszow odpowiada: — „Widać nie mam”. Nie sposób oddzielić bólu zmiążdżonego ciała od bólu zmiążdżonej duszy. O pięknie bohaterskiego skonania najwznieślej mówią hipokryci.

Franciszek Skibiński przeczytał *Darkness at Noon* w 1947 roku, na pokładzie statku „Easter Prince”, płynącego z Edynburga do Gdańska. W 1917 roku, jako osiemnastoletni maturzysta, wstąpił ochotniczo do pułku ułanów w organizującym się na Ukrainie korpusie Dowbora-Muśnickiego. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej został odznaczony *Virtuti Militari*. Walczył w kampanii wrześniowej, był szefem sztabu brygady kawalerii pancernej we Francji, po klęsce w 1940 roku przedarł się przez Hiszpanię do Anglii. Wojnę skończył w Wilhelmshaven, jako dowódca brygady pancernej. Po dłuższych wahaniach postanowił wracać do kraju.

„Miałem w Polsce córkę, dwie siostry. Wiedziałem, że emigracja nigdy nie ma racji. Trzeba wracać i pracować dla Polski. Żyłem nadzieją, że socjalizm polski nie będzie socjalizmem stalinowskim, ale jakimś odmiennym, polskim rodzajem socjalizmu, do którego trzeba będzie się jakoś przyzwyczaić, jakoś przyjąć, mimo, że jako zawodowy kawalerzysta nie miałem żadnych lewicowych ciągotek”.

Leżał w kabinie i czytał powieść Koestlera. Pod koniec lipca statek wpłynął do Gdańska. Przy burcie statku pojawiła się motorówka. Na pokład weszła grupa uzbrojonych ludzi w cywilnych ubraniach.

„Na ich widok kapitan statku powiedział do mnie: *Polish Gestapo is coming*. Przyjrzałem się temu *Polish Gestapo*. To byli oczywiście bezpieczniacy. Na ich widok stojący obok mnie pułkownik brytyjski powiedział: — Brygadierze, a może by pan poprosił o azył i wrócił ze mną do Szkocji?”

Po przyjeździe do Warszawy Skibiński objął katedrę wojsk pancernych i zmotoryzowanych w Akademii Sztabu Generalnego.

„Miałem trudności z przyzwyczajeniem się do nieznanymi mi obyczajów. Wszyscy mówili hermetycznym językiem partyjnym. Odbywały się — przeniesione żywcem z ZSSR — tzw. „prasówki”, w czasie których ktoś z oddziału politycznego referował nam, jak należy rozumieć taką czy inną wiadomość z gazety; tak, jakbyśmy

sami nie umieli czytać. Były też „masówki”, w których musieli brać udział wszyscy, od kadry nauczającej przez słuchaczy po sprzętaczki. Na jednej z takich „masówek” któryś z oficerów-studentów wystąpił z zarzutami przeciwko mnie. Po pierwsze, że pułkownik Skibiński widzi okoliczności łagodzące dla naszej przegranej w 1939 roku, po drugie — że pułkownik Skibiński wyklada przez 45 minut korzystając jedynie z notesu. Ten drugi grzech okazał się bardzo poważny. Sowiecki konsultant akademii generał Ozierow wyjaśnił mi, że moim obowiązkiem jest napisanie całego wykładu na maszynie, a następnie odczytanie go słuchaczom (...) Od 1949 roku zaczęły napływać informacje o aresztowaniu moich kolegów. Miałem czyste sumienie i byłem pewien, że nic mi nie grozi, a jednak doszło do tego, że każdy dzwonek telefonu stojącego na moim biurku przejmował mnie lękiem i wstrętem”.

27 kwietnia 1951 roku Skibiński został aresztowany i osadzony w więzieniu Informacji Wojskowej.

„Cela, w której mnie zamknięto, miała robić na więźniu właściwe wrażenie. Betonowe, kąpiące wilgocią ściany, brak okna, „Boże ratuj!” — napisane krwią. Później zorientowałem się, że to nie była krew ale czerwona farba, a napis wykonał funkcjonariusz Informacji... Przypomniałem sobie wtedy książkę Koestlera *Darkness at Noon* i stało się jasne, że nie ma już dla mnie ratunku. (...) Głównym narzędziem tortury był zakaz snu. Po bezsenności trwającej dwa, trzy lub więcej tygodni człowiek przestaje być normalny. (...) Z powieści Koestlera przypomniałem sobie, że z chwilą wpisania mnie do scenariusza — mój los został przesądzony. (...) W pewnym momencie załamałem się i przyznałem do spraw, z którymi nie miałem nic wspólnego. Z czasem upewniłem się, że ujawnienie przed kimkolwiek, nawet przed oficerem śledczym, faktu, że śledztwo i proces są reżyserowane, pociągnie za sobą natychmiastowe wykonanie wyroku, nawet jeśli wyrok jeszcze nie zapadł. (...)

Skulbaszewski (zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji — p.m. MK) zadał mi jakieś pytanie. Odpowiedziałem inaczej niż poprzednio. Skulbaszewski na to: — „Poprzednio mówiłeś coś innego”. Ja odpowiadam: — „Panie pułkowniku, a czy to nie wszystko jedno, przecież cokolwiek panu powiem, to i tak nie będzie prawdziwe”. On na to rąbnął pięścią w stół i wrzasnął: „Ty skurwysynu, to ty chcesz we mnie wmówić, że to jest reżyserowany proces? Że to jest nieprawda? To my tobie w łeb strzelimy jak Barbasiewiczowi i Machalii, którym już dawno kapusta z dupy rośnie”. Oni obaj napisali do Bieruta, że ich zeznania były wymuszone. Zabito ich natychmiast. (...) Mój proces był wyreżyserowany od początku do końca. Sądono mnie z czterema innymi oficerami. Trzech z nich zobaczyłem wtedy po raz pierwszy w życiu. Akt oskarżenia mówił, że byli moimi najbliższymi współpracownikami w spisku. Zostałem skazany na karę śmierci”.

Franciszek Skibiński wyszedł na wolność wiosną 1955 roku.

Jacek Różański przeczytał powieść Koestlera w 1948 roku. Miał wtedy czterdzieści jeden lat. Absolwent prawa Uniwersytetu Warszawskiego, biegle władający paroma językami, erudyta, był od 1945 roku wysokim oficerem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Uważał się za znawcę dusz ludzkich. Twierdził, że stosowne zeznania można wydobyć z każdego, ale nie każdy umie to zrobić. Protokoły przesłuchań przez niego prowadzonych wskazują że miał rację. Nie jest prawdą, że sukcesy śledcze osiągał jedynie przy pomocy bicia. Gardził w związku z tym kolegami ze służby, którzy dawali pierwszeństwo zasadzie „nacisku fizycznego”. Ci z kolei uważali, że jest człowiekiem przewrotnym, który dla wykazania swej wyższości gotów jest zdradzić najbliższego przyjaciela. Zwolniony z Ministerstwa Bezpieczeństwa w połowie 1954 roku, został dyrektorem Państwowego Instytutu Wydawniczego, jednego z najlepszych polskich wydawnictw literatury pięknej. Podpisując umowę z P-skim (a ten był antystalinowcem, głośnym poetą „odwilży”) powiedział: — „Niech pan nie ma złudzeń, jestem oprawcą tylko dlatego, że godząc się na A — za was dopowiedziałem alfabet do końca. Pierwsza litera była najważniejsza”. W listopadzie 1957 roku został skazany na 15 lat więzienia. W czasie procesu powiedział m.in.:

„... Pogarda dla prawa była w całym Bezpieczeństwie od góry do dołu. Myśmy widzieli często, jak naginali prawo, myśmy widzieli, jak aresztowano człowieka za jakąś rzecz, i przesłuchiowano, a mówiliśmy: po co nam podstawa, trzeba ją stworzyć. Byliśmy fałszywą prawdą”.

Leon Gecow przeczytał powieść Koestlera w 1948 roku. Był wówczas dyrektorem Biura Wojskowego w Ministerstwie Zdrowia. Utrzymywał kontakty służbowe z Polskim Czerwonym Krzyżem i jego zagranicznymi gośćmi. Urodził się w Zduńskiej Woli w 1911 roku. Studiował medycynę w Pradze, w Wilnie i w Zurychu. W czasie studiów w Szwajcarii wstąpił do *Marxistische Studenten-Gruppe*. Jej członkiem był Herman Field. Brat Hermana, Noël, pracownik Ligi Narodów, brał u Gecowa korepetycje. Młody lekarz uczył go podstaw marksizmu: tu siły wytwórcze, tam baza, a jeszcze wyżej nadbudowa... (Noël Field był w ogóle człowiekiem chętnym do nauki. Na przykład w 1946 roku uczył się języka polskiego na tekstach z *Nowych Dróg*, miesięcznika teoretycznego KC PPR. Podobno z sukcesem). Jesienią 1936 roku Leon Gecow i jego żona Anna (także lekarka) postanowili pojechać do Hiszpanii i wstąpić do Brygad

Międzynarodowych. Tuż przed wyjazdem Leon otrzymał z Polski wezwanie do odbycia służby wojskowej. Stawił się w pułku. Anna pojechała do Madrytu. Pracowała w obsłudze ambulansu. Pod wpływem wieści dochodzących z procesów moskiewskich Gecow zerwał z partią komunistyczną. Wstąpił do „antyrockistowskiej i antystalinowskiej” grupy „Pod prąd”, której przewodził Andrzej Stawar. „... razita mnie ostra forma walki z opozycją w ZSSR (...) odsunąłem się od zagadnień polityki bieżącej i zacząłem interesować się zagadnieniami filozoficznymi w zakresie materializmu dialektycznego” — zeznawał Gecow przed oficerami Bezpieczeństwa Publicznego Marianem Szpiegą i Janem Misiurskim, którzy notowali jego słowa nie rozumiejąc, o co tu w ogóle idzie. Wiedzieli od Różańskiego, że Leon i Anna są trockistami, że na pewno współpracowali ze szpiegami amerykańskimi Fieldami i teraz trzeba z nich wydusić przyznanie się do zbrodni. Co też czynili z zapalem. Misiurski wyjaśniał po 1956 roku: „nadmieniam, że przy przyjęciu tych spraw do śledztwa miałem skończone 20 lat i tylko bardzo ogólnikowo wiedziałem, co to jest trockizm, lecz jednak moi przełożeni nie starali się uzupełnić wiadomości w tym zakresie”.

We wrześniu 1939 roku Gecow znalazł się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną. W 1941 roku wywieziono go w miejsca oddalone. W 1943 roku wstąpił do Wojska Polskiego. W 1944 roku organizował służbę zdrowia II Armii W.P. Jego żona powróciła z Hiszpanii do Polski. W 1942 roku osadzono ją w obozie zagłady. Uciekła. Potem była lekarzem w oddziale partyzanckim na Kielecczyźnie. Spotkali się w Lublinie w 1944 roku.

Dwa lata później Gecow wziął udział w szeroko komentowanej dyskusji prasowej o humanizmie socjalistycznym. Szło w niej, najogólniej rzecz biorąc, o to, czy wzorce leninowsko-stalinowskie mają charakter uniwersalny, a więc winny być zastosowane także w krajach demokracji ludowej, czy też przeciwnie — socjalizm w Europie winien wziąć w nawias specyfikę bolszewicką i zrezygnować z metod i treści właściwych dyktaturze proletariatu. Gecow był zwolennikiem drugiego rozwiązania.

W latach 1946-47 spotykał się kilkakrotnie z Noëlem Fieldem w sprawie sfinansowania przez Unitarian Service budowy szpitala w Piekarach Śląskich. W 1949 roku Noël Field został aresztowany z polecenia (prawdopodobnie) Abakumowa i osadzony w więzieniu na Węgrzech. W scenariuszu szykowanych procesów miał uchodzić za trockistowskiego wysłannika wywiadu amerykańskiego, współtwórcę spisku obejmującego Polskę, Węgry, Bułgarię, Rumunię, Czechosłowację i Albanie.

Dowiedziawszy się o zniknięciu Fielda i o aresztowaniach w Budapeszcie i Pradze, Leon Gecow nieopatrznie szepnął jednej



ze swoich znajomych: „... Nie ma dla mnie ratunku!”. Kilka dni później ta kobieta znalazła się w celi więziennej. Bitka — opowiedziała śledczemu o spotkaniu z Gecowem.

Aresztowano go 26 lipca 1949 roku.

W czasie pierwszego przesłuchania przyznał się do błędów ideologicznych: „... W latach 1946-47 ogłosiłem w tygodniku *Odrodzenie* szereg artykułów związanych z zagadnieniem humanizmu. Artykuły te były przedmiotem ożywionej dyskusji w prasie. Linia podziału w tej dyskusji przekonała mnie, że moje ujęcie wielu spraw było błędne. (...) Od 1947 roku nie piszę artykułów”. Tę linię starał się utrzymać przez cały nieomal okres śledztwa. Zmaltretowany powtarzał: „... w 1939 roku byłem pod wpływem poglądów etycznych poruszanych przez Silone” oraz „... wroga robota polegała na tym, że w swoich artykułach w niedwuznacznej formie krytykowałem politykę kulturalną w ZSSR i wypowiadałem się przeciwko wzorowaniu się na tej polityce w Polsce”. Ale kierownictwu śledztwa zależało na wydobyciu z Gecowa zeznań potwierdzających jego „trockistowsko-szpiegowskie” kontakty z Fieldami oraz informujących o rozgałęzieniach dywersyjnej siatki trockistowsko-nacjonalistycznej w Polsce. Bito go nieustannie. Pod wpływem bólu podał parę nazwisk. Śledczy kazał mu wyliczać nazwiska wszystkich znajomych: „... jeszcze nie ten... jeszcze nie ten...”. Aż wreszcie padło nazwisko oczekiwane przez oficera: „... ten!”. Szło o Bielskiego. Gecow został odesłany do celi. W nocy wyszeptał w stronę więźnia N., który leżał na sąsiedniej pryczy: — „Oskarżyłem niewinnego człowieka! Muszę cofnąć zeznania!”. Rano N. złożył raport oficerowi dyżurnemu: „... Gecow jest psychicznie niedojrzały do zeznań”.

Więzień N. bowiem był agentem celnym. Doradzał oficerom śledczym wybór metod mających złamać Gecowa. Czynił to z radosnym zaangażowaniem, gdyż był zdeklarowanym antykomunistą i sprawiało mu przyjemność wykończenie *czerwonego*. Nie krył się z tym w licznych raportach pisywanych na papierze pakowym: „— Kiedy G. zapytał: — Powiedz, kto wymyślił ten system? — Twój dziadek Karol — odpowiedziałem. — Nie — rzekł na to — nie chodzi mi o doktrynę, ale o system śledztwa”. 10 października 1949 roku N. przekazał swym mocodawcom jęk Gecowa: „... Dziś wiem, że wszystko zeznam dla chwili wytchnienia”.

Ale tego samego dnia Gecow podyktował do protokołu przesłuchania: „... zeznanie, w którym przyznałem się do współpracy z agentami amerykańskimi (...) i do działalności antypaństwowej i antypartyjnej, rzucając jednocześnie oskarżenia na szereg osób — nie jest zgodne z prawdą”. Zbito go. Odwołał odwołanie. 30 października powtórzył: „... nic nie jest zgodne z

prawdą”. Śledczy pobił go tak dotkliwie, że trzeba było wezwać lekarza. W dokumentach sprawy zanotowano, że idzie o niedyspozycję sercową. Doktor G. znał Gecowa z wojska. Badanie przebiegało w całkowitym milczeniu. Doktor G. obawiał się obecnego oficera. Gecow był w takim stanie, że nie mógł wykrzusić słowa. Po powrocie do celi powiedział: „... szkoda, że milczałem, bo G. by zrozumiał, że mnie zmuszają (...) na pewno sobie przypomni proces z *Darkness at Noon*”.

Nie wiem, czy doktor G. rozumiał, ale wiem, że był wstrząśnięty. W jakiś czas potem powiedział mojej matce, że w całej swej praktyce lekarskiej nie widział tak zmiądzonych dłoni. Agent celny N. przekazał wzmiankę o Koestlerze. Trafiła do Różańskiego. Ucieszył się: wreszcie punkt zaczepienia! Bicie zostało przerwane. N. raportował, że Gecow odpoczywa, nabiera pewności siebie, czuje się bezpieczny. Cytował: „... Śledczy mi powiedział, smaruj do celi i rób wszystko, aby znikły wszelkie ślady na twarzy i nogach...”. Jednocześnie N. otrzymał zadanie naklonienia Gecowa do zeznań — a to przy pomocy argumentów literackich. Dano mu do przeczytania *Wielki spisek przeciwko ZSSR (The Great Conspiracy Against Russia)* Michaela Sayersa i Alberta Kahna. Była to apologia procesów moskiewskich zakończona sugestią, że zło szpiegowsko-trockistowskie odradza się z zachęty imperializmu amerykańskiego. N. miał zapytać Gecowa: — „Dlaczego znając *Wielki spisek...* nie podejrzewałeś Amerykanów (Fieldów — p.m. MK) o szpiegostwo?”. To podejrzenie mogłoby stać się dla Różańskiego punktem wyjścia do intensyfikacji przesłuchań. Ale Gecow uparcie powtarzał: „... w zeznaniach chciałem zająć takie stanowisko, które byłoby zgodne ze stanowiskiem partii” i że potępia artykuły drukowane w *Odrodzeniu*: „przekonałem się, że moje sformułowania znajdują poklask u elementów pravicowych i oportunistycznych”.

Różański: — Field znał wasze poglądy. Czy nie wykorzystywał was jako trockisty?

Gecow: — Logika tego jest bezsporna, ale jednak Field nie wykorzystywał mnie. Nie wątpię, że był szpiegiem... ale...

Różański: — To, co powiedzieliście, jest niesłuszne, mgliste i niebezpieczne. Jesteście pod wpływem książki Koestlera i cytujecie z niej...

Gecow wrócił do celi i powiedział: „... wiedziałem, że nie zdołam udowodnić swojej niewinności”.

Z dalszych raportów N. wynika, że Gecowa wzięto na konwejer. Po dwóch miesiącach powiedział:

„ Teraz dobrze rozumiem proces Kamieniewa. Nie wiedziałem, jak stary działacz komunistyczny mógł zeznawać, że chciał wprowadzić z powrotem kapitalizm. (...) Chodzi o to, że proces jest dla mas (...) żeby robotnik mógł zrozumieć sens przestępstwa... (...)

Dzisiaj robię wrażenie źle wytresowanej małpy, ale za parę miesięcy będę małpą dobrze tresowaną. Moje śledztwo będzie trwało jeszcze trzy miesiące i na pewno zaraz proces (...) Może będę świadkiem w Pradze... (...) Żal mi tylko żony... cierpi niewinna przeze mnie...”.

Skazano go na 15 lat więzienia na mocy artykułu 33 Dekretu z 22 stycznia 1946 roku „o odpowiedzialności za klęskę wrześniową i faszyzację życia państwowego”.

Zmarł w więzieniu.

Jego żona dostała 6 lat. Zwolniono ją pod koniec 1954 roku, na mocy amnestii. Przesiadywała całymi dniami w naszym mieszkaniu. Bałem się jej. Miała sine plamy na twarzy i nieruchość czy wariacki.

*Pro captu lectoris habent sua fata libelli* — co niektórzy tłumaczą, że trudno przewidzieć, która książka przemówi do wyobraźni czytelnika.

Michał KOMAR

## LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI

Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50 natychmiast, nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. •

Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. •

Preparaty dentystyczne. Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

## TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Rd, London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

Informacje: Madame C. Piquard-Zabłocki, 12, rue Condorcet,  
75009 Paris, France, Tel.: 42 85 79 45

## Wiersze

Tomasz JASTRUN

### DZIEŃ MIĘDZY WOJNAMI

Tyle było zgiełku  
A ocalała jedynie rozmowa posłów  
Spisana przez szpicla  
— Starzec oszalał biada nam —

Biega teraz ten skrawek  
Jak kura bez głowy  
Na podwórku innego czasu  
Gdy w dali mokną  
Wzgórza książek telefonicznych  
Wielkie martwe mrowiska

A tyle było zgiełku  
Zgiełk zawsze ślepy  
Nie widzi  
Że jutro zamieszka w ciszy  
Którą czytać będą wypukłe oczy  
Ziarenek piasku

## DESZCZ

Nie kochał jej tyle lat  
 A teraz nagle  
 Jak poranny chłód  
 przeniknęła go miłość  
 Gdy zobaczył jej pantofle  
 Zostawione przez pomyłkę na balkonie  
 Wilgotne po samotnej nocy

## BEZSENNOŚĆ

W lutym tego roku  
 Obudziłem się o piątej rano  
 By pomyśleć  
 Że oto w prawie wolnym kraju  
 Cierpię na bezsenność  
 Że mój brak snu  
 Jest niemal zupełnie wolny  
 Ból głowy mdłości i zmartwione powieki  
 Mają swój suwerenny rząd  
 I nawet policja  
 Choć jeszcze nie w pełni zreformowana  
 Przechodzi na moją stronę  
 Powoli i nieporadnie  
 Przeprawia się przez kleistą rzekę  
 Która o piątej rano  
 Rozpulchnia poranny śmietnik  
 Szczębiot wróbli i kaszel wron  
 A ja płynę na łóżku  
 Kluczając wśród telewizyjnych anten  
 I pomników plujących krwią

Tomasz JASTRUN

Archiwum polityczne

## Pomagajmy Europie Wschodniej, nie Związkowi Sowieckiemu!

Rozmowy o zmasowanej pomocy gospodarczej dla Związku Sowieckiego wiszą w powietrzu.

Wspólna grupa badawcza, składająca się z byłego sowieckiego wiceministra finansów i dwu naukowców z Uniwersytetu Harwarda, propaguje „wielką transakcję”, w ramach której Związek Sowiecki w okresie siedmiu lat przeszedłby do gospodarki rynkowej, demokracji i rozbrojenia w zamian za pakiet pomocy, o którym mówi się, że wyniosłby jakieś 25 do 35 miliardów dolarów rocznie.

Energiczny szef Europejskiego Banku Rozwoju, Jacques Attali, który wywołał popłoch zamiarem spowodowania zaproszenia Gorbaczowa na doroczne spotkanie państw demokracji przemysłowych, w oparciu o częste konsultacje z Gorbaczowem tworzy projekt swojej własnej wersji długoterminowego pakietu pomocy.

Reakcja rządu Busha miała charakter obronny, ale jej ostrożna rezerwa musi jeszcze przekroczyć granice taktyczne. Z powodu braku spójnego stanowiska Stany Zjednoczone są w niebezpieczeństwie; pod naciskiem entuzjastów o jak najlepszych intencjach mogą wstąpić na drogę, która nie przybliży ani sprawy pokoju, ani perspektyw na rzeczywistą reformę Sowie-  
 tów.

Każdy się zgadza że, w najlepszych warunkach, Związek Sowiecki będzie musiał przejść przez traumatyczny okres wielkich wyrzeczeń. Czyni to trudnym do zrozumienia zapal obrońców „wielkiej transakcji”, by podzielić zań odpowiedzialność, narzucając warunki, które z pewnością staną się wysoce kontro-

wersyjne i ogniskować będą krytykę opozycji wewnętrznej.

Równie zagadkowa jest ochota, z jaką obrońcy ci chcą rzucić się w konflikty wewnętrzne, w których większość sił demokratycznych i reformatorskich przeciwstawia się rządowi centralnemu.

Wszystko to sprawia, że źródło funduszy dla proponowanej długoterminowej pomocy pozostaje nieuchwytnie. Stany Zjednoczone są skrupowane z powodu swego deficytu, Niemców ograniczają potrzeby ich ostatnio odzyskanych prowincji wschodnich, zaś Japonię niechęć do udzielenia wsparcia dopóki spór terytorialny ze Związkiem Sowieckim nie zostanie rozwiązany.

Obrońcy „wielkiej transakcji” odpowiedzialiby, iż istnieje sprzyjający moment, kiedy to Zachód „angażując się” może pomóc Gorbaczowowi w pokonaniu twardogłowej opozycji, za co uważa się jego zobowiązanie do wprowadzenia gospodarki rynkowej i pluralizmu politycznego.

Powiada się, że Związek Sowiecki, silny pod względem gospodarczym i politycznie pluralistyczny, będzie o wiele mniej groźny niż ZSSR zimnowojenny. Obrońcy „wielkiej transakcji” powołują się na wcześniejszy plan Marshalla i programy, które przywróciły Niemcy i Japonię wspólnocie narodów.

Mamy tu do czynienia z uczuciami szlachetnymi i idealistycznymi, ale czy odpowiadają one prawdzie?

Niemcy i Japonia zostały pokonane i były krajami okupowanymi. Europa Zachodnia składała się z przyjaźnie usposobionych demokracji, które opierały się groźbom komunistycznej agresji.

W przeciwieństwie do nich Związek Sowiecki był strategicznym przeciwnikiem dla dwu pokoleń. Jego kłopoty ekonomiczne i walka wewnętrzna czynią go porównywalnym do kraju Trzeciego Świata, aczkolwiek z wielką i nowoczesną armią.

W takich warunkach udzielanie pomocy z zewnątrz nigdy nie zakończyło się powodzeniem, polegającym na przyniesieniu reform, na przykład w Ameryce Łacińskiej, gdzie Sojusz dla Postępu nie spełnił swego zadania. Ostatni szybki postęp był tam możliwy tylko dlatego, iż odnośne kraje podjęły własne, niczym nie ograniczone, decyzje na korzyść demokracji i gospodarki rynkowej.

Długoterminowy pakiet pomocy dla Związku Sowieckiego nie zapobiegnie zatem w sposób nieunikniony ani bezprawnemu uzyskaniu broni atomowych przez twardogłowych, ani powrotowi konserwatystów do gospodarki nakazowej.

Dowodzenie, iż wojskowi twardogłowi zagrażają Gorbaczowowi, i że jednocześnie jest on niezbędny, by kontrolować tych samych wojskowych, szczególnie kiedy utrzymuje się, że niele-

galny jest każdy akt wojskowej represji w Nadbałtyce, jest wewnętrznie sprzeczne.

W końcu, opozycja w różnych republikach pozostanie zasadniczo poza „wielką transakcją”; sześciu republik dokonujących secesji, włączając tu państwa bałtyckie, nie można odzyskać dzięki pomocy ekonomicznej.

Punktem wyjścia polityki amerykańskiej musi być teraz iż jesteśmy krajem, który ma własne interesy, nie zaś fundacją o celach dobroczynnych.

Jedno z głównych założeń „wielkiej transakcji”, zgodnie z którym Związek Sowiecki silniejszy pod względem gospodarczym automatycznie miałby okazać się bardziej pokojowy, jest trudne do utrzymania w świetle historycznego doświadczenia. Ilekroć bowiem na terytorium Związku Sowieckiego istniało państwo w znacznym stopniu scentralizowane, nieuchronnie naciskało ono na swych sąsiadów.

Argument, iż pokój będzie zapewniony dzięki wzmocnieniu sowieckiej gospodarki, jest wysuwany przeważnie przez kraje odległe od granic sowieckich; znajduje on natomiast tylko nielicznych zwolenników w Europie Wschodniej, w Skandynawii lub w Chinach.

W ciągu ostatnich dwóch wieków armie żadnego kraju europejskiego nie przebywały tak często na obcej ziemi, jak wojska rosyjskie.

Scentralizowane imperium rosyjskie, zarówno pod władzą carów jak też komisarzy, zawsze utrzymywało armie większe niż wojska jakiegokolwiek porównywalnego kraju, ponieważ wojsko było jednym z niezawodnych elementów w imperium nękanym przez konflikty narodowościowe. Po dziś dzień temu samemu celowi służyło powoływanie się na obce zagrożenie.

Dla świata zewnętrznego najlepszym skutkiem kryzysu sowieckiego byłoby utworzenie konfederacji republik, wystarczająco silnej dla zapewnienia wspólnej obrony, lecz nie tak zwartej, aby mogła dokonać zagranicznej agresji.

Taka konfederacja, zdolna do koordynowania polityki ekonomicznej i potrafiąca raczej wykorzystać wewnętrzne zasoby Związku Sowieckiego, niż wszczynać coraz to nowe zagraniczne awantury, leżałaby w interesie przede wszystkim narodów sowieckich.

Żadna siła zewnętrzna nie powinna przypuszczać, iż może wpływać harmonizująco na tę ewolucję. Chwilowo Borys Jelcyn skłania się bardziej niż Gorbaczow do zalecania takiego właśnie rozwiązania, chociaż w ostatnich latach obaj gracze okresowo zamieniają się rolami, zależnie od swych taktycznych potrzeb.

Tylko z tego powodu byłoby rzeczą niemądrą uwikłanie się w wewnętrzny spór, który w swej istocie przebiega nie między

sowieckim prezydentem i twardogłowymi, lecz między siłami popierającymi Gorbaczowa a wspierającymi Jelcyna.

W tej walce Gorbaczow na razie reprezentuje element reformistyczny komunistycznej struktury władzy, natomiast Jelcyn tendencje decentralistyczne i zorientowane na gospodarkę rynkową. Gorbaczow zawdzięcza swoje stanowisko kooptacji, podczas gdy Jelcyn wolnym wyborem.

Dopóki te kwestie sporne — zwłaszcza zaś konflikt między centrum i republikami — nie wyjaśnią się dzięki procesowi wyborczemu, który jest już w toku, nie będzie odpowiedniego czasu dla „wielkiej transakcji”. Obecnie demokracje powinny kłaść nacisk na natychmiastową potrzebę pomocy humanitarnej i technicznej lub wsparcia dla ściśle określonych projektów, które można uzasadnić na podstawie ich wartości merytorycznej.

Nie ma wątpliwości, że Gorbaczow będzie zapamiętany jako postać, której pojawienie się było brzemienne w skutki. Jego historycznym osiągnięciem będzie uwolnienie Europy Wschodniej oraz sprzeciwienie się w swoim kraju rozpadowi społeczeństwa pogrążającego się w stagnacji. Słabość Gorbaczowa polegała na tym, iż było mu trudno zrezygnować z przekonań całego swego życia; stąd jego wnikliwa diagnoza rzadko dawała w polityce wewnętrznej właściwe lekarstwo.

Gorbaczow doszedł do władzy jako sekretarz generalny partii komunistycznej. Jego pierwszym instynktownym posunięciem było więc jej przekształcenie w narzędzie reform, które zostały zablokowane przez nienaruszalne interesy partii komunistycznej.

Następnie Gorbaczow wprawdzie starał się osłabić strukturę komunistyczną, ale chciał ją nadal zachować i w tym celu wykonał dwa posunięcia. Przeniósł ośrodek swej władzy z partii do paralelnej struktury rządowej i wprowadził system wyborów lokalnych.

W efekcie Gorbaczow przeliczył się. Od czasów Lenina partia komunistyczna stanowiła jedyne ciało tworzące politykę. Rząd był tylko organem wykonawczym, który ją realizował, lecz nie kształtował jej. Kluczowym stanowiskiem sowieckim była zawsze funkcja sekretarza generalnego partii komunistycznej; począwszy od Lenina po Breżniewa przywódcy komunistyczni rzadko zajmowali stanowiska rządowe.

W rezultacie ambitne i przedsiębiorcze jednostki konkurowały z sobą w ramach hierarchii komunistycznej, podczas gdy struktura rządowa przyciągała administratorów bez politycznej smykałki lub nawet bez politycznych zainteresowań. Innymi słowy, Gorbaczow wyruszył na swą rewolucję z armią urzędników.

System wyborczy Gorbaczowa doprowadził również do

podobnego impasu. Gorbaczow nie był w stanie pogodzić pragnienia wywarcia nacisku na partię komunistyczną ze swą instynktowną, leninowską podejrzliwością wobec woli narodu. Wymyślił więc system zasadniczo lokalnych wyborów, podczas gdy partie o zasięgu ogólnokrajowym, z wyjątkiem partii komunistycznej, pozostały zakazane.

Kiedy jednak, po raz pierwszy w historii rosyjskiej, rządy lokalne zostały ustanowione przez naród, grzechy rosyjskiej historii zemściły się.

Przez 300 lat Rosja przyłączała do siebie narodowości w Europie, Azji i na Środkowym Wschodzie. Nie jest więc zaskakujący fakt, że większość nowo wybranych nierosyjskich rządów — które reprezentują blisko połowę ludności sowieckiej — rzuca teraz wyzwanie swym historycznym panom. O ironio, nawet Republika Rosyjska naciska na uzyskanie autonomii.

W ten sposób Gorbaczow, w najlepszych intencjach, sam pozbawił się stopniowo godnych zaufania zwolenników.

Gorbaczow zantagonizował szeroki układ nienaruszalnych interesów właściwych leninowskiemu państwu. Wycofanie się z Europy Wschodniej rozczarowało wojskowych. W republikach Gorbaczow wyzwolił opozycję narodową z moskiewskiej dominacji.

W procesie tym nie udało się zrównoważyć opozycji poprzez przyciągnięcie nowych zwolenników, ponieważ nie znalazł w sobie siły, by zaproponować zdolną do życia alternatywę albo wobec komunizmu, albo w stosunku do wysoce scentralizowanego państwa.

Aż do niedawna kariera Jelcyna nie różniła się w sposób istotny od kariery Gorbaczowa. Obaj doszli do wysokiego urzędu poprzez hierarchię komunistyczną; w rzeczywistości, w swym pierwszym okresie reform, Gorbaczow umieścił Jelcyna w politbiurze jako sojusznika.

Jelcyn odmówił jednak przestrzegania reguł gry, które wymagają służalczości wobec swego sponsora, zwłaszcza gdy jest on sekretarzem generalnym partii. Zamiast tego oskarżył Gorbaczowa o niezdeterminowanie i oportunizm.

Dyscyplina komunistyczna była wystarczająco osłabiona przez reformy Gorbaczowa, by umożliwić Jelcynowi rzucenie wyzwania samemu prymatowi partii komunistycznej i istocie państwa sowieckiego.

Istniała bardzo zadowalająca hipoteza, zgodnie z którą Gorbaczow i Jelcyn ukryli swój spór w tak zwanym porozumieniu 9 plus 1, zawartym przez centrum i 9 republik chcących pozostać w ramach Związku. Porozumienie należy jednak widzieć przede wszystkim jako taktyczne przerwanie ognia.

W czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych Jelcyn pod-

kreślał swoje zdecydowanie, aby w Republice Rosyjskiej odsunąć partię komunistyczną od wpływu na kształtowanie całej polityki, co sparaliżowałoby podstawę władzy Gorbaczowa.

Dopóki szaleje konflikt, Związek Sowiecki będzie niezdolny do zajęcia się swymi podstawowymi dylematami. Nie może on politycznie przetrwać okresu surowych wyrzeczeń, niezbędnych dla przejścia od gospodarki nakazowej do rynkowej, bez odbudowania autorytetu władzy.

Jeśli Związek Sowiecki przywróci ten autorytet władzy wzrząc instytucje demokratyczne, utraci wiele spośród składających się nań republik, jeżeli natomiast starać się będzie odnowić go za pomocą represji, utraci wszelkie prawa do zagranicznej pomocy.

Należy wyciągnąć kilka wniosków:

Nie istnieją warunki obiektywne dla „wielkiej transakcji”, po prostu dlatego, że w Związku Sowieckim nie ma dziś nikogo, kto mógłby podjąć pięcioletnie zobowiązanie. Prognozy długoterminowej pomocy wzmocniłyby jedynie scentralizowany komunistyczny *establishment* i ukarały demokratyczne, zdecentralizowane siły. Nie rozumiem pośpiechu w opowiadaniu się po stronie przywódców mianowanych przeciwko wybranym.

W każdym przypadku, nawet z najmądrzejszym programem, gospodarka sowiecka stanie wobec dotkliwych ograniczeń. Zachód nie powinien wmanewrować się w narzucone warunki, które później można będzie uczynić odpowiedzialnymi za spowodowanie wielkich cierpień. Należy unikać „wielkiej transakcji” już tylko z tej przyczyny.

W sumie Zachód mógłby zaoferować Związkowi Sowieckiemu członkostwo na prawach stowarzyszenia w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Pozwoli to na rozszerzenie pomocy w nagłych wypadkach, która oparta będzie na osiągniętych wynikach i międzynarodowych kryteriach, kontrolowanych przez agencje międzynarodowe.

Spotkanie przywódców demokracji przemysłowych z Gorbaczowem jest w najlepszym wypadku przedwczesne. Trudno będzie uniknąć albo ofiarowania mu zbyt małej pomocy, a więc osłabienia go, albo udzielenia mu zbyt dużego wsparcia, a tym samym zrezygnowania z obowiązku określenia osiągalnych celów i ustalenia priorytetów między konkurentami ubiegającymi się o pomoc.

Obecna dyskusja zbyt szybko przyspiesza odzyskiwanie Europy Wschodniej poprzez programy pomocy dla Związku Sowieckiego. Kwestii tych nie należy jednak łączyć. Zachęcanie do odtworzenia RWPG w drodze zmuszania Europy Wschodniej do powrotu do sowieckiej orbity ekonomicznej nie może leżeć w interesie demokracji.

W rzeczywistości, podczas gdy Związek Sowiecki zajęty jest reformami, więzy polityczne i gospodarcze Europy Wschodniej z Europą Zachodnią powinny zostać wzmocnione.

Polska, Czechosłowacja i Węgry wymagają długoterminowego programu pomocy celem wsparcia demokracji, i ta sprawa nie powinna być zagubiona w obsesji wewnętrznych walk sowieckich.

New York Post, 9 lipca 1991

Henry KISSINGER

## Rozwiązanie Ośrodka Badań Polski w Tokio

Założony w październiku 1981r. „Ośrodek Badań Polski” w Tokio\* zakończył w lipcu br. swą działalność. Oficjalne uzasadnienie tej decyzji, podane do publicznej wiadomości w majowym numerze miesięcznika *Porando geppo*, stwierdza m.in., iż „ruch Solidarności w Polsce, po długim okresie walki i zmagania, doprowadził do ostatecznego obalenia komunizmu. Przełomowe zmiany polityczne w Polsce od r. 1989 odbyły się na dalszym charakterze ruchu Solidarności, stawiając znak zapytania nad dalszymi celami ruchu, w konsekwencji doprowadzając do jego rozłamu. Nowa sytuacja Solidarności w Polsce zaważyła również na celowości dalszego istnienia OBP, którego głównym celem wytycznym było działanie na rzecz Solidarności w Japonii”. Zakończona została również dotychczasowa czynność wydawnicza ośrodka, łącznie z publikacją głównego organu ośrodka, miesięcznika *Porando geppo* (Biuletyn polski).

Okres działalności OBP pokrywa się tu więc z trwaniem i zakończeniem ważnego rozdziału w historii Polski. Za wcześniej jeszcze na pełną i rzetelną ocenę znaczenia OBP dla sprawy polskiej w Japonii, bez bliższego zapoznania się z całym dorobkiem jego działalności. Ograniczę się zatem do kilku słów refleksji nad profilem politycznym ośrodka oraz przyczynami spadku jego popularności w ostatnich 3-4 latach.

Pomimo poniekąd mylącej nazwy, Ośrodek Badań Polski był przede wszystkim placówką propagandową Solidarności, z wyrażeniami powiązaniami politycznymi z jej lewicowym odłamem.

\* Pierwszy raz o Poland Shiry Center w Tokio pisałem w *Kulturze* Nr 5/1983, a profil publicystyczny *Biuletynu polskiego* omówiłem w art. pt. „Pięć lat *Porando geppo* w Tokio”, *Kultura* Nr 5/1987.

W Japonii pełnił funkcję rzecznika Solidarności (z ramienia NSZZ Solidarność regionu Mazowsze), a na zewnątrz utrzymywał zażyłe stosunki i współpracę z biurem Solidarności za granicą w Brukseli (J. Milewski). Z racji swych powiązań solidarnościowych, OBP stał się też naturalnym pomostem dla kontaktów z japońskimi związkami zawodowymi. Pośredniczenie w organizowaniu politycznego, moralnego i finansowego wsparcia dla Solidarności walczącej w kraju (szczególnie w okresie 1981-86) jest niewątpliwie jednym z najważniejszych, niekwestionowanych osiągnięć ośrodka.

Przez cały czas swego istnienia, OBP był naturalną przystanią dla zwiedzających Japonię działaczy i polityków Solidarności. W kwietniu br. odwiedził ośrodek Adam Michnik, bawiący w Tokio jako jeden z prelegentów na Międzynarodowym Kongresie Dziennikarzy (IPI) z ramienia *Gazety Wyborczej*. W wywiadzie dla miesięcznika *Porando geppo* (Nr 6/1991), w którym na ogół obiektywnie naświetla przyczyny i skutki końca „legandy Solidarności” w Polsce, daje również krótką ocenę roli generała Jaruzelskiego. Dosyć zaskakujące jest jego stwierdzenie, iż „pomijając okres stanu wojennego, to jednak wysoko ocenia zasługi generała w otwarciu drogi do demokracji w Polsce”.

Swego rodzaju miernikiem początkowych sukcesów, rozkwitu a następnie stopniowego spadku znaczenia OBP są losy jego miesięcznika *Porando geppo*. W okresie swej największej świetności i poczytności (1981-86) potrafił on skupić wokół siebie szerokie grono wybitnych publicystów różnych orientacji politycznych. Niestety, późniejsze lansowanie krańcowych koncepcji syndykalistycznych oraz niepopularnych dogmatów ideologicznych zniechęciło do pisma wielu współpracowników o umiarkowanych poglądach politycznych. Z kolei rozwój wydarzeń w Polsce w kierunku „kapitalistycznego” systemu wolnorynkowego, a nie utopijnego socjalizmu, najwidoczniej spowodował spadek zainteresowania lewicowych współpracowników miesięcznika, zafascynowanych solidarnościową koncepcją „samorządów związkowych”. W rezultacie ośrodek zaczął tracić promotorów, a miesięcznik czytelników. Gdzieś od r. 1987 rozpoczął się przewlektły kryzys finansowy pisma, które odtąd utrzymywało się przy życiu głównie dzięki pomocy finansowej ze strony japońskich związków zawodowych.

Należy tu jednak zaznaczyć, iż w tłumaczeniach i przedrukowywanych materiałach z prasy polskiej redakcja miesięcznika dbała o utrzymywanie wyważonego balansu politycznego w selekcji autorów i artykułów. Pod tym względem *Biuletyn polski* pozostał aż do końca cennym i w miarę możliwości obiektywnym źródłem wiedzy i informacji o Polsce dla odbiorcy japońskiego, co również należy zaliczyć do bezsprzecznych sukcesów ośrodka. Bezcenną kopalnią wiedzy dla japońskiego historyka Polski powojennej jest również przez dziesięć lat skrupulatnie prowadzona dokumentacja ruchu Solidarności w Polsce.

Janusz MONDRY

## Sprawy i troski

### Jak było naprawdę?

W wychodzącym ponad 80 lat piśmie „starej” emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych, *Gwiazda Polarna*, ukazała się w numerze z dnia 1 czerwca br. obszerna rozmowa z p. Juliuszem Nowina-Sokolnickim pod tytułem „Oszukany przez historię”. Rozmowę prowadzi, a właściwie opatruje swoimi dużymi komentarzami p. Małgorzata Ćwiklińska. Cały artykuł dotyczy faktu, że „Ryszard Kaczorowski przyjechał z Londynu do Warszawy i przekazał Lechowi Wałęsie władzę prezydenta przechowywaną pieczołowicie na emigracji przez cały okres kolektywnej prezydentury w Polsce”. Jednakże, jak mówi p. Ćwiklińska dalej: „Mamy przed sobą fakt, który nie miał miejsca”. I tu dla wyjaśnienia sprawy zabiera głos p. Juliusz Nowina-Sokolnicki.

Nim go wysłuchamy, przypomnijmy kim jest p. Nowina-Sokolnicki.

Po śmierci Augusta Zaleskiego w dniu 7 kwietnia 1972 r. ogłoszono, że na podstawie zarządzenia prezydenta Zaleskiego z dnia 24 lutego 1971 roku następcą jest prof. dr. Stanisław Ostrowski, były prezydent m. Lwowa. Nazajutrz, w dniu 8 kwietnia 1972 r., p. Sokolnicki przesłał profesorowi Ostrowskiemu fotokopię swojej nominacji na następcę, podpisaną przez prezydenta Zaleskiego w dniu 22 września 1971 r. (a więc siedem miesięcy później) z prośbą o odstąpienie profesora od swych uprawnień.

W tym samym dniu ówczesny minister Sprawiedliwości, Sylwester Karalus, i Paweł Jankowski, szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta, wydali oświadczenie, że rzekome dokumenty urzędowe rozsyłane przez p. Sokolnickiego: zarządzenie z dnia 22 września 1971 r. o wyznaczeniu Następcy Prezydenta RP i Dziennik Ustaw RP Nr 1 z dn. 7 kwietnia 1972 r. z tym zarządzeniem są falsyfikatami. Takiego zarządzenia Prezydenta

RP, które winno znajdować się w aktach kancelarii Cywilnej Prezydenta RP, nigdy nie było, a taki Dziennik Ustaw nigdy nie został wydany z polecenia ministra Sprawiedliwości.

Prof. Ostrowski objął swój urząd w dn. 9 kwietnia. W dwa dni później p. Sokolnicki w liście skierowanym do prezydenta Ostrowskiego podał, że „po dokładnym przemyśleniu, w obecnej chwili rezygnuje z uprawnień wynikających z zarządzenia Prezydenta RP z dn. 22 września 1971 r... Uważam za swój obowiązek niedopuszczenie do dublowania instytucji państwowych”. Zdawałoby się, że sprawa jest wyczerpana, ale stało się inaczej.

Prezydent Ostrowski natychmiast po objęciu urzędu podjął rozmowy o połączenie dwóch ośrodków politycznych, prezydenckiego i Rady Trzech, które doprowadziły do utworzenia w dniu 18 lipca 1972 r. Rządu Pojednania Narodowego, złożonego z przedstawicieli obu ośrodków, a w dniu 17 listopada tegoż roku ustalenia zasad porozumienia, którego naczelnym celem jest przywrócenie Polsce niepodległości. Jednym z punktów tego Aktu Pojednania jest przyjęcie za podstawę działania scalonego ośrodka obowiązującej konstytucji z roku 1935, z uwzględnieniem oświadczenia prezydenta Władysława Raczkiewicza z dnia 30 listopada 1939 r. (tzw. umowy paryskiej) i przyjętej przez niego wykładni uzupełniającej z 22 października 1940 r. (jak wiadomo, August Zaleski tych oświadczeń prezydenta Raczkiewicza w czasie swojej kadencji nie uznawał). Jak mówi Akt Pojednania: „Rozumiemy przez to, że Prezydent Rzeczypospolitej uprawnienia swoje w zakresie wyznaczenia następcy Prezydenta i zamianowania Prezesa Rady Ministrów, wykonywać będzie w ramach Konstytucji i na podstawie konsultacji stronnictw i ugrupowań wchodzących w skład przedstawicielstwa narodowego”. W ten sposób na następcę prezydenta Ostrowskiego został wyznaczony Edward Raczynski, potem Kazimierz Sabbat, wreszcie Ryszard Kaczorowski.

P. Sokolnicki uznał, że w Akcie Pojednania złamano obowiązującą konstytucję, wycofał swą poprzednią rezygnację, przez co — według niego — stał się prawnym prezydentem RP na podstawie nominacji Zaleskiego z 22 września 1971 r., i w dniu 22 listopada 1972 r., a więc w pięć dni po Akcie Pojednania, objął urząd prezydenta i odtąd uważał, że to on, a nie kto inny, reprezentuje ciągłość urzędu prezydenckiego.

W tym więc charakterze p. Sokolnicki w *Gwieździe Polarnej* określa swoje stanowisko wobec ceremonii w Warszawie przekazania przez prezydenta Kaczorowskiego insygniów państwowych prezydentowi Wałęsie. Czytamy: „Przekazanie władzy faktycznie się nie odbyło, dlatego też żadnego dokumentu nie sporządzono. Wałęsa był zaprzysiężony dwie godziny przed spotkaniem z Kaczorowskim... Gazety podały, że Wałęsa przejął

władzę z jego rąk. Nic podobnego. Wałęsa był zaprzysiężony na podstawie konstytucji z 52 roku, czyli tej bierutowskiej, i był już zaprzysiężonym prezydentem, kiedy przyjął Kaczorowskiego”.

Jednak wbrew twierdzeniu, że żadnego dokumentu nie sporządzono, istnieje protokół podpisany przez Andrzeja Stelmachowskiego, Marszałka Senatu Rzeczypospolitej Polskiej, z którego cytuję:

„Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Lech Wałęsa oraz Ryszard Kaczorowski, Prezydent Rzeczypospolitej rezydujący w Londynie, obecni na Zamku Królewskim w Warszawie na moje zaproszenie uznali, że

— dążenia kilku pokoleń Polaków do zapewnienia Polsce niepodległego bytu zostały zrealizowane,

— budowa zrębów demokratycznego Państwa Polskiego powinna się odbywać wspólnym wysiłkiem wszystkich Polaków, zamieszkałych zarówno w kraju, jak i za jego granicami.

W związku z tym Ryszard Kaczorowski, Prezydent rezydujący w Londynie, złożył na moje ręce następującą deklarację:

Uznając, że wybrany z woli Narodu w wyborach powszechnych Prezydent Lech Wałęsa jest najwyższym przedstawicielem Państwa Polskiego, oświadczam, że:

— moja misja prezydencka została wypełniona oraz zakończona i przekazuję insygnia prezydenckie Prezydentowi Lechowi Wałęsie jako symbole ciągłości II Rzeczypospolitej,

— wszystkie instytucje pozostające pod moim zwierzchnictwem uznają zwierzchnictwo Prezydenta Lecha Wałęsy...”

Prezydent Wałęsa w swoim przemówieniu oświadczył m.in.:

Przeżywamy chwilę szczególną. Drugiego września 1939 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej udał się z Zamku w daleką podróż. Dzisiaj po długich 51 latach podróż ta dobiegła końca. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie, symbol naszej suwerenności, jest znowu na Zamku. W swojej siedzibie. Powrócił tutaj z insygniami władzy państwowej, po latach tułaczki na Obczyźnie...”

Czyli wbrew temu, co twierdzi p. Sokolnicki, sporządzono protokół obowiązujący obie strony. W protokole tym zawarte są też postanowienia o przekształceniu dotychczasowego rządu na emigracji w Komisję Likwidacyjną i terminie zakończenia jej prac do końca bieżącego roku oraz utrzymaniu dotychczasowej Rady Narodowej o charakterze konsultatywnym aż do ukonstytuowania się Sejmu i Senatu, wybranych w wolnych wyborach.

Rada Narodowa RP w Londynie jak i Rada Gabinetowa RP pod przewodnictwem prezydenta Kaczorowskiego stały na stanowisku, że przekazanie insygniów państwowych powinno odbyć się dopiero po wyborach parlamentarnych w Polsce. Prezydent Kaczorowski po rozmowie z przedstawicielem Wałęsy zmienił



stanowisko, w czym utwierdziły go opinie wysłanej przez niego delegacji do Warszawy i sprawa poszła innym torem. W dniu 9 marca 1991 r. Rada Narodowa przyjęła do wiadomości sprawozdanie delegacji Prezydenta RP z jej pobytu w Warszawie w grudniu 1990 r. i potwierdza, że dnia 22 grudnia 1990 r. misja Prezydenta RP rezydującego w Londynie została wypełniona i insygnia prezydenckie zostały przekazane prezydentowi Lechowi Wałęsie, jako symbole ciągłości II Rzeczypospolitej Polskiej.

Z omawianego artykułu w *Gwieździe Polarnej* dowiadujemy się, że p. Sokolnicki jeszcze, zanim Wałęsa został wybrany w wolnych wyborach, pod koniec ubiegłego roku rozesłał po świecie oświadczenie o przekazaniu władzy demokratycznie wybranemu prezydentowi w Polsce.

Tak wyglądają fakty, które podważają stwierdzenia p. Sokolnickiego w sprawie przekazania władzy przez p. Kaczorowskiego.

Nie zabierałabym głosu w sprawie artykułu w *Gwieździe Polarnej*, gdyby nie zawierał on ustępu pozornie historycznego na temat sprawy alternatywnych prezydentów RP na emigracji, który — jak pisze p. Ćwiklińska — „jest tematem drażliwym”. Obejmuje on okres od przekazania władzy przez prezydenta Mościckiego prezydentowi Raczkiewiczowi, który mianował swym następcą Tomasza Arciszewskiego, a przed samą śmiercią zamianował Augusta Zaleskiego. Jak podaje p. Ćwiklińska, „w ciągu ćwierćwiecza kwestionowanej przez rywali nierealnej władzy, Zaleski sam mianował pół tuzina następców, by w 1972 scedować ją na Nowina-Sokolnickiego”. Jak z tego widać p. Ćwiklińska nie ma wątpliwości, że Sokolnicki był mianowany, mimo wszystkich istniejących dokumentów, jakie przytoczyliśmy. Zapomniała też napisać, że Tomasz Arciszewski był kandydatem na następcę prezydenta, wybranym przez podziemną Radę Jedności Narodowej pod okupacją niemiecką. W tym celu został on przez nią wysłany do Londynu w lipcu 1944 roku.

Natomiast 25-letni konflikt w czasie kadencji prezydenta Zaleskiego, który doprowadził do istnienia na emigracji dwóch politycznych ośrodków, prezydenckiego i Rady Trzech, *Gwiazda Polarna* oparła na liście do *Polityki* Zbigniewa Dworaka, kalifornijskiego lekarza i społecznika, byłego „premiera w rządzie Sokolnickiego”. Dr Dworak w sposób niesłychanie tendencyjny, często sprzeczny z faktami historycznymi, przedstawia okres działania na emigracji Rady Politycznej, a potem Rady Trzech (Tomasz Arciszewski, gen. Anders i ambasador Edward Raczynski). Przy czym w sposób obelżywy potraktował prezydenta Raczynskiego, stawiając mu zarzuty natury moralnej i finansowej. Każdy z nas, niepodległościowych działaczy politycznych, nawet wtedy, kiedy się z nim w jakiejś sprawie nie zgadza lub

uważa jakąś jego decyzję za niesłuszną, wie dobrze — jest głęboko przekonany i nie ma najmniejszej wątpliwości — że jest to człowiek najszlachetniejszy, służący ofiarnie sprawie polskiej przez całe życie, otoczony powszechnym szacunkiem — który żadnej obrony nie potrzebuje. I ja bym także w tej sprawie nie zabierała głosu, gdyby p. Dworak dwukrotnie pisząc o prezydencie Raczynskim, a także o prezydencie Kazimierzu Sabbacie, nie użył słowa: uzurpatorzy. Ten krzywdzący zarzut uderza nie w nich, ale w polską niepodległościową emigrację polityczną, która we wszystkich miejscach swego osiedlenia w ogromnej większości uznawała ich obu za prezydentów RP.

Przy czym na uboczu pragnę zatrzymać się na słowach p. Ćwiklińskiej pod adresem p. Sabbata, „urzędującego piastuna narodowych insygniów, któremu nikt na emigracji nie może wybaczyć, że doszedł do pieniędzy produkując kołdry, a do tego brakuje mu wzrostu”. Nie wiem jakiego wzrostu jest p. Sokolnicki, bo go nigdy nie widziałam. W tymże numerze *Gwiazdy Polarnej* podany jest życiorys arystokraty p. Juliusza Nowina-Sokolnickiego, z którego wynika, że jest on obecnie na emeryturze, środki do życia zdobywał pracą w firmie brytyjskiej, następnie prowadził sklep alkoholowy. Ten sklep alkoholowy nie przeszkadza p. Ćwiklińskiej w traktowaniu niekwestionowanego przez nią prezydenta z szacunkiem i sympatią. Dlaczego produkcja kołder jako środek do życia ma być przeszkodą dla prezydenta, a sprzedaż alkoholu nie? Może mamy tu do czynienia z głupim i pospolitym snobizmem?

Czy rzeczywiście nasze polemiki i krytyki muszą być prowadzone na takim poziomie, jak zaprezentowała *Gwiazda Polarna*? Uczmy się kultury politycznej ciągle i bezustannie, na emigracji i w kraju, bo jest ona niezbędna w życiu, zwłaszcza po 45 latach dyktatury komunistycznej, kiedy kłamstwo, fałsz, obelga, poniewieranie godnością ludzką panowały powszechnie. A spadek to niebezpieczny.

Lidia CIOLKOSZOWA

**DOROCZNE SPRAWOZDANIE NED —  
NATIONAL ENDOWMENT FOR DEMOCRACY  
(NARODOWEGO FUNDUSZU DEMOKRACJI)  
W STANACH ZJEDNOCZONYCH  
1 PAŹDZIERNIKA 1989 — 30 WRZEŚNIA 1990**

Na Polskę przyznano w tym okresie łączną sumę **4.645.141** dolarów (cztery miliony sześćset czterdzieści pięć tysięcy sto czterdzieści jeden dolarów) z czego 2 miliony 879 tysięcy 250 dolarów na działalność Solidarności i związanych z nią fundacji.

NED przekazała całą sumę ośmiu amerykańskim instytucjom, które rozdzieliły ją w następujący sposób:

1. Center for International Private Enterprise (CIPE) (Centrum na rzecz międzynarodowej przedsiębiorczości prywatnej) dla:

— Polskiej Rady Towarzystw Przemysłowych na program zalecania działań legislacyjnych mających na celu przejście do gospodarki rynkowej i ulepszenia legislacyjnego podejmowania decyzji w sprawach gospodarczych — **77.900**;

— Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego by wspomóc wydawanie niezależnego dziennika w Polsce, który wpływałby na zrozumienie roli prywatnych przedsiębiorstw w rozwoju gospodarki i demokracji, zachęcałby do zakładania nowych przedsiębiorstw i dostarczałby szybkich informacji gospodarczych — **122.265**;

— Polskiej Izby Handlowo-Przemysłowej na analizę sektora prywatnego, która pomogłaby ustalić, jakie posunięcia polityczne są niezbędne dla rozwoju istotnych gałęzi biznesu — **113.280**.

2. Center for Strategic and International Studies (Centrum badań strategicznych i międzynarodowych) dla:

— Ośrodka Badań Międzynarodowych w Warszawie, na wspieranie obywatelskich inicjatyw sprzyjających regionalnej współpracy w Europie Środkowej i Wschodniej — **40.000**.

3. Free Trade Union Institute (FTUI) (Instytut Wolnych Związków Zawodowych) dla:

— Service Employees International Union na wspólny program z rozwijającym się w Polsce związkiem pracowników zdrowia — **93.704**;

— dla Brukselskiego Zagranicznego Biura Koordynacyjnego „Solidarności”, Instytutu na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE) i innych instytucji wspierających działania w Polsce — **340.000** (z czego IDEE otrzymało **25.000**);

— Fundacji na rzecz Demokracji w Edukacji, prywatnej fundacji związanej z Solidarnością Nauczycieli, na wprowadzanie pojęć demokratycznych i instytucjonalną reformę w szkołach — **40.000**;

— Solidarności Rolników na zakup niezbędnego sprzętu dla tygodnika — **45.000**;

— NSZZ Solidarność na centralne i regionalne biura, na Ośrodek Badań Społecznych i Zawodowych, na programy wydawnicze, szkoleniowe i samopomoc — **1.493.550**;

— Fundację Ekonomiczną Solidarności, która wspiera reformy ekonomiczne i udziela jednostkowej i grupowej pomocy członkom Solidarności, którzy mają trudności w okresie przechodzenia do gospodarki rynkowej — **75.000**.

4. Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE) na fundusz wolnej prasy i wydawnictw by umożliwić byłym wydawcom podziemnym przejście do legalnej i oficjalnej działalności — **100.000**;

5. International Rescue Committee na program Funduszu Społecznego Solidarności na medyczne i diagnostyczne wyposażenie i gwałtownie potrzebne leki — **995.700**;

6. National Democratic Institute for International Affairs (NDI)

— na szkoleniową podróż do USA dla wyższych urzędników polskiego parlamentu — **17.296**;

— na seminarium dla powstających w Polsce partii politycznych — **57.447**;

7. Polish American Congress (Kongres Polonii Amerykańskiej)

— dla Komitetów Obywatelskich, by wyposażać biuro warszawskie i biura regionalne w sprzęt techniczny niezbędny do prowadzenia programu edukacji obywatelskiej w przygotowaniu do wyborów samorządowych — **700.000**;

— dla paryskiego POLCULU, fundacji wspierającej działania jednostek w Polsce w obronie demokracji, praw człowieka i kultury niezależnej — **15.000**;

— *Zeszytów Literackich*, polskojęzycznego kwartalnika lansującego wschodnioeuropejską literaturę i myśl społeczną — **24.000**;

— *Uncensored Poland News Bulletin*, dwutygodnika drukującego wiadomości z pierwszej ręki i dokumenty ruchu demokratycznego — **20.000**;

8. Rutgers University dla warszawskiej Fundacji na Rzecz Demokracji Lokalnej na pomoc w powołaniu regionalnych ośrodków szkoleniowych, by przygotować obywateli do wyborów lokalnych i uczestniczenia w samorządach lokalnych — **275.000**.

W roku finansowym 1990 NSZZ Solidarność otrzymała łączną sumę 1,8 mln \$, z czego 300 tys. \$ z budżetu NED, zaś 1,5 mln \$ z dotacji adresowanej (imiennej) Kongresu USA, która na konto NED wpływa z budżetu państwa poprzez Agency for International Development.

Dysponentem tej pomocy jest Komisja Krajowa NSZZ Solidarność, a konkretnie skarbnik i jego zespół finansowo-sprzętowy. Pieniądze przesyłane są w ratach kwartalnych, zawsze po rozliczeniu poprzedniego kwartału, na konto Biura Koordynacyjnego w Brukseli. Dla NSZZ Solidarność kontrahentem po stronie amerykańskiej jest Free Trade Union Institute\*, do którego składane są aplikacje i projekty, za pośrednictwem którego otrzymuje się przyznane sumy i do którego przesyłamy sprawozdania finansowe.

(Ponadto Biuro w Brukseli pośredniczy — na prośbę FTUI — w przekazywaniu pomocy na NSZZ Solidarność Rolników oraz dla Fundacji Gospodarczej Solidarności).

NED od 1985 roku bardzo aktywnie wspomagał Solidarność i niezależne działania w Polsce. Są to sumy idące w miliony dolarów. O ile w okresie tak zwanego „podziemia” można było jeszcze tolerować wymówki odbiorców w Polsce, że rozliczanie się naraziłoby na prześladowania, o tyle teraz wymówek już żadnych nie ma. Przez przyzwoitość wobec ofiarodawców i szacunek dla instytucji, które odbiorcy pieniędzy reprezentują, potrzebne jest publiczne rozliczenie się. Jak dotąd tylko Instytut na rzecz Demokracji w Europie Wschodniej (IDEE) przedstawił swoje rozliczenia: w *Kulturze* z kwietnia 1990 za pieniądze otrzymane do tego okresu i w *Gazecie Wyborczej* z czerwca 1990 za pieniądze, o których mówi opublikowany przez nas dokument.

Opublikowane sprawozdanie NED-u nasuwa szereg pytań, m.in.: na co były potrzebne i jak zostały wydane pieniądze przeznaczone na Brukselskie Biuro Zagraniczne „Solidarności”, gdzie jest dziennik Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego, kto decydował i w jakim trybie o wydaniu pieniędzy przyznanych dla NSZZ Solidarność, Fundacji Ekonomicznej Solidarności, Fundacji Społecznej Solidarności. Czy powtórzy się proceder z drugiego Zjazdu Solidarności, gdzie sprawozdanie Komisji Rewizyjnej przyjęto bez sprawozdania, przez aklamację, na wniosek księdza Jankowskiego?

\* Free Trade Union Institute jest wyspecjalizowaną instytucją podległą AFL-CIO, powołaną w celu zarządzania amerykańskimi funduszami pozyskiwanymi od rozmaitych agend rządowych i nierządowych, a przeznaczonymi na pomoc dla pozaamerykańskich organizacji, głównie związków zawodowych. To właśnie FTUI reprezentuje pracowników (*labor*) w NED, jedną z czterech (obok przedsiębiorców oraz obu partii politycznych) organizacji nazywanych rdzeniem NED i rozporządzających większością funduszy.

## APEL Z MOHYLOWA

Apel ks. Sławomira Wł. Błina, proboszcza w Mohylowie

13.VII.1990 r. władze miasta Mohylowa oddały katolikom archikatedrę, która za dwa lata będzie miała 300 lat. 7.X.1991 r. to dzień jubileuszu świętyń. Piękna barokowa archikatedra z frontonem klasycystycznym jest jednak w stanie opłakanym. Zostały ściany i mizerny dach. Nie ma ołtarzy, organów, nagłośnienia i ławek. Zniszczone malowanie świątyni. Zostały tylko freski na sufficie. Archikatedra była początkowo — po rewolucji — spichlerzem. Potem zrobiono w niej archiwum i to uratowało świątynię przed ostatecznym zniszczeniem.

Na teren wschodniej Białorusi wraca Kościół katolicki. Na dzień dzisiejszy pracują już księża w takich miejscowościach jak: Lelczyce, Mozyr, Momieli, Połock, Witebsk, Lepiel. Najbliższe parafie Mohylowa to Orsza — 88 km, Bobrujsk — 130 km, Borysów — 150 km. Katolicy z tych terenów raz na kilka lat jechali do Wilna, żeby tam spotkać się z Chrystusem w Eucharystii. Liturgia jest przeważnie w trzech językach: polskim, białoruskim i rosyjskim. Wiernych nie ma dużo na tych terenach, gdyż byli oni po rewolucji systematycznie prześladowani; wielu rozstrzelano lub zesłano na Sybir. Np. Mohyłow liczy 350 tys. ludzi, a jest tylko 350 wierzących katolików. Dlatego też ośmieliłem się podać te wiadomości, aby może znaleźć przyjaciel, który chciałby pomóc w remoncie archikatedry, gdyż materiały i ludzie w dużej mierze będą z Polski i tu potrzebne mi są na ten cel zlotówki.

Podaję numer konta zlotówkowego:

B.S. Slesin k/Konina 931173-99059-170-1 Mohylew.

Mamy również konto dewizowe:

10128772 USD Avista, bank PKO SA, Kalisz, ul. Górnośląska 35.

Już teraz dziękuję za zainteresowanie się sprawą wierzących katolików na wschodniej Białorusi.

Redakcja *Kultury* przekazuje na odbudowę kościoła milion złotych, licząc, że to zachęci innych ofiarodawców. — **REDAKCJA**

## Kraj

### Czasu mało, panie prezydencie

1. Na trzy miesiące przed wyborami trudno było w Warszawie wątpić, że obóz prezydencki przegrał wszystkie właściwie batalie, jakie rozpętał w oczekiwaniu wyborów. W lipcowych badaniach CBOS Lech Wałęsa dorobił się dwudziestopunktowej dezaprobaty netto (36 % respondentów uznało jego działalność za zgodną z interesem społecznym, a 56 % za niezgodną), wobec czteropunktowej aprobaty netto w czerwcu (46 % plusów, 42 % minusów) i pięćdziesięciopunktowej w styczniu (60 % plusów, 10 % minusów). Główny strateg prezydenckich kampanii, Jarosław Kaczyński, miał w tychże badaniach lipcowych wynik zupełnie fatalny: 39 punktów dezaprobaty (16 % plusów, 55 % minusów). Aczkolwiek nie są to liczby, które by w jakiegokolwiek mierze pozwalały na snuce prognoz wyborczych, to jednak, rozumiane jako rezultat dotychczasowych działań, są na pewno wymowne. Tak też zresztą zrozumiał to sam prezydent i w ostatnim tygodniu lipca wszedł w wyraźny wiraż. Sygnałem była konferencja prasowa na belwederskim trawniku, w czasie której gospodarz przekonywał dziennikarzy, że zamierza być prezydentem wszystkich Polaków, że zaraz po wyborach przemiebluje swą kancelarię eliminując polityków na rzecz sprawnych urzędników, że przestanie sterować ręcznie, a będzie tylko „regulował” i że jeśli nie robi czego wszystkiego już teraz, to dlatego, że musi „ratować reformy” i „przywracać równowagę”, aczkolwiek nijak nie można było z niego wydobyć, kto i jak tej równowadze zagroził. „Może nawet będę musiał pomóc lewicy, to pomogę”, powiedział prezydent, aby zilustrować rozległość nowego otwarcia. Zaraz po konferencji był zresztą umówiony nie z lewicą, ale z Andrzejem Celińskim, przez wiele lat sekretarzem przewodniczącego NSZZ „Solidarność”, obecnie niezależnym senatorem z

Płocka. Celiński pozostaje w doskonałych stosunkach z Klubem Parlamentarnym Unia Demokratyczna i jego długa rozmowa z prezydentem nie pozostawiła w belwederskim otoczeniu wielu wątpliwości: Wałęsa szuka następcy Jarosława Kaczyńskiego. „Nowe otwarcie” sięga szerzej niż tylko spraw personalnych. Tegoż dnia prezydent zaprosił do siebie Stana Tymińskiego, którego zapewnił, że uszanuje demokrację i każdego, kto zostanie wybrany. Tymiński wyszedł ze spotkania jak przemieniony — prawdziwy businessmen i polityk, wystawiał się składnie, sprawnie i nieagresywnie. Najwyraźniej prezydent tego wtorku (30 lipca) zarażał wszystkich spokojem i pomiarkowaniem. Spotkanie ze Stanem miało być zresztą tylko początkiem serii: rzecznik Drzycimski utrzymywał, że drzwi Belwederu są szeroko otwarte i że wśród zaproszonych będzie również Tadeusz Mazowiecki, któremu uprzednio Wałęsa dwukrotnie odmówił rozmowy. Odmawiał zresztą wielu innym politykom z obozu dawnego premiera, m.in. wieloletniemu rzecznikowi „S”, a obecnie wiceministrowi obrony, Januszowi Onyszkiewiczowi. Zdaje się, że tylko w przypadku Bronisława Geremka za odrąconego uważał się ostatnio sam Wałęsa. Dziennikarze również są teraz mile widziani w Belwederze, a gościnne wrota zatrząskują się jedynie przed redaktorami *Nie* i *Skandali*.

Jaka sytuacja i jakie inicjatywy kryły się za tymi gestami prezydenckimi?

Wspomniałem już na tych łamach (*Kultura* 4/91), że dzisiaj w Polsce „właśnie polityka winna zabezpieczać stabilność, gdyż inne sfery życia, z gospodarką w pierwszym rzędzie, generują niepokój, zakłócenia, kryzys i każdą równowagę burzą”. Wałęsa nie mógł temu trudnemu zadaniu dla polityki sprostać przede wszystkim dlatego, że zaakceptował zaserwowaną mu przez współpracowników nadmiernie uproszczoną wizję rozgrywki. Do innej relacji odłożę analizę, w jakiej mierze to właśnie Jarosław Kaczyński jest rzeczywiście świadomym, cynicznym autorem tej koncepcji, jak się na ogół sądzi, w jakiej zaś on także „kupił” ją z bezradności. Najkrócej określa się tę koncepcję jako ponowne uporządkowanie świata na „naszych i nienaszych”, z odpowiednim przydziałem światła i cieni. Podkreślam: światła i cienie nie są w tej koncepcji wymyślone, są tylko nie całkiem prawdziwie rozdzielone. Aby przytoczyć najpopularniejszy przykład: Porozumienie Centrum wcale nie zmyśla, wskazując na rozlewisko korupcji (wróć do tego w dalszym ciągu), kłamie natomiast, wywodząc tę korupcję ze starej nomenklatury i jej „sojuszników” znad okrągłego stołu, podczas gdy w rzeczywistości korupcję tę rodzi żywiołowo aktualny proces przekształceń. Żeruje na nim stara nomenklatura, ryj przy ryju z nomenklaturą całkiem nową. Zresztą działacze Porozumienia Centrum również

się jakoś zachwiali w lipcu w swojej antykorupcyjnej kampanii, kiedy dotarło do nich, że atakowani przeciwnicy też mają z czego i czym strzelać (afery spółki Telegraf, z min. Glapińskim w roli głównej, dopiero co wysuwany przez PC na następcę Balcerowicza). Ale ceną nadmiernego uproszczenia w dotychczasowej strategii prezydenta nie była tylko niesprawiedliwość oskarżeń: za niesprawiedliwość nikogo jeszcze nie zdyskwalifikowano w kampanii wyborczej. Bardziej brzemienne w polityczne skutki była niemożność, w razie trwania przy takiej strategii, dobrania właściwych koalicjantów i za właściwą cenę.

Prezydent miał, najogólniej mówiąc, do wyboru: albo bronić nade wszystko pewnego programu, albo też raczej określonej konfiguracji władzy. W pierwszym wariantcie prezydent, nie angażując się publicznie w kampanię wyborczą na rzecz poszczególnych ugrupowań bądź polityków, stara się raczej wspomóc i przyspieszyć proces montowania koalicji wokół programu, któremu w razie potrzeby otwarcie nadaje charakter programu prezydenckiego. W wariantcie drugim prezydent sam schodzi na arenę (albo i na ulicę) jako przywódca partii lub obozu prezydenckiego, hasłem jego działań nie jest program ale zawierzenie Wałęsie. W obu wypadkach można, oczywiście, powoływać się na te same „wartości” (słowo nadużywane aż do mdłości w polskim życiu publicznym) — chrześcijańskie, narodowe, humanistyczne, solidarnościowe itd. — podczas jednak gdy w pierwszym wariantcie zespół powoływanych wartości służy ufundowaniu i uzasadnieniu programu, w drugim jest raczej materiałem na pomnik dla przywódcy i symbolicznym zabezpieczeniem granic jego obozu. Z polityków dotychczas bliskich prezydentowi liberalowie, z premierem Bieleckim, namawiali go, jak się zdaje, na wariant pierwszy, programowy. Wszyscy inni, Kaczyńscy z kancelarią, Olszewski z Komitetami Obywatelskimi i wreszcie przyjaciele ze skrajnej prawicy NSZZ Solidarność, którzy są w mniejszości w prezydium „krajówki”, ale mają znaczne wpływy w regionach, zwłaszcza w mniejszych — byli za wariantem drugim. Na ogół wiedzieli oni po prostu, że tylko w tym wariantcie mają szansę, szczególnie po uzyskaniu wsparcia ze strony hierarchii kościelnej, rozjuszonej oporem „bezbożnej lewicy”, utrzymać jaką taką spójność aliansu, przynajmniej do chwili zebrania nowego parlamentu. Innymi słowy, tylko ten wariant zdawał się zapewniać łupy wyborcze, aczkolwiek nie przesądzałby o ich podziale. Taka jedność zasadniczej opcji nie eliminowała bynajmniej rozbieżności, związanych właśnie z myślą o przyszłym podziale zdobyczy. Olszewski na przykład, który nie ma żadnej swojej formacji, bo komitety obywatelskie są dziś cieniem własnych zwłok, wołałby raczej zwarty obóz prezydencki, z dyscypliną wyborczą. Natomiast inni — PC, ZChN,

związkowcy — wyżej szacując swoje szanse, byłiby raczej za luźną koalicją z Wałęsą niejako na patyku. Ale mimo celowego nieraz nagłaśniania tych sporów były to raczej niuanse. Zasadnicza opcja pozostawała taka sama. Nieodmiennie też wariantowi drugiemu odpowiadała strategia polaryzacji na naszych i nienaszych. Refleksja programowa, z konieczności koncentrująca się wokół dalszego biegu reform, nie mogła takiej polaryzacji nie niszczyć, ponieważ z tego, kto kim był w politycznym życiu PRL, nic nieomal nie wynika, gdy chodzi o jego miejsce, funkcje, poglądy i interesy w reformowanej i reformatorskiej rzeczywistości. Ireneusz Sekuła jest dziś równie gorącym zwolennikiem prywatyzacji jak Balcerowicz i Lewandowski, a zastępy niedawnych katolicko-narodowych kolaborantów z PAXu czy PRONU używają teraz jeszcze więcej święconej wody niż poseł Łopuszański. Konstruowanie obozów politycznych wokół rozliczeń z przeszłością nie tylko zastępuje wymierzanie sprawiedliwości ideologicznym ostracyzmem. W polityce tej odbywa się nieustannie radosne mnożenie katów i męczenników, ubeków i kombatantów, aż do uzyskania obrazu przeszłości, w którym znakomita większość obywateli, nie będących przecież ani tymi ani tamtymi, zostaje po prostu wyalienowana z własnej biografii, a ceną udziału w polityce aktualnej okazuje się zakłamanie i samowyrzeczenie. W ten sposób rozliczanie przeszłości podporządkowane koniunkturalnie aktualnej strategii politycznej prowadzi do „wykreślenia z polskich dziejów” wraz z PRL również jej obywateli.

2. Produkt krajowy brutto obniży się w 1991 wg prognozy CUP o 8-12%, co oznacza, że w ciągu dwóch lat nowej władzy dochód narodowy zmniejszy się o ponad jedną piątą. Deficyt budżetowy w razie utrzymania nominalnego preliminowanego poziomu wydatków wyniosłby 60 bln zł (tj. 20%), gdyby zaś chcieć uzyskać ten sam co przewidziany realny poziom wydatkowania, przekroczyłby 100 bln (wzrost poziomu cen w 1991 w porównaniu z 1990 CUP ocenia po pierwszym półroczu na 80% zamiast 54% prognozowanych w budżecie). Preliminowany deficyt miał zaś wynieść 8,8 bln i byłby pokryty w całości przez emisję bonów, wykorzystanie nadwyżki budżetowej z poprzedniego roku oraz środków z likwidowanych tzw. funduszy celowych.

W końcu sierpnia rząd miał przedłożyć parlamentowi poprawki do budżetu. Trudno jednak było się spodziewać, żeby zdołano zamknąć lukę bez ostrych cięć w wydatkach, i to również w ochronie socjalnej, oraz żeby nawet to wystarczyło do uniknięcia nowego pchnięcia inflacyjnego. Sytuacja gospodarcza, jak powiedział w Sejmie Ryszard Bugaj, jest dramatyczna.

Balcerowicz, Bielecki i dziennikarze zafascynowani niewątpliwymi osiągnięciami gospodarki rynkowej próbowali łagodzić wymowę statystyk. Tak więc GUS, ich zdaniem, nie umie chwycić rzeczywistości szybkozmiennej. Na przykład działalność gospodarczą w zakładach zatrudniających 1-5 osób rejestruje się tylko raz w roku, nadto wielu producentów prywatnych ukrywa się przed opodatkowaniem, stąd w statystykach produkcja przemysłowa sektora prywatnego wzrosła tylko o 3,5% (I półrocze 1991 do I półrocza 1990). Zużycie energii jest natomiast wyższe, niżby wynikało ze statystycznego spadku produkcji. Jeśli ciężarówki i pociągi towarowe przestały jeździć po Polsce pustymi przebiegami i „nabijać” w ten sposób statystyki dochodu narodowego, to bardzo dobrze. I w ogóle — jak m.in. zapytał Balcerowicz na sejmowej komisji budżetu — czy to, z czym mamy do czynienia w Polsce, może być po staremu nazywane recesją, czy też jest to po prostu proces restrukturyzacji gospodarki?

Na to polemista (Ryszard Bugaj, 69 posiedzenie Sejmu, wg stenogramu niekorygowanego, bez autoryzacji): „Nie jest tak, jak mówi pan premier Bielecki. Na każdą jednostkę finalnego produktu naszej gospodarki, jednostkę przeznaczoną na konsumpcję lub na inwestycje, zużywamy więcej różnych czynników. Wzrosła gwałtownie energochłonność, gwałtownie zmniejszyło się wykorzystanie środków trwałych w przedsiębiorstwach, wzrosły koszty stałe. A jeżeli już o transporcie mówimy, o tym ulubionym przykładzie pana premiera Bieleckiego, to sugerowałbym, by wsiadł do pociągu i przejechał się np. na trasie Warszawa-Katowice, a z łatwością stwierdzi, że w wagonie będzie sam, ewentualnie w towarzystwie 2-3 posłów i senatorów (oklaski). Co jako żywo pokazuje, jakiego rodzaju oszczędności są dokonywane w gospodarce.

Chciałbym także powiedzieć, że nieprawdą jest, jakoby w polskiej gospodarce dokonywał się jakiś znaczący proces restrukturyzacji. Spadki w poszczególnych gałęziach naszej gospodarki są zróżnicowane. Ale nie ma takich gałęzi, które gwałtownie rosną zamiast tych, które gwałtownie spadają. Gdyby był to proces restrukturyzacji a nie zasadniczy spadek, to nie taka byłaby sytuacja budżetu państwa (...)

Tę polemikę kontynuowano. Jednakże werdykt opinii publicznej był niewązeczny. W lipcowym sondażu CBOS sytuację gospodarczą oceniło źle 72% respondentów, materialne warunki życia — 81% i wreszcie nastroje społeczne — 91%. W tych warunkach nawet stosunkowo niska liczba otwartych konfliktów pracy, zwłaszcza strajków, nie mogła być interpretowana jednoznacznie jako dowód wytrwałości. Przeciwnie, coraz więcej było komentatorów podejrzewających, że niski poziom tradycyjnego protestu wskazywał raczej na wyczerpywanie się nadziei i nie-

wiarę w skuteczność takich form walki. W ślad za tym przyjęć mogły zarówno eksplozje jak apatia. Na pewno zatem nie był to dobry czas na wybory i wspomniani przywódcy rządu, po wyczerpaniu wszystkich argumentów pocieszenia, też przyznawali w końcu, że „reformy znalazły się w bardzo trudnym, powiedziałbym nawet krytycznym momencie” (J.K. Bielecki w wywiadzie dla *Rzeczypospolitej*, 5 sierpnia) i że „najtrudniejsze będzie kilkanaście najbliższych tygodni” (L. Balcerowicz na konferencji prasowej 5 sierpnia).

Co w tych warunkach mogło oznaczać „ratowanie programu reform”?

Przed wszystkim wypada stwierdzić, że wśród ugrupowań, które będą 27 października walczyć o mandaty w parlamencie, nie ma ani jednego kwestionującego wprost gospodarkę rynkową. Spór nie dotyczy zatem punktu docelowego reform. Nie ma też żadnej przepaści doktrynalnej pomiędzy rządem a kategoriami socjotowarowymi, domagającymi się osłony w okresie przejściowym, choć są twarde targi i choć właśnie na tej płaszczyźnie dokonują się pierwsze zbiorowe dezercje z ogólnonarodowego „obozu reform”. Rząd liberałów, mianowicie, chciałby zapewnić osłonę, dość zresztą relatywną, wedle sprawności działania wspomaganym w nowych warunkach czyli, jak to się teraz mówi: kto się przystosowuje, temu pomożemy. Ale kandydaci do wsparcia formułują swe postulaty przede wszystkim w kategorii zasług oraz, ewentualnie, zdolności do wytwarzania większej ilości dóbr, które przecież „zawsze były potrzebne”. Przykładowi są tutaj „chłopi, którzy żywią” i węgiel, „na którym Polska stoi”. Sytuację utrudnia dodatkowo ogromna niesprawność obu stron, wspomaganym i wspomagającym, urzędników, banków itd. Stąd np. niebywałe opóźnienia w angażowaniu pomocy zagranicznej: w połowie roku z 6 mld dolarów zadeklarowanych z zewnątrz kredytów i gwarancji kredytowych zaangażowanych było zaledwie 200 mln dol.

Jakieś akomodacje wzajemne pomiędzy programem rządowym a różnymi grupami społecznozawodowymi były jeszcze możliwe, aczkolwiek najbardziej masowe zostały już wyczerpane wraz z wiosenną dewaluacją i sierpniowym podniesieniem taryfy celnej. Zapewne powinno to wystarczyć do utrzymania w „obozie reform” przynajmniej części ugrupowań chłopskich i przyhamowania na terenie wiejskim awansu demagogów. Natomiast prawdziwe zagrożenie programu stanowiła sytuacja w przemyśle, zwłaszcza zaś w wielkich zakładach i otaczającej je sieci kooperantów z małych miast i miasteczek, gdzie niejednokrotnie bezrobocie jest już teraz klęską społeczną. Upadek Ursusa był, w tym zakresie, swoistym mane, tekel, fares. Zaskoczenie i wściekłość premiera, które obejrzała w TV cała Polska, były może

autentyczne a może odegrane, ale tak czy inaczej po prostu kompromitujące dla rządu, gdyż o tym, że Ursus upada, wiedziały wróble, a tylko ministerstwo przemysłu czekało na zmiłowanie...

W Polsce, gdzie nie ma jeszcze żadnego prywatnego sektora wielkoprzemysłowego, kwitnie bez przeszkód legenda o najrozmaitszych przewagach własności prywatnej — pojmowanej na ogół w naiwnym duchu XIX-wiecznym, w rodzaju „pańskie oko konia tuczy”. Skutkiem takiej fetysyzacji jednego tylko parametru współczesnej struktury gospodarowania jest usuwanie w cień decydujących czynników: konkurencji, bez której zasypia na laurach również prywatny właściciel, oraz akumulacji finansowej, bez której on także nie ma możliwości inwestowania, unowocześniania i restrukturalizacji.

Rząd liberałów i sam Balcerowicz z oburzeniem bronią się przed co bardziej krewkimi krytykami, którzy im zarzucają świadome dławienie państwowego przemysłu. W istocie jednak w programie rządowym nie ma w ogóle żadnej perspektywy pośredniej dla tego przemysłu: na daleką metę wszystko czy prawie wszystko ma być prywatne, ale teraz 80% jest państwowe i ledwie dyszy, a pomiędzy tymi dwiema perspektywami nie ma nic poza ciągle nowymi i ciągle „przyspieszonymi” projektami prywatyzacji. Jest to przy tym prywatyzacja coraz bardziej za bezcen: w pierwszym półroczu przyniosła skarbowi państwa niespełna 1 bln zł, podczas gdy w preliminarzu budżetowym figuruje jako źródło 15 bln zł wpływów.

Pierwsze programy prywatyzacyjne przygotowywane w 1989-90 roku przez ekipę Krzysztofa Lisa przestrzegały zasady, by wystawiać na sprzedaż przedsiębiorstwa zdrowe i brać za nie pełną cenę. Stale pogłębiająca się recesja sprawiła, że tak rozumiana prywatyzacja przebiegała bardzo powoli... Teraz z kolei zanoszą się na prywatyzację w panice. Ale w panice, to znaczy również bez obwarowań kontrolnych. Wokół procedur prywatyzacyjnych narasta atmosfera skandalu i korupcji. Historia łódzkiej Bistony i Roltexu, które tamtejszy wojewoda sprzedał za bezcen — 1,8 mln dolarów za dwie niezłe fabryki — może się wkrótce okazać precedensem długiej serii.

Rząd liberałów, ludzi skądinąd inteligentnych i ponoć znających świat, wykazuje w pewnych rejestrach zdumiewającą głupotę. Zarządzenie, którym rozpoczął swe rządy premier Bielecki, uchylające zakaz udziału w spółkach urzędników państwowych, jest tego dobitnym przykładem. Sejm na ostatnim posiedzeniu lipcowym zażądał w uchwale odwołania tego zarządzenia. Bielecki ciągle jeszcze go broni, argumentując, że jeśli nie zezwoli swoim orłom na ekstra dochody, to mu uciekną do sektora prywatnego... Tymczasem w resortach gospodarczych granica

pomiędzy aparatem państwowym a różnymi doradcami i firmami konsultingowymi z sektora prywatnego — i to z całego świata — zaciera się coraz bardziej. O pani Bochniarz, mianowanej właśnie likwidatorem ministerstw przemysłu i handlu, a w życiu zawodowym prezesie firmy doradczej Nicom wiadomo, że właśnie z ramienia Nicomu układała dopiero co kolejny program prywatyzacji dla min. Lewandowskiego...

Zbigniew Bujak ma więc wiele racji, gdy stwierdza (w wywiadzie dla *Życia Gospodarczego* z 28 lipca): „W sytuacji, w jakiej dziś znajduje się Polska, najważniejsze jest znalezienie możliwie miękkiego przejścia do kapitalizmu. Musimy to zrozumieć, gdyż w przeciwnym razie tak jak dramatycznie skończyło się gwałtowne upaństwowienie gospodarki, tak teraz może się skończyć gwałtowna prywatyzacja”.

3. Prezydent Wałęsa chcąc „ratować reformy” nie powinien dziś po prostu układać koalicyjnej mozaiki z partii i partyjek, które się do niego zgłaszają z deklaracjami dobrych intencji. Program reform musi być wynegocjowany na nowo, poczynając właśnie od owego „miękkiego przejścia”, to znaczy jednocześnie programu prywatyzacyjnego i programu funkcjonowania dla tego, co tymczasem pozostaje państwowe. Generalnie fatalne samopoczucie w obozie reformatorów — nawet prezes liberałów, Donald Tusk, twierdzi (w *Polityce* z 6 lipca), że „to nie jest czas liberałów” — może sprzyjać takiemu przedsięwzięciu. Ale czasu jest mało, piekielnie mało...

Jeśli tak określone przedsięwzięcie prezydentowi się nie powiedzie, lub w ogóle nie będzie podjęte, to mimo wszystko możliwe są w przyszłym parlamencie układy „proreformatorskiej większości”, chwiejnej wprawdzie, ale jednak zdolnej do życia. Byłby to najpierw układ odbudowy wokół koalicji liberałów i Unii Demokratycznej. Jego mocną stroną byłaby pewna wspólnota stylu politycznego, otwartości, przywiązania do demokratycznych form i instytucji, aczkolwiek po prawej stronie obu partii nie brak zwolenników bardziej autorytarnych formuł. Najślabszą, choć na początek raczej nie zauważaną stroną układu byłaby nikła podatność na rewizję programu reform, tempa i marszruty: obie partie mają największy wkład w dotychczasowy przebieg reform, w dobrym i złym.

Układ UD-liberałowie mógłby być ewentualnie rozszerzony na prawo, z włączeniem chadeków z pięciopartyjnej koalicji Sity-Nowickiego (która może się jednak okazać tworem czysto kanapowym) i Porozumienia Centrum. To ostatnie wygląda jeszcze dziś nieprawdopodobnie, gdyż animozji nagromadziło się bardzo wiele, również pomiędzy PC a liberałami, ale nie jest niemożliwe. Innym kandydatem „na przyprządkę” do takiego

układu byłaby postsolidarnościowa formacja chłopska Janowskiego i Ślisza. Natomiast mało prawdopodobne jest odnalezienie się w koalicji Solidarności Pracy i posłów związkowych. Raczej staraliby się oni wypracować alternatywny program reform.

Zupełnie odmienny wariant prezydenckiej koalicji stanowiłby alians całej prawicy narodowej i katolickiej z udziałem Porozumienia Centrum. Ale nawet gdyby Kościół zdecydował się rzucić na szalę cały swój wpływ, wydaje się niemożliwe, by taka koalicja uzyskała większość. Jej kampania, z konieczności odwracająca uwagę ku problemom zastępczym i nasyciona demagogią nieporównanie jeszcze drapieżniejszą niż znana z wyborów prezydenckich, przyniosłaby natychmiast pośrednie profity Partii X. Program reform wyszedłby z takiej kampanii mocno nadszarpnięty, a może i zgruchotany, nawet jeśli by prezydent nadal się na niego zaklinał.

W każdej zresztą konfiguracji, nawet ze wsparciem prezydenckim, nie poprzedzonej autentyczną renegocjacją programu reform, będzie zbyt wiele słabych miejsc, aby pod ciosami dzikich ambicji i dzikiej prywaty, które teraz plenią się w Polsce, mogła ona przetrwać ciężkie czasy. Tym bardziej, że w nowym parlamencie, do którego nie wybiera się wielu z najwartościowszych ludzi z aktualnych izb, natomiast wybiera się cały zastęp dorobkiewiczów i kondotierów politycznych (w rodzaju Rafała Krawczyka) zafascynowanych przykładem Tymińskiego — o rozsałek i zwykłą przyzwoitość będzie czasem dość trudno.

Warszawa, 7 sierpnia 1991

Krzysztof WOLICKI

Polnische Buchhandlung  
**KSIĘGARNIA POLSKA**  
 Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria  
 Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater  
 Tel. i fax: (1) 52 63 114  
 Konta pocztowe  
 Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556  
 Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.  
 Bezpłatne katalogi na żądanie

## Sąsiedzi

### Nie tylko Lwów i Przemyśl

W szóstym ubiegłorocznym numerze *Kultury* blok materiałów poświęconych stosunkom polsko-ukraińskim zatytułowano „ULB zaczyna się realizować”. To optymistyczne stwierdzenie dobrze oddawało atmosferę panującą w polskich i ukraińskich kręgach politycznych w pierwszej połowie 1990 roku. W Jabłonnie koło Warszawy spotkali się przedstawiciele demokratycznych parlamentarzystów obu krajów i potwierdzili wolę obu stron budowania dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy suwerenną Polską i emancypującą się Ukrainą. Wydawało się zatem, że dorobek części środowisk emigracyjnych i opozycji demokratycznej zaczyna przynosić rezultaty. Sprzyjała temu również zaznaczająca się poprawa położenia mniejszości ukraińskiej w Polsce, a także zmiany dokonujące się w położeniu społeczności polskiej na Ukrainie, czego wyrazem było potępienie przez Senat RP deportacyjnej akcji „Wisła” z 1947 roku, Ministerstwo Kultury i Ministerstwo Edukacji Narodowej wydatnie zwiększyły pomoc materialną na działalność kulturalną i oświatową; strona ukraińska zwiększyła liczbę otwieranych kościołów, wzrosły także możliwości nauczania języka polskiego. I chociaż nie dochodziło do jakichś spektakularnych wydarzeń, wprowadzających nową jakość we wzajemnych relacjach, to jednakże nie miały miejsca fakty dramatyzujące te stosunki, jak np. sprawa mniejszości polskiej na Litwie w stosunkach polsko-litewskich. Było to tym istotniejsze, jeżeli weźmiemy pod uwagę dziedzictwo przeszłości polsko-ukraińskiej. Dobrze ilustruje tę konstatację sposób podpisania w październiku 1990 roku deklaracji o stosunkach państwowych pomiędzy Rzeczpospolitą Polską i Ukrainą SSR przez ministra Krzysztofa Skubiszewskiego. W Kijowie nie napotkano trudności, jakie miały miejsce w Moskwie czy też w Mińsku przy zawieraniu analogicznych dokumentów.



*Istota problemu*

W rok po spotkaniu w Jabłonie z optymizmu niewiele pozostało. Stosunki polsko-ukraińskie uległy bowiem wyraźnemu pogorszeniu, które spowodowane zostało narastającym konfliktem wokół kwestii religijnej. Jego symbolem stało się uniemożliwienie przez Społeczny Komitet Obrony Polskiego Kościoła oo. karmelitów bosych w Przemyślu objęcia katedry przez biskupa greckokatolickiego Jana Martyniaka oraz odroczenie przez władze lwowskie „na termin późniejszy” ingresu rzymskokatolickiego metropolity lwowskiego, arcybiskupa Mariana Jaworskiego. Oba wydarzenia zdobyły znaczny rozgłos w prasie i stały się przedmiotem wielu artykułów, reportaży, audycji radiowych i telewizyjnych. Niestety, niewiele z nich poruszyło istotę problemu. Chodzi bowiem w nim nie tylko, a na pewno nie przede wszystkim, o sprawy lwowsko-przemyskie, lecz o zagadnienia znacznie poważniejsze. Istota problemu polega na kierunku polskiej polityki wschodniej i kierunku rodzącej się ukraińskiej polityki zagranicznej. O to, czy Polska i Ukraina mogą współistnieć ze sobą na zasadach partnerstwa i uznania racji drugiej strony, czy też nieunikniony jest nowy konflikt. W tym kontekście problem religijny znacznie wykracza poza zakres kwestii konfesyjnych — odpowiedniego uregulowania spraw organizacyjnych Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie i Kościoła greckokatolickiego w Polsce. Omawiane sprawy stały się ważnymi faktami politycznymi, istotnie rzutującymi na możliwość dobrego sąsiedztwa Polaków i Ukraińców. Jest to tym bardziej zaskakujące, że dotyczą spraw kościołów podporządkowanych zwierzchnictwu papieża. Zaczniemy zatem od zewidencjonowania faktów.

Koniec lat osiemdziesiątych przyniósł znaczne zmiany w sytuacji Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie i w Polsce. Na fali procesów liberalizacyjnych w ZSSR grekokatolicy rozpoczęli stopniowe odzyskiwanie utraconego statusu. W 1988 roku miały miejsce pierwsze jawne nabożeństwa związane z obchodami 1000-lecia Chrztu Rusi Kijowskiej z udziałem biskupów i księży oraz tysięcy wiernych. W roku następnym doszło do oficjalnego ujawnienia się pierwszych biskupów i kilkunastu księży. 17 września tegoż roku we Lwowie odbyły się wielkie uroczystości religijne z udziałem blisko 250 tysięcy wiernych, które pokazały skalę poparcia, jaką cieszy się Ukraińska Cerkiew Greckokatolicka na Ukrainie Zachodniej. W dwa miesiące później, 30 listopada, w przeddzień wizyty Michaiła Gorbaczowa w Watykanie, Rada Najwyższa USSR przyjęła uchwałę zezwalającą na rejestrację wspólnot greckokatolickich. W roku 1990 do Rzymu

udało się dziesięciu biskupów greckokatolickich z Ukrainy. Rozpoczął się proces masowego przejmowania świątyń z soborem św. Jura na czele, będących od 1946 roku w użytkowaniu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej. Zwieńczeniem odradzania się Cerkwi greckokatolickiej stało się oficjalne zatwierdzenie jej struktury hierarchicznej przez papieża Jana Pawła II, co nastąpiło 16 stycznia 1991 roku. Cerkiew posiada na terytorium Ukrainy metropolię lwowską oraz dwa biskupstwa. Niejasna jest sytuacja diecezji mukaczowskiej, nie należącej przed wojną do metropolii lwowskiej. O jej podporządkowanie kardynałowi Lubaczowskiemu wystąpił w roku 1990 synod hierarchii greckokatolickiej.

W Polsce odrodzenie cerkwi greckokatolickiej z totalnego zniszczenia w latach 1947-57 następowało bardzo powoli, nabierając żywszego tempa w latach osiemdziesiątych. Po wywiezieniu biskupów przemyskich — ordynariusza Józefa Kocyłowskiego i sufragana Hryhoriya Łakoty — w 1946 roku do ZSSR opiekę nad grekokatolikami sprawowali poszczególni prymasi Polski. W latach sześćdziesiątych prymas Stefan Wyszyński mianował swego wikariusza generalnego, ks. Wasyla Hrynyka, który odnowił wówczas greckokatolicką kapitułę przemyską. 16 września 1989 roku wyświęcono ks. Jana Martyniaka na biskupa pomocniczego prymasa Polski dla wiernych obrządku greckokatolickiego, zaś 16 stycznia 1991 roku uzyskał on papieską nominację na biskupa ordynariusza diecezji przemyskiej.

Wraz z procesami pieriestrojki w ZSSR rosły szanse na unormowanie sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego. Pierwszym etapem było uregulowanie tej sprawy w państwach nadbałtyckich, a następnie częściowe na Białorusi. 16 stycznia 1991 przysłała kolej na Ukrainę. Decyzją papieża odnowiono metropolię lwowską oraz dwa biskupstwa: żytomierskie i kamieniec-podolskie. Nominacje otrzymało pięciu biskupów. Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie w okresie powojennym zachował jedynie szczątkowe formy organizacyjne. Zmiany w tej dziedzinie zaczęły następować dopiero od roku 1988, kiedy to władze komunistyczne rozpoczęły oddawanie kościołów i pozwalały na tworzenie nowych parafii, których w chwili obecnej jest na Ukrainie 313. Po 13 kwietnia 1991 roku nastąpiły dalsze zmiany: na Białorusi erygowano nową archidiecezję metropolitalną mińsko-mohylewską oraz diecezję pińską i grodzieńską, powołano do życia administraturę apostolską Moskwy i całej Rosji (bez Syberii) oraz administraturę apostolską Syberii w Nowosybirsku, w Kazachstanie utworzono administraturę apostolską Karagandy.

W przypadku metropolii lwowskiej doszło przy tym do bezprecedensowych rozwiązań. Metropolia ta nadal znajduje się

w strukturze Kościoła katolickiego w Polsce i jest podporządkowana prymasowi Polski. Granice metropolii przecinają granice państwowe. W pozostałych przypadkach granice diecezji dostosowano do granic państwowych i republikańskich. Na Ukrainie koncepcje rozwiązania problemu struktury Kościoła rzymskokatolickiego omawiane były przez nuncjusza apostolskiego w ZSSR arcybiskupa Francesco Colasuonno w trakcie pięciu spotkań z przedstawicielami władz lwowskich oraz dwu spotkań w Radzie do spraw Religii Rady Ministrów USSR. Według relacji strony ukraińskiej przedstawiciel Watykanu zaprezentował różne wersje. W czasie jednej ze swoich wizyt we Lwowie na jesieni 1990 roku arcybiskup Colasuonno stwierdził, że najlepszym rozwiązaniem byłoby restytuowanie metropolii lwowskiej w jej przedwojennych granicach i jej podporządkowanie prymasowi Polski. Wywołało to sprzeciw prowadzącego rozmowy zastępcy przewodniczącego Lwowskiej Rady Obwodowej Mykoły Horynia. Sprzeciw tym bardziej zrozumiały, że w czasie jednej z wcześniejszych rozmów nuncjusz papieski miał wyrazić pogląd, iż także Kościół grekokatolicki na Ukrainie powinien znajdować się w strukturach organizacyjnych Kościoła katolickiego w Polsce. Czyli, że miał być to formalny powrót do sytuacji prawnej zapisanej w konkordacie z 1925 roku.

2 marca 1991 arcybiskup Marian Jaworski wyświęcił w katedrze lwowskiej trzech nowo mianowanych biskupów swojej metropolii. Kilka dni wcześniej przewodniczący Lwowskiej Rady Obwodowej, Władysław Czornowił, wydał ostry protest spowodowany „sposobem i trybem ustanawiania lwowskiej archidiecezji Kościoła rzymskokatolickiego”. Protest skierowany został do Prezydium Rady Najwyższej, MSZ USSR i do konsulatu generalnego RP w Kijowie. Stwierdzono w nim, że „ustanowienie archidiecezji lwowskiej odbyło się z pogwałceniem suwerenności Ukrainy, z pominięciem legalnych władz USSR i obwodu lwowskiego i jest rezultatem zakulisowych rozmów, w których pominięto bezpośrednio zainteresowane strony. Szczególnym pogwałceniem suwerenności Ukrainy jest to, że nowo utworzona archidiecezja została podporządkowana prymasowi kościoła sąsiedniego kraju, a na jej zwierzchnika zaproponowany został obywatel Rzeczypospolitej Polskiej”. Dalej stwierdzano, że najbardziej odpowiednim rozwiązaniem byłoby utworzenie ukraińskiego prymasostwa z siedzibą w Kijowie i podporządkowanie go Watykanowi. „Zaproponowany nam sposób utworzenia archidiecezji lwowskiej podyktowany jest nie tyle chęcią zaspokojenia potrzeb wiernych obrządku rzymskokatolickiego, co potrzebami koniunktury politycznej”. Dlatego też zwrócono się do adresatów protestu o niedopuszczenie ogłoszenia aktu utworzenia archidiecezji zaplanowanego na 2 marca. „Wydarzenie to

może stać się katalizatorem nastrojów antypolskich na Ukrainie Zachodniej i spowodować poważne napięcia w stosunkach ukraińsko-polskich”. Z odpowiednim oświadczeniem w tej sprawie wystąpiło Ministerstwo Spraw Zagranicznych, popierając stanowisko władz lwowskich.

W roku 1990 demokratycznie wybrane władze obwodu lwowskiego oddały w ręce wspólnot rzymskokatolickich 54 kościoły. Spór wywołała kwestia przekazania kościoła św. Elżbiety we Lwowie rzymskim katolikom. Pozytywną decyzję w tej sprawie rady miejskiej zablokowała rada obwodowa, argumentując to jej pozaprawnym działaniem i wysunęła jednocześnie sugestię, że sprawę ułatwić może przekazanie grekokatolikom katedry w Przemyślu. Zarazem, pod koniec ubiegłego i na początku bieżącego roku władze lwowskie zaczęły oddawać dawne kościoły rzymskokatolickie parafiom grekokatolickim, w tym również niedawno kościół św. Elżbiety. Wywołało to oczywiście bardzo negatywną reakcję w Polsce.

### *Spirala nieporozumień*

Ingres arcybiskupa Jaworskiego zaplanowano na 6 kwietnia. Nie doszło do niego wskutek wydanej przez Lwowską Radę Miejską w dniu 28 marca uchwały zalecającej, by ze względu na napiętą sytuację społeczną we Lwowskiem uroczystości przesunąć na późniejszy termin. Nieomal równocześnie odbyła się pikietka pod Agencją Konsularną RP we Lwowie przeciwko ingresowi arcybiskupa Jaworskiego i żądająca jego wyjazdu do Polski. Arcybiskup Jaworski, goszczący na uroczystościach powrotu do Lwowa głowy Ukraińskiej Cerkwi Grekokatolickiej, kardynała Lubacziwskiego, wyjechał do Polski. Był to, jak sądzę, pierwszy przypadek podobnej sytuacji we współczesnej Europie, wobec której postawiono wysokiego dostojnika kościelnego i pierwszy poważny zgrzyt realizowania watykańskiej *Ost-Politik* w dobie *pieriestrojki*.

Jak podała gazeta *Weczirnij Kyjiw* z 1 kwietnia, arcybiskup Colasuonno odpowiedział na protest W. Czornowiła. Stwierdził on, że „Watykan nigdy z nikim nie uzgadniał kandydatur swoich hierarchów i nie będzie robił tego nadal”. Komentując to przewodniczący Lwowskiej Rady Obwodowej podkreślił, iż „zgodnie z obowiązującymi na Ukrainie prawami wszystkie osoby duchowne powinny zarejestrować się w Radzie do spraw Religii Rady Ministrów Ukrainy”. Jak podała *Rzeczpospolita* z 21 maja, metropolita Jaworski odbył 17 maja ingres w zakrystii katedry lwowskiej. Wskazuje to jednoznacznie na jego tajny charakter i jest świadectwem kontynuowania przez czynniki koś-

cielne polityki faktów dokonanych. Dzień później arcybiskup Jaworski wyświęcił dwu księży, którzy kształcili się w lwowskim seminarium archidiecezjalnym mającym swą tymczasową siedzibę w Lublinie. Odbyło się to w obecności biskupów łacińskich z Ukrainy, przedstawiciela Senatu RP oraz Agencji Konsularnej RP we Lwowie.

Nieco wcześniej od spraw lwowskich zaczęły rozwijać się wydarzenia wokół grekokatolickiej katedry przemyskiej. Dla grekokatolików świątynia ta posiada znaczenie symboliczne, stąd bowiem wywieziono do ZSSR na męczeńską śmierć dwóch wspomnianych wyżej biskupów. Dlatego też w licznych petycjach kierowanych w ciągu powojennego czterdziestolecia do władz państwowych i kościelnych stale powracała sprawa jej przekazania prawowitym właścicielom, tym bardziej, że od drugiej połowy lat sześćdziesiątych działała uznana przez władze kościelne grekokatolicka kapituła katedralna. 17 maja 1989 roku Sejm PRL uchwalił ustawę o stosunku Państwa do Kościoła katolickiego w Polsce. Pomimo podnoszenia tej sprawy w ustawie nie wyodrębniono istniejących obrządków w łonie Kościoła, co tym samym pozbawiło Kościół grekokatolicki jakiegokolwiek odrębności formalno-prawnej od Kościoła rzymskokatolickiego w stosunku do władz państwowych. W ustawie znalazł się zapis o zwrocie Kościołowi majątku zabranego przez władze państw zaborczych, a także o przejściu na własność mienia grekokatolickiego przez jego obecnych użytkowników. W społeczności grekokatolickiej wywołało to sprzeciw i niepokój o los licznych świątyń oraz majątku będącego własnością Kościoła grekokatolickiego do roku 1947. Właśnie na mocy tej ustawy karmelici boscy w Przemyślu, użytkujący w okresie powojennym (z krótką przerwą w latach pięćdziesiątych) katedrę św. Jana Chrzciciela, w maju 1990 roku zostali jej właścicielami. Jednakże grekokatolicy nie poniechali starań o jej zwrot, tym bardziej, że sprawa unormowania struktury organizacyjnej Cerkwi grekokatolickiej nabierała coraz bardziej realnego kształtu. Z odpowiednim postulatem w tej sprawie zwrócił się również kardynał Lubaczewski. W odpowiedzi, w grudniu 1990 roku, łaciński biskup przemyski Ignacy Tokarczuk wydał oświadczenie, w którym stwierdził, że najlepszym wyjściem z tej sytuacji byłby powrót do stanu z roku 1784: czyli katedra należałaby do oo. karmelitów bosych, a grekokatolicy powinni zbudować nową katedrę na placu, który został przeznaczony do tego celu w XVIII wieku. Obiecał przy tym pomoc Cerkwi grekokatolickiej. Z podobnymi stwierdzeniami w tymże czasie wystąpiła również w liście do papieża Jana Pawła II „społeczność przemyska” z przedstawicielami miejscowych władz na czele.

15 lutego 1991 roku zawarta została umowa pomiędzy

biskupem Martyniakiem a prowincjałem ojców karmelitów bosych, biskupem Tokarczukiem, prymasem Glempem i nuncjuszem papieskim arcybiskupem Kowalczykiem o przekazaniu na pięć lat w użytkowanie władzy grekokatolickiego kościoła św. Teresy, bo taką nazwę posiada dawna katedra grekokatolicka. 25 lutego rozpoczęło się pikietowanie siedziby biskupa Tokarczuka przez Społeczny Komitet Obrony Polskiego Kościoła oo. karmelitów bosych pod hasłem „Nie oddamy polskiego kościoła na cerkiew bizantyńsko-słowiańską”. Stanowisko komitetu poparł m.in. miejscowy oddział Porozumienia Centrum i region przemyski „Solidarności”. Rozgłos nadany temu wydarzeniu i jego bezprecedensowy charakter spowodował szereg oświadczeń strony kościelnej, starającej się załagodzić incydent. Odpowiednią odezwę wydał rzymskokatolicki biskupi Przemyśla, przemyscy księża, a także konferencja Episkopatu Polski. Uzasadniano w nich decyzję o wypożyczeniu katedry na okres pięciu lat i nawoływano komitet do zaprzestania akcji protestacyjnej. Do sprawy włączył się papież, uzasadniający w liście do bpa Tokarczuka znaczenie oddania grekokatolikom katedry ustanowieniem struktury Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie. Apele nie poskutkowały.

7 kwietnia, na sześć dni przed ingresem władzy Martyniaka, męska część komitetu zaryglowała się w świątyni i ogłosiła „dni skupienia”. W ich efekcie ingres odbył się w gościnie użytej katedrze łacińskiej, natomiast planowane na 2 czerwca spotkanie papieża z grekokatolikami zostało przeniesione do kościoła garnizonowego, w którym również gościnie od roku 1957 odprawiane są nabożeństwa w obrządku wschodnim. Sprawa weszła na najwyższy poziom państwowy, kiedy to z biskupem Martyniakiem spotkał się również prezydent Lech Wałęsa, który obiecał pomóc władcy w rozwiązaniu problemu.

Interpretacje i komentarze na temat wydarzeń we Lwowie i Przemyślu są najprzeróżniejsze. Oscylują pomiędzy zażenowaniem, fanatyczną postawą grup osób po obu stronach granicy, poprzez sprzeciw wobec działań komitetu przemyskiego i władz lwowskich aż do wzajemnego oskarżania o nacjonalizm i tendencje ekspansjonistyczne. Dla potrzeb naszego artykułu przytoczmy dwie najbardziej charakterystyczne wypowiedzi.

Rafał Bubnicki w jednej z pierwszych relacji na temat sytuacji we Lwowie zamieszczonej w *Rzeczypospolitej* z 20 marca wyraził opinię, że wobec uzależnienia ekonomicznego, politycznego i militarnego od ZSSR, Ukraińcy są na razie bezsilni. „Tym mocniejsza jest pokusa, by zademonstrować niezależność w dziedzinach, gdzie jest to możliwe. Protest Czornowoła może być interpretowany w tych kategoriach”. I dalej „Ukraińcy mają

polski kompleks”, bowiem obawiają się „repolonizacji”. Dlatego też „równoległe podejmowane działania na rzecz zapewnienia pełnych praw religijnych wiernym Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie i bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce powinny uświadomić nacjonalistycznie nastawionym odłamom obu społeczeństw, że brak tolerancji po jednej stronie granicy pogarsza sytuację mniejszości w sąsiednim kraju”. Wiesław Walendziak w artykule zamieszczonym w *Dzienniku Bałtyckim* z 12 kwietnia poszedł jeszcze dalej. Porównał on postawę demokratycznie wybranych władz lwowskich w sprawie reaktywowania hierarchii rzymskokatolickiej i ingres arcybiskupa Jaworskiego z ingresem kardynała Lubaczwińskiego. Brak protestu w tej drugiej sprawie pomimo tego, że zwierzchnik Cerkwi greckokatolickiej nie jest obywatelem ZSSR, ocenił on jako działanie wyrażające się „w postaci narodowego szowinizmu”. „W tym wypadku bowiem mogli potraktować ingres jako doskonałą okazję zmanifestowania narodowych aspiracji Ukraińców”. Dlatego też, konkluduje autor, „źle się dzieje, gdy wartości narodowe przesłaniają całkowicie religię. Zdarzało się to w naszej historii. Obawiam się, że coś podobnego stało się ostatnio na Ukrainie”. Dla W. Walendziaka Kościół obrządku bizantyjsko-ukraińskiego pełni na zachodniej Ukrainie takie same funkcje jak Kościół katolicki obrządku rzymskokatolickiego w Polsce. W Polsce, stwierdza on, „doprawdy trudno o bardziej filoukraińską politykę, niż ta, jaką prowadzi Grzegorz Kostrzewa-Zorbas, odpowiedzialny za sprawy ZSSR w MSZ. „Zdarzają się antyukraińskie wystąpienia pewnych grup”, które jednakże na politykę państwa ani „na instytucje tak szacowne jak Kościół” wpływu nie mają. Na Ukrainie jest inaczej. Tutaj nie działają marginalne organizacje, lecz decyzje podejmowane są przez demokratycznie wybrane władze i „z wymownym milczeniem (również po incydencie z abp. Jaworskim) hierarchii Cerkwi bizantyjsko-ukraińskiej”.

Zaprezentowany tok rozumowania, jak też wnioski i przesłanki wyciągnięte na jego podstawie nie tylko nie odzwierciedlają istoty problemu, lecz również wykazują zadziwiającą niemoc intelektualną, niezdolność do prawidłowego przedstawienia dynamiki wydarzeń i ich normalnej interpretacji. Zgodzić się należy z tym, że kwestie religijne zostały w omawianym przypadku wprzęgnięte w działania polityczne, ale próba ich wytłumaczenia działaniem ukraińskiego nacjonalizmu i szowinizmu narodowego jest zabiegiem niepoważnym i szkodliwym. Wypacza ona bowiem optykę postrzegania spraw konfesyjnych i politycznych w obecnych stosunkach polsko-ukraińskich, wprowadzając fałszywe oceny. Utrudnia to odpowiednią diagnozę sytuacji i podjęcie stosownych działań. Czyż tak trudno oświadczyć, że w istocie chodzi o problem podobny do tego, jaki miałby miejsce

w przypadku odnowienia wbrew stanowisku władz polskich — państwowych i kościelnych — hierarchii niemieckiej w Polsce i włączenia jej w struktury Kościoła niemieckiego? Przy czym granice diecezji nie pokrywałyby się z granicami państwowymi. Bo w opisywanych wydarzeniach chodzi właśnie o taki problem i żadne wytłumaczenia nie są w stanie zmienić tego faktu. Po prostu, racja stanu tworzącego się państwa ukraińskiego odbiega od racji stanu innych państw w takich kwestiach, jak unormowanie statusu poszczególnych kościołów działających na jego terenie. A sposób odnowienia archidiecezji lwowskiej został zasadnie potraktowany jako akt kwestionujący obecne granice ZSSR i zamach na integralność terytorialną Ukrainy. Dla Polaków pamiętających wieloletnie wysiłki władz kościelnych i osobiste prymasa Wyszyńskiego, a także wysiłki komunistycznych przeciw władz PRL odnośnie ustalenia struktur Kościoła rzymskokatolickiego na Ziemiach Odzyskanych, uwrażliwienie strony ukraińskiej na te problemy nie powinno być dziwne. Bo czyż w tym przypadku była to racja stanu nacjonalistyczna?

Gdy jesienią 1990 roku wiadomość o kierunku podejmowanych przez abp. Colasuonno działań dotarła na wysoki szczebel władzy państwowej w Polsce, jeden z wybitnych znawców prawa międzynarodowego stwierdził, że obawy strony ukraińskiej są bezpodstawne, ponieważ z punktu widzenia tegoż prawa jest rzeczą niemożliwą, by hierarchia łacińska na Ukrainie mogła być podporządkowana prymasowi Polski. Okazało się jednak, że w tym przypadku niemożliwe stało się możliwym. Pozostaje zatem odpowiedzieć na pytanie dlaczego? Czy zawiodło w tym przypadku dyplomację watykańską wycucie? Czy też był to brak rozeznania sytuacji politycznej i religijnej na Ukrainie? A może w grę wchodzi inne czynniki?

Najważniejsze znaczenie, według mnie, mają dwa czynniki: kierunek watykańskiej polityki wschodniej oraz niebezpiecznie wzrastające tendencje rewizjonistyczne w myśli politycznej i w działaniu części polskich ugrupowań politycznych. Jak się wydaje Watykan nie wziął pod uwagę tego, że na terytorium ZSSR tworzą się nowe formacje polityczne oraz ich aspiracji do samodzielności. Nie popełniono takich błędów na Białorusi i w Rosji (granice diecezji znajdujących się na terytorium tych republik pokrywają się z granicami państwowymi i republikańskimi, nominacje biskupie otrzymali obywatele ZSSR) co wskazuje na to, że z ukraińskiej lekcji wyciągnięto wnioski. Jednakże zdaje się, że powyższy wniosek nie dotyczy Lwowa — tam nadal obowiązuje polityka faktów dokonanych. Dlatego też sądzę, że w tym przypadku kościelni decydenci trwają w pragnieniu jednoczesnego unormowania sytuacji struktury organizacyjnej Kościoła rzymskokatolickiego i Kościoła greckokatolickiego na

Ukrainie. Czynią to, niezbyt zwracając uwagę na zewnętrzne okoliczności i polityczne oraz społeczne skutki swoich decyzji. Bowiem przyjęte rozwiązania miały zmierzać w ich pojęciu, do prostego odtworzenia *status quo ante bellum*. Dla strony ukraińskiej, tak jak to wyraził W. Czornowił, stanowi to naruszenie suwerenności Ukrainy. Tym bardziej, że tworzy się rozbudowaną strukturę hierarchiczną Kościoła łacińskiego (słyszcy się, że w planie jest odnowienie diecezji łuckiej i kijowskiej) dla stosunkowo nielicznej społeczności polskiej i rzymskokatolickiej. Dlatego też sprawy te powinny być załatwiane na linii Kijów (także Lwów) — Watykan. Jednakże od samego początku do nasilającego się sporu włączyła się również Warszawa — kościelna i państwowa, — traktując obronę przyjętych rozwiązań jako integralną część polskiej polityki zagranicznej. Jak bowiem podał organ Rady Najwyższej USSR, gazeta *Hołos Ukrainy*, na przeprowadzonej na początku kwietnia konferencji prasowej przewodniczącego Rady do spraw Religii, M. Kołesnyka, „przedstawiciel konsulatu polskiego w Kijowie z oburzeniem mówił o jakoby bezprawnych działaniach przewodniczącego Lwowskiej Rady Obwodowej W. Czornowiła w sprawie działalności biskupów — obywateli Polski. Rada do spraw Religii — odpowiedział M. Kołesnyk — opowiada się za tym, aby episkopat Kościoła rzymskokatolickiego podlegał Watykanowi. Jednakże wszystkie problemy działalności kurii diecezjalnych na terytorium Ukrainy należy uzgadniać zarówno z władzami miejscowymi, jak również z Radą Najwyższą USSR. Tak więc, bezprawne są działania księży z Polski.

#### Syndrom Kresów

Za jedną z przyczyn opisywanej sytuacji uważam „syndrom Kresów”, który występuje w świadomości polskich elit politycznych i kościelnych (czy też ich części), a także polskiego społeczeństwa. Kresy — ziemia tyleż obiecana, co przeklęta. Po dziesięcioleciach zakazu kultywowania pamięci o byłych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w chwili obecnej trwa intensywny proces „przywracania Kresów Polsce”, odkrywania Polaków tam mieszkających i zabytków kultury narodowej znajdujących się na tym terenie. I dopóki ten proces nie wychodził poza ramy historyczno-kulturalne, poza działania na rzecz opieki nad społecznością polską na Ukrainie — dopóty nie wywoływało to nieprzyjaznych reakcji ze strony wschodnich sąsiadów i nie doprowadzało do konfliktu. Jednakże sentyment do Kresów przekuty na język faktów politycznych staje się istotnym elementem kształtowania się stosunków Polski z jej bezpośrednimi wschod-

nimi sąsiadami. Sądzę, że w przypadku sposobu ustanawiania nowej struktury kościelnej na Ukrainie mamy do czynienia właśnie z takim zjawiskiem. Wydaje się, że polityce polskiej trudno przyjąć do wiadomości fakt istnienia i emancypowania się nowych podmiotów politycznych za wschodnią granicą. Pogodzić się z myślą, że kwestie ustanowienia struktury kościelnej na ich terytorium należą do kompetencji władz, a nie do zakresu prawnych i politycznych prerogatyw państwa polskiego i polskiego Kościoła nawet biorąc pod uwagę dbałość o interesy społeczności polskiej na Ukrainie.

Opisywane wydarzenia w sposób najbardziej dotkliwy uderzyły w Cerkiew greckokatolicką, jej autorytet jako niezłomnego Kościoła, który nawet w skrajnych warunkach podziemnego istnienia nie wyrzekł się wierności Stolicy Apostolskiej. Ukraińska Cerkiew Greckokatolicka pełniła w Galicji niezwykle istotną funkcję społeczną, walnie przyczyniając się do ukraińskiego odrodzenia narodowego. Procesy demokratyzujące ostatnich lat stworzyły warunki dla nowego etapu rozwoju tego Kościoła. Jednakże wobec utrzymywania się, choć ograniczonego, struktur Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej (jej ukraiński egzerchat otrzymał nazwę Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej) oraz powstania Ukraińskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, — Cerkiew greckokatolicka przestała być podstawowym wyznaniem w Galicji, a także jedynym tzw. kościołem narodowym. Jej położenie dodatkowo skomplikowały dwie kwestie. Z jednej strony prowadzona jest przeciwko grekokatolikom niewybredna propaganda, oskarżająca ich o chęć polonizacji i oderwania Galicji od Ukrainy, z drugiej zaś musi się ona wpisać w nową mapę polityczną i społeczną tworzącą się w USSR. To drugie zadanie utrudnia fakt jej lokalnego — pomimo posiadania parafii w prawie wszystkich regionach kraju — charakteru. Stąd też w państwowym wymiarze jest ona tylko jednym z trzech głównych Kościołów Ukrainy. Dlatego też wszelkie przejawy bezpardonowej ingerencji czynników zewnętrznych w kształtowanie się stosunków cerkwi z władzami potęgują istniejące napięcia. Tym bardziej, że państwowość ukraińska znajduje się w początkowej fazie tworzenia, a władzę nadal sprawują podporządkowani Moskwie komuniści, patrzący niezbyt przychylnym okiem na Ukrainę zachodnią i ściśle związany z jej historią Kościół. W tym względzie pierwsze spotkanie hierarchii greckokatolickiej w kraju z przedstawicielami Watykanu nie wypadło najlepiej. Obrady tzw. Komisji Czterostronnej — reprezentanci Stolicy Apostolskiej, Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej oraz Cerkwi greckokatolickiej — rozpatrujący m.in. sprawę majątku greckokatolickiego — zostały zerwane przez hierarchów unickich. Powodem stały się zbyt daleko idące

ustępstwa Watykanu na rzecz RCP kosztem grekokatolików.

Połączenie oficjalnego zatwierdzenia hierarchii grekokatolickiej na Ukrainie z ustanowieniem struktury Kościoła rzymskokatolickiego wprowadziło nowy element do tej sytuacji. Podkreślanie przez prasę polską braku stanowiska Cerkwi grekokatolickiej odnośnie ingresu abp. Jaworskiego czy też nieobecności jej przedstawiciela na wyświęceniu dwóch księży w dniu 18 maja jest przykładem stosowania swoistego „testu na katolicką wiarygodność” grekokatolików. A przynajmniej tak może być odbierane. Charakterystycznym w tym kontekście okazał się epizod z przyjazdem delegacji polskiej na uroczystości powrotu kardynała Lubaczińskiego do Lwowa w dniach 30-31 marca 1991 roku. Otóż, do miasta nad Peltwią wybierała się delegacja z Polski. Do lwowskich organizatorów wiadomość o tym dotarła nieoficjalnym kanałem 28 marca. Zastępujący kardynała Lubaczińskiego abp Wołodimir Sterniuk zwrócił się zatem z prośbą o wyjaśnienie do Agencji Konsularnej RP. Otrzymał odpowiedź, że „na uroczystość wyświęcenia (*sic!*) arcybiskupa Lubaczińskiego z Warszawy do Lwowa przylatuje specjalnym samolotem delegacja w składzie 24 dostojników Kościoła rzymskokatolickiego i 9 parlamentarzystów”. Abp Sterniuk zwrócił się do Sekretariatu Episkopatu Polski z pismem, w którym stwierdził, że zaskoczony jest tak późnym poinformowaniem o przyjeździe delegacji. Jednocześnie zaznaczył, że na synodzie biskupów grekokatolickich, który odbył się w Rzymie w marcu 1991 roku ustalono, iż ze względu na złożoną sytuację polityczno-religijną „na uroczystości związane z powrotem Patriarchy Kardynała Lubaczińskiego nie będą zapraszani żadni goście zagraniczni”. I dalej: „obecna, bardzo naprężona sytuacja polityczna, a przede wszystkim religijna, spowodowana między innymi bardzo negatywną reakcją władz państwowych na fakt wyświęcenia biskupów obrządku łacińskiego bez wcześniejszego porozumienia nie sprzyja tej wizycie. Obawiam się również, że hierarchia i wierni Rosyjskiego Prawosławnego Kościoła oraz Ukraińskiego Autokefalicznego Prawosławnego Kościoła mogą wykorzystać wizytę delegacji jako pretekst do rozszerzenia propagandy antykatolickiej i antypolskiej oraz prowokacji”. Dlatego też arcybiskup prosił o odwołanie przyjazdu gości z Polski. Prośba została uwzględniona. Jednakże cały epizod pozostawił niedobłą atmosferę. Można sobie bowiem wyobrazić, jak zostałyby przyjęty przez społeczeństwo zachodnioukraińskie fakt, gdyby w czasie transmitowanej na całą Galicję mszy świętej celebrowanej przez dwunastu biskupów grekokatolickich obecnych było kilkunastu nie zaproszonych biskupów polskich i blisko dziesięciu posłów i senatorów. Pytania o to, kto właściwie jest gospodarzem uroczystości powrotu kardynała Lubaczi-

skiego i kto kogo wita we Lwowie — byłyby prawdopodobnie najbardziej spokojną reakcją.

I znowu zapytać należy, co legło u przyczyn podjęcia w taki sposób decyzji o wysłaniu delegacji, której członkowie byli szczerze zdumieni niewdzięczną odmową strony ukraińskiej na, w ich przekonaniu, otwarty gest pojednania?

Również dla Cerkwi grekokatolickiej w Polsce ostatnie wydarzenie stanowią poważne wyzwanie. Na ingresie biskupa Martyniaka nuncjusz papieski stanowczo oświadczył, że wspólnota ta jest obrządkiem bizantyjsko-ukraińskim Kościoła katolickiego w Polsce, przy czym obrządek ten nie jest tożsamy z narodowością. Po epopei związanej z przekazaniem katedry dla społeczności grekokatolickiej stanowiło to dodatkowy powód do frustracji. Dał temu wyraz Związek Ukraińców w Polsce oświadczając po ingresie, że kwestia przekazania katedry św. Jana Chrzyciela „z całą mocą unaocznia jednocześnie skalę zaniedbań jakich dopuszczono się w stosunku do Ukraińskiej Cerkwi Grekokatolickiej, jak i całej społeczności ukraińskiej w Polsce”. Związek za źródło obecnych problemów uznał „brak pozytywnych rozwiązań w sprawach związanych z likwidacją prawnych i majątkowych skutków wysiedlenia ludności ukraińskiej, co zostało usankcjonowane m.in. w ustawie o stosunku Państwa do Kościoła katolickiego z 17 maja 1989 roku. W ustawie tej nie wyodrębniono istniejących obrządków katolickich, wprowadzając tym samym niejasność w sprawach prawnych i majątkowych”. Wobec tego Związek wysunął postulat, by Cerkwi grekokatolickiej nadać status prawny odrębnego Kościoła w państwie polskim. Jest to, według mnie, podstawowa kwestia stanowiąca o istocie problemu rozgrywanego się wokół przekazania katedry przemyskiej, i szerzej, odnowienia biskupstwa przemyskiego.

Warto w tym miejscu wspomnieć o tym, że przynależność katedry przemyskiej do cerkwi grekokatolickiej nie była kwestionowana ani w okresie tzw. autonomii galicyjskiej, ani przez władze państwowe i kościelne II Rzeczypospolitej. Katedra przeszła na własność Kościoła rzymskokatolickiego, podobnie jak 300 innych świątyń grekokatolickich, w wyniku totalnego zniszczenia struktury Cerkwi grekokatolickiej i pozbawienia jej jakiegokolwiek własności. Dlatego też tak ważne znaczenie posiadało zrobienie bodaj symbolicznego gestu wobec grekokatolików. Przekazanie katedry-karmelu takim gestem być mogło. Jednakże okazja nie została wykorzystana. Przeciwnie, negatywna postawa przemyskich władz kościelnych i państwowych wobec całej sprawy stała się probierzem stosunku do niewielkiej wspólnoty grekokatolickiej w III Rzeczypospolitej, a także probierzem intencji władz Kościoła polskiego w stosunku do grekokatolików

w ogóle. Stąd też obarczanie winą grupy osób ze Społecznego Komitetu, używanie argumentu o prowokacji KGB w Przemysłu jest zabiegiem wymijającym. Zaniedbania i błędy zostały poczynione znacznie wcześniej i przez najwyższe czynniki kościelne. Z przedstawionych faktów wynika, że dokonano tego z pełną świadomością realizowanych kroków, choć nie spodziewano się prawdopodobnie tak drastycznej reakcji części wiernych.

Tak jak z pełną świadomością i poczuciem słuszności realizowana jest polityka kościelna na Ukrainie. Realizowana wbrew realiom i wbrew racjom politycznym stosunków polsko-ukraińskich. Wbrew temu, że działa tam odradzająca się Cerkiew greckokatolicka, najbardziej naturalny depozytariusz katolicyzmu wśród Ukraińców. Wydaje się jednak, że w ocenie czynników zewnętrznych wielu zwolenników posiada stwierdzenie Bohdana Cywińskiego wyrażone w I tomie jego książki zatytułowanej „Ogniem próbowane”, że Kościół greckokatolicki utracił swój eklezjalny charakter, ponieważ zbyt mocno zaangażował się w sprawy narodowe w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej. Tym wytłumaczyć można tak silne tendencje do wspomnianego wyżej „testowania” tego Kościoła.

Ale czy jest to prawidłowe podejście? Śmiem wątpić. Cerkiew greckokatolicka — jej struktury, przygotowanie kadry do pełnienia obowiązków duszpasterskich pozostawiają wiele do życzenia. Potrzeba wiele wysiłku, pracy i odpowiednich warunków, by sprawy postawić na swoje miejsce, wprowadzić odpowiedni ład. W istniejącej na Ukrainie rzeczywistości należy przejawiać przy tym wiele taktu, wycucia sytuacji i bardziej ufać miejscowym hierarchiom i miejscowym działaczom. A przynajmniej liczyć się z ich opiniami. W przeciwnym razie dalej brnąć będziemy w nieporozumienia i konflikty. Przy odpowiednim, rozsądnym ułożeniu tych kwestii Cerkiew greckokatolicka na pewno odegra ważną stabilizującą rolę w kształtowaniu nastrojów społecznych i budowaniu tolerancji i demokracji nad Dniestrem i Dnieprem. Jest to o tyle istotne, że zbliża się 400 rocznica zawarcia religijnej Unii Brzeskiej. Dla zrodzonej w jej wyniku Cerkwi stanowi to znakomitą okazję dla pogłębionej analizy własnej tradycji i tożsamości, miejsca w strukturze całego Kościoła katolickiego, innych wyznań chrześcijańskich (szczególnie prawosławia), religii pozachrześcijańskich. Ostatnie wydarzenie znacznie utrudniają realizację tego zadania. Wydaje się, że właśnie unijny aspekt omawianych problemów dla wielu decydentów jest czynnikiem zbędnym, z którym właściwie nie wiadomo co począć w obliczu prowadzenia dialogu ekumenicznego z Kościołem prawosławnym.

Kościół rzymskokatolicki styczniowymi i kwietniowymi decyzjami papieża otworzył nowy rozdział swojego istnienia w

Europie Wschodniej. Są to decyzje spektakularne. Jeszcze nigdy dotąd oficjalnie nie wszedł on na terytorium Rosji tak daleko i tak mocnym akordem. Jednakże w misyjnych planach „rechrystianizacji” Wschodu nie uwzględniono specyfiki poszczególnych krajów, traktując Ukrainę, a także Białoruś jedynie jako prowincje ZSSR. Takie podejście już przyniosło wiele negatywnych następstw. Biorąc pod uwagę uparte tworzenie faktów dokonanych przez czynniki kościelne obawiam się, że na tym cała sprawa się nie skończy. Zbyt bowiem słabym echem odbiło się stwierdzenie marszałka Senatu RP, prof. Andrzeja Stelmachowskiego, że Kościół polski zrobił wiele błędów w stosunku do Ukraińców, Białorusinów i Litwinów.

### *Potrzeba dalakowzroczności*

Relacje polsko-ukraińskie weszły w nowy etap ich kształtowania, w etap stosunków międzypaństwowych. Status obu stron jest nierówny. Ukraina dopiero wchodzi na drogę emancypacji państwowej. Polska jest krajem zdecydowanie bardziej suwerennym, co daje jej znacznie dogodniejsze pozycje wyjściowe. Jednakże błędem byłoby sądzić, że polityką w stosunku do Ukrainy może rządzić przeświadczenie o zagrożeniu płynącym ze strony ukraińskiej niepodległości, która rzekomo niechybnie postawi kwestię rewizji istniejących granic; bądź też z drugiej strony błędem byłoby sądzić, że nie ma alternatywy dla propolskiego kierunku polityki ukraińskiej. Tendencje do szachowania Ukrainy możliwością zaistnienia osi Warszawa-Moskwa, decydowania o sprawach bezpośrednio odnoszących się do Ukrainy z jej pominięciem są najgorszą z dróg kształtowania nowej polityki wschodniej III Rzeczypospolitej. Prowadzą bowiem w ślepy zaułek. Tendencje te nie uwzględniają dynamiki zmian politycznych w ZSSR, które coraz bardziej zmierzają do tego, że — mniejsza lub większa — samodzielność Ukrainy stanie się faktem. Samodzielność przynajmniej w decydowaniu o stosunkach wyznaniowych na jej terytorium. Ostatnie zaś kroki Watykanu i sposób obrony ich zasadności przez oficjalne przedstawicielstwa państwa polskiego świadczą o tym, że to raczej Ukraińcy mogą żywić uzasadnione obawy o polskie intencje w sprawie granic, a nie na odwrót. Zilustrujemy to twierdzenie dodatkowym przykładem. Ryszard Czarnecki w artykule zatytułowanym „Moje Kresy” wypowiedział następujące myśli: „Kresy. Kresy Wschodnie. Te słowa to coś więcej niż geografia, polityka i geopolityka razem wzięte. To kawałek historii Polski — wciąż bez ostatniego rozdziału. (...) Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej Polskiej. Zagrabione, okradzione z pamięci o przeszłości i pamięci o teraz-

niejszości. Falszowano ich dzieje, jak falszowano narodowościowe wpisy w paszportach. Kresy przechowujące polskość, ale często zawołujące się na wyśniewioną Polskę, jej urzędników, ludzi pióra, politykach. Kresy i ludzie Kresów, którzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. Przed polityką polską jest wielkie zadanie. Przed polskim Kościołem jest wielka misja. Oby nie sądzono nas za najcięższy grzech — grzech zaniedbania”. Artykuł został wydrukowany w 70-71 numerze miesięcznika *Głos*, redagowanego przez członka Komitetu Doradczego Prezydenta RP. W skład Rady pisma wchodzi jeden obecny minister rządu RP oraz dwóch kolejnych członków Komitetu Doradczego.

Trzeba jeszcze raz z całą mocą podkreślić, że wbrew często wypowiedzianym sądom w stosunkach polsko-ukraińskich mamy do czynienia z poważnymi faktami politycznymi, rzutującymi na ich obecny stan, jak również na ich przyszły kształt. W tym kontekście warto wspomnieć również o przeciąganiu się rozmów w sprawie podpisania umowy konsularnej między RP i USSR. Powód zwłoki nie jest, niestety, szerzej znany.

Spotkanie w Jabłonie zaświadczyło istnienie w obu krajach poważnych grup politycznych nastawionych na współpracę. Ze strony ukraińskiej jej najbardziej konsekwentni zwolennicy wywodzili się z Ukrainy Zachodniej, co samo w sobie stanowiło fakt godny odnotowania. Problem ustanowienia struktury Kościoła rzymskokatolickiego odnosi się w pierwszej kolejności właśnie do tego regionu, a jego reperkusje uderzają przede wszystkim w tych polityków. Na ukraińskiej scenie politycznej powoduje to zawężanie pola ich działania wobec sił — komunistycznych i demokratycznych — stawiających przede wszystkim na ułożenie stosunków z Rosją, szukających w północno-wschodnim sąsiedzie głównego partnera i sojusznika. Znaczenie Ukrainy, jej potencjał demograficzny i ekonomiczny wpływa na to, że taka opcja jest mile widziana i popierana — jeżeli nie inspirowana, — przez Moskwę. Warto w tym miejscu przypomnieć fakt znacznego ożywienia kontaktów pomiędzy demokratycznymi siłami Rosji i Ukrainy, co nastąpiło w drugiej połowie ubiegłego i na początku bieżącego roku. Każde napięcie w stosunkach polsko-ukraińskich wpływa na zwiększenie się liczby zwolenników takiego kierunku polityki ukraińskiej. Kierunku prorosyjskiego, prowadzącego do nowej formy federacji, do mówiąc obrazowo, „nowego Perejesławia”. I w tym, według mnie, mieści się jeden z najważniejszych aspektów opisywanych wyżej wydarzeń oraz ich konsekwencji. Polska myśl polityczna tego aspektu zdaje się nie dostrzegać.

Wiele zarzutów można oczywiście postawić stronie ukraińskiej za jej zbyt pasywność, brak szerszego wyjścia na arenę międzynarodową, za wiele faktów, które ujemnie wpływają na

stosunki polsko-ukraińskie. Można tutaj wspomnieć chociażby o braku przyznania siedziby Towarzystwu Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej. Jednakże w obecnej sytuacji odpowiedzialność za kształt wzajemnych relacji zależy w znacznie większym stopniu od polityki polskiej. Jej koncepcja i konkretne pociągnięcia mają dzisiaj znacznie większą wagę, biorąc pod uwagę to, że stoimy w obliczu szeregu trudnych problemów do rozwiązania. Chodzą tutaj m.in. o sprawę rozliczenia przeszłości, podwójnego obywatelstwa czy też podnoszoną w ostatnim czasie kwestię repatriantów, a także położenia obu mniejszości narodowych.

Polacy i Ukraińcy sąsiadują ze sobą i faktu tego raczej nie można zmienić. Stąd też tak potrzebna jest polityczna dalekowzroczność polityki polskiej i ukraińskiej. W naszej przeszłości konfliktów i bezsensownych sporów było wystarczająco wiele. Zatem warto spróbować budować nową teraźniejszość w imię lepszej przyszłości.

maj 1991

Mirosław CZECH

P.S. Papieska pielgrzymka przyniosła nowe fakty. 2 czerwca na spotkaniu z grekokatolikami w Przemyślu Jan Paweł II ogłosił przekazanie na rzecz diecezji obrządku bizantyjsko-ukraińskiego kościoła Najświętszego Serca Jezusowego (garnizonowego) „na wieczystą własność” jako katedrę tego obrządku. Tym samym padły rozstrzygające decyzje w ciągnącym się sporze wokół sprawy Karmelu. Pozostał on w niepodzielnym władaniu oo. karmelitów bosych. Tak więc akcja Społecznego Komitetu zakończyła się sukcesem. Polski kościół został obroniony. Sposób w jaki dokonano tego — okupacja świątyni skierowana przeciwko decyzjom najwyższych władz kościelnych — uzyskał sankcję. Doceniając i rozumiejąc intencje papieża stwierdzić jednakże należy, że doszło do bezprecedensowego wydarzenia. Tym bardziej bezprecedensowego, że na katedrę oddano grekokatolikom nie mniej przecież polski kościół, podczas gdy nie posiadają oni ani jednej z należących do nich przed 1947 rokiem cerkwi na terenie Przemyśla. Co wpłynęło na zmianę uprzedniej decyzji papieża? O cóż zatem chodziło w tym sporze i kto czego przed kim bronił?

Na trzy dni przed przyjazdem Jana Pawła II do Przemyśla Społeczny Komitet wystosował list do Watykanu zawiadamiający o zakończeniu okupacji świątyni (choć opuszczono ją dopiero w przeddzień wizyty, kiedy decyzja papieska była wiadoma) i przekazaniu jej w darze papieżowi. W liście stwierdzono: „Kończymy nasz protest podjęty nie przeciwko komukolwiek, lecz w



obronie polskich, narodowych świętości, a także jako przejaw głębokiej troski o sprawy Kościoła katolickiego, za który czujemy wielką odpowiedzialność, jako jego świadomi postanowien soborowych wierni. Przyjmij Ojczyźnie Święty nasz dar podczas wizyty w naszym pięknym polskim Przemyślu, jako dowód naszego szacunku i głębokiej troski o mądrość i jedność Kościoła katolickiego”.

Wobec takiego postawienia sprawy i takiego rozwoju wydarzeń nie należy się dziwić różnego rodzaju przypadkom analogicznych przejawów „odpowiedzialności” czynionych w imię „obrony ukraińskich narodowych świętości”, w nie mniej przecież pięknych od polskich miastach ukraińskich. Co wówczas odpowie się tym ludziom? Jaką postawę przyjmimy wobec zaistniałych faktów? W reakcjach i komentarzach o przekazaniu świątyni przemyskiej grekokatolikom pojawiło się słowo „cud”. Nie bardzo rozumiem, na czym on miał polegać. Obawiam się, że jego moc oddziaływania nie będzie kojąco wpływać na pojednanie polsko-ukraińskie. Obym się, oczywiście, mylił.

I jeszcze jedno. W Polsce utworzono dwie nowe diecezje: białostocką (terytorium byłej administratury apostołskiej archidiecezji wileńskiej) i drohiczyńską (terytorium byłej administratury archidiecezji pińskiej). Zachowano natomiast administraturę apostołską archidiecezji lwowskiej z nowym, co prawda, administratorem.

M. CZ.

## W sowieckiej prasie

Kołowrót zdarzeń, przede wszystkim w części świata, która jeszcze niedawno była bezwarunkowo „socjalistyczna”, oszałamia i prowadzi do zamętu umysłowego. Aby się w nich nie zgubić, trzeba znaleźć nić Ariadny, punkt odniesienia, który pozwoli odsiać zdarzenia ważne od nieważnych, płodne od bezpłodnych. Punktów odniesienia jest naturalnie wiele. Ja wybrałem historię. Łatwo powiedzieć, że wszystko już było i wszystko będzie. To zauważył już Eklezjasta. Ale nawet przy takim podejściu można szukać w niedawnej przeszłości analogii do dzisiejszych wydarzeń; porównując, znajdując podobieństwa i różnice, łatwiej — wydaje mi się — ocenić ciężar gatunkowy aktualności.

Potrzebuję tego „teoretycznego” wstępu, bo niektóre ważne wydarzenia ostatnich miesięcy wydały mi się dziwnie znajome. Zacznę od intronizacji prezydenta Rosji. Jest to całkiem nowe stanowisko, trzeba więc wymyślić ceremoniał. Za wzór wzięto koronację cara. Chór odśpiewał „Sława, sława” z opery Glinki „Życie cara”. Słowa Wasyla Żukowskiego pasowały jak ulał: „Sława, sława, chwała Moskwie. Dziś na ruski tron wstępuje nasz rosyjski, biały car. Witaj, sławny carze-gospodarzu”. Nowego prezydenta pobłogosławił patriarcha rosyjskiej Cerkwi prawosławnej. Obecni byli też przedstawiciele innych wyznań, istniejących na rosyjskiej ziemi, ale z jakiegoś powodu nie dopuszczono ich do głosu.

W ceremonii nietrudno odkryć znane z najnowszej historii elementy. Operę Glinki, opiewającą zwycięstwo Iwana Susanina, prostego rosyjskiego człowieka, nad oddziałem zdrazieckich Polaków, którzy w 1613 r. sprzyśrzyli się przeciw rosyjskiemu carowi, wystawiono w Moskwie na rozkaz towarzysza Stalina. Jemu też — ojcu narodów — śpiewano po cerkwiach „Sto lat”, prosząc Boga, aby przedłużył życie generalissimusa. „Nowa Rosja” nie ma jeszcze konstytucji, dlatego Borys Jelcyn składał przysięgę na obowiązującą obecnie konstytucję ZSSR i RSFSR. Nawet myśl, która przysięgała twórcom ceremoniału, nie jest nowa: „nowy car” przysięgał zjazdowi deputowanych ludowych, że będzie bronił władzy sowieckiej. Sama myśl, że można — i należy — stworzyć kombinację cara i sowietów zrodziła się wśród rosyjskiej emigracji porewolucyjnej.

Dwie ważne ustawy i projekt trzeciej — też bardzo ważnej — zrobiły spore wrażenie i spowodowały liczne komentarze. Zacznę od mniej ważnej ustawy o KGB. Nie pomniejszając rosnącej roli KGB w Kraju Rad, uważam nową ustawę za niezbyt ważną, ponieważ niczego ona nie zmienia, a legalizuje prawa „organów”. Teraz nikt już nie będzie mógł twierdzić, że nie wiedział. Artykuł 1 nowej ustawy zalicza do obowiązków organów bezpieczeństwa „obronę suwerenności i niepodzielności terytorialnej państwa”. W ten sposób ruchy narodowo-wyzwoleńcze stają się w oczach prawa przestępstwem, zamachem na „niepodzielność terytorialną”. Konstytucja ZSSR gwarantuje tajemnicę korespondencji, a artykuł 14 ustawy o KGB pozwala „organom” „kontrolować przesyłki pocztowe i rozmowy prowadzone przy pomocy telefonu lub innych urządzeń komunikacyjnych...”. KGB ma obowiązek chronienia Związku sowieckiego i jego obywateli przed działalnością „szuż specjalnych” oraz „wywrotową działalnością” tajnych „organizacji zagranicznych”. Artykuł 6 głosi: „Obywatele ZSSR współdziałają przy zapewnieniu bezpieczeństwa państwa”, art. 11 przewiduje „odkomenderowanie” do ministerstw, komisji państwowych, przedsiębiorstw itd. „wojskowych z organów bezpieczeństwa... celem zamienienia personalii w wymienionych organach i organizacjach”. To wszystko — powtarzam — już było: donosiciele i tajni agenci w każdym urzędzie nie są niczym nowym. Dziś jednak stali się prawem, zostali, że tak powiem, demokratycznie przypieczętowani,

ponieważ ustawę uchwaliła Rada Najwyższa, deputowani ludowi. Niewykluczone, że — jak już w sowieckiej historii bywało — uchwalili ją na własną zglębę. Na zamkniętym zebraniu Rady Najwyższej ZSSR z 17 czerwca, na którym dyskutowano, czy należy zadośćuczynić propozycji premiera Pawłowa i udzielić mu specjalnych pełnomocnictw kosztem pełnomocnictw Gorbaczowa, wystąpili z poparciem Pawłowa trzej „zapaśnicy wagi ciężkiej”: minister obrony Dimitrij Jazow, minister spraw wewnętrznych Borys Pugo i przewodniczący KGB Władimir Kriuczkow. Każdy z nich mówił ciekawe rzeczy (streszczenie ich przemówień ogłosiła *Polityka*, a przedrukowała *Sowietskaja Rossija* 27.6.). Najbardziej sensacyjne słowa wypowiedział — jak należało się spodziewać — przewodniczący KGB. Powiedział mianowicie, że 24 stycznia 1977 r. ówczesny przewodniczący KGB J. Andropow skierował do KC KPZS list z adnotacją „specjalnej wagi”. List nosił tytuł „O planach CIA stworzenia agentury wśród obywateli sowieckich”. Jurij Andropow pisał: „... wywiad amerykański zamierza werbować agentów spośród obywateli sowieckich, kształcić ich i następnie plasować w kręgach kierujących polityką, gospodarką i nauką Związku Sowieckiego”. Nie będę więcej cytował tego ciekawego dokumentu — sens powyższego zdania jest jasny. CIA przygotowała w latach 70-tych ludzi, którzy lata później zajęli ważne stanowiska w rozmaitych dziedzinach życia sowieckiego. Następnie — kontynuuje Kriuczkow myśl Andropowa — rozpoczęli w latach 80-tych *pierstrojkę*. „Plan CIA” opisany przez Andropowa i Kriuczkowa można w jakimś sensie uznać za odpowiednik planów KGB, opisanych przez Anatola Golicyna.

Pomijając wiarygodność bądź niewiarygodność „planu CIA”, jest oczywiste, że obecnemu przewodniczącemu KGB pozwoli on wykorzystać szerokie możliwości nowej ustawy o KGB do walki z „agentami”, kiedy nadejdzie stosowny rozkaz.

Znaczenie kolejnej ustawy nie budzi wątpliwości. 28 czerwca Rada Najwyższa uchwaliła ustawę o prywatyzacji. Jej dokładny tytuł brzmi: „O podstawowych zasadach odpaństwowienia i prywatyzacji przedsiębiorstw”. Ustawa przewiduje, że poza sektorami strategicznymi (zbrojenia, energetyka itp.) dwie trzecie przedsiębiorstw państwowych zostaną do 1995 roku sprywatyzowane. Podobnie jak wszystkie sowieckie ustawy, ta również wyraża zamiar, formułuje myśl — formy realizacji mają zostać ustalone później, w instrukcjach. Na razie ich nie ma, bo nikt nie wie, jak myśl wprowadzić w czyn. Tak czy owak, zamiar jest szlachetny: własność socjalistyczna przestaje być jedyną, postępową i nietykalną.

Cofnijmy się o sześćdziesiąt pięć lat. 17 kwietnia 1925 r. ówczesny główny teoretyk partii, Nikołaj Bucharin, wtedy jeszcze najbliższy towarzysz Stalina, oświadczył: „Chłopom, wszystkim chłopom, trzeba powiedzieć: bogaćcie się, rozwijajcie swoje gospodarstwa i nie bójcie się, że was przycisną”. Bucharin zapożyczył hasło „bogaćcie się” od francuskiego króla Ludwika Filipa, który w 1830 roku ogłosił, że skończyły się rewolucyjne wstrząsy i pora

zacząć żyć normalnie. Taki sam sens miały słowa Bucharina. Emigrant Nikołaj Ustriałow, przywódca „smienowiechowców”, ideolog narodowego bolszewizmu, ogłosił w odpowiedzi na słowa Bucharina radosny artykuł, który poprzedził mottem z Pisma świętego: „Odpuszczamy!”.

Radość, jak wiadomo, trwała zaledwie kilka lat: już w 1928 r. zaczął się nowy kurs: kolektywizacja i rozkułaczanie. Między okresami, o których piszę, istnieją naturalnie liczne różnice. NEP był, jak wówczas mówiono, „chłopskim Brześciem”, ustępstwem wobec chłopów, którzy stanowili ogromną większość społeczeństwa. Dziś celem uderzenia jest przemysł. W latach 20-tych ludzie jeszcze dobrze pamiętali „przekłete czasy kapitalizmu”. Dzisiaj pojęcia „rynek” albo „własność prywatna” są pojęciami mitycznymi, budzą nadzieję i strach, oczekiwanie na cud i oburzenie. W latach 20-tych liberalizacja przebiegała w sposób naturalny, dziś chce się wprowadzić kapitalizm „za jednym zamachem i wszędzie”. Podobieństwo polega na tym, że zarówno wtedy, jak i dziś wszyscy rozumieją, że rynek i socjalizm, prywatna własność i władza komunistów — nie dadzą się pogodzić. Główna różnica natomiast polega na tym, że w latach NEP-u „wyżyny władzy” znajdowały się wyłącznie w rękach partii komunistycznej, czyli jej przywódców. Dziś można mieć co do tego wątpliwości. Nie zapominajmy jednak, że w roku 1925 partia była wprawdzie jedyną instancją władzy, ale między jej przywódcami toczyła się nie mniej zażarta niż dziś walka o władzę.

Wreszcie trzecia ustawa. Nie została jeszcze uchwalona, ale ogłoszono projekt. Jest to projekt „Umowy o związku suwerennych państw”. Gorbaczow starał się podpisać ją jak najprędzej — przed początkiem lipca, tzn. przed spotkaniem siódemki w Londynie. Uzyskał zgodę dziwięciu szefów republik, ale z podpisaniem musi poczekać do jesieni, kiedy wypowiedzą się republikańskie Rady Najwyższe. Jest to projekt pod każdym względem dziwny: artykuły są sprzeczne między sobą, a w samych artykułach są rozbieżności. Dość powiedzieć, że całkiem niedawno zjazd deputowanych ludowych postanowił zachować dotychczasową nazwę — Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Projekt przewiduje „Związek Suwerennych Republik Sowieckich”. Słowo „suwerenny” powtarza się w projekcie tak często, że odruchowo budzą się wątpliwości. Każda republika sygnująca umowę jest suwerenna, podkreśla wstępna zasada. Cały związek jednak też jest suwerennym państwem. Wszystkie jego członki są suwerenne, ale do sfery wpływów Związku należy wszystko, co normalnie jest prerogatywą suwerennej republiki. I tak dalej. Po uchwaleniu projektu wrócimy jeszcze do tej umowy. Na razie można przypomnieć, że w 1922 r., kiedy opracowywano pierwszą konstytucję ZSSR, Stalin zaproponował, aby wszystkie republiki włączyć na prawach autonomicznych do republiki rosyjskiej. Lenin, uważając, że dopiero co skończyła się wojna domowa, w której liczne terytoria ogłosiły niepodległość (np. Gruzja, Armenia, Azerbejdżan) i utraciły wolność po zajęciu ich

przez Armię Czerwoną, opowiedział się za federacją. Konstytucja 1922 r. (weszła w życie w roku 1924) zawiera zasadę suwerenności republik sowieckich. Wiadomo dobrze, jakie były jej losy.

Trzy ustawy (w tym jeden projekt) i dwa wydarzenia. O pierwszym napisano już chyba wszystko: mam na myśli spotkanie siódemki w Londynie. Po festynie przemówień, fotografii i nadziei okazało się, że Gorbaczow nie dostał miliardów, o które prosił. Jeden z jego doradców mówił w przeddzień spotkania: potrzebna nam jest twarda waluta, a nie miękkie rady. Rad Gorbaczowowi nie poskąpiono. Myślę jednak, że nie należy uważać podróży wodza sowieckiego do Londynu za porażkę. Uzyskał wsparcie moralne: szefowie siedmiu najbogatszych państw świata jeszcze raz potwierdzili, że stawiają na Gorbaczowa i w nim widzą jedynego rozmówcę w Związku Sowieckim, jakie by nim nie miały wstrząsy. Sytuacja w Jugosławii, gdzie nie ma z kim rozmawiać (lub, co na jedno wychodzi, gdzie rozmówców jest za dużo) przyszła Gorbaczowowi w sukurs. W Londynie uzyskał mandat na rządzenie przez co najmniej jeszcze półtora roku. Kto wie, co się przez ten czas wydarzy?

W 1922 r. na konferencjach w Genewie i Hadze, dokąd kraje zwycięskiej koalicji, ówczesne najbogatsze państwa świata, zaprosiły zniszczoną Republikę Rad, przedstawiciele Lenina poprosili o kredyty. Odmówiono im. Zebrani w Hadze postanowili, iż nikt nie podpisze z rewolucyjną Rosją odrębnych porozumień. Ale było już za późno: podczas konferencji w Genewie (która poprzedziła haską) Cziczerin podpisał traktat z Rathenau: zaczęła się współpraca między Moskwą a Berlinem. Po konferencji w Hadze kapitalistyczne państwa jedno za drugim uznawały republikę sowiecką, podpisywały z nią traktaty, pomagały odbudować gospodarkę.

Drugie wydarzenie — którego się od dawna spodziewano i obawiano — stało się ciałem 1 lipca. Grupa znanych działaczy politycznych zaapelowała o stworzenie „Ruchu demokratycznych reform”, grupującego partie i formacje demokratyczne. Wśród inicjatorów widnieją: kierownik związku naukowo-technicznego A. Wolski, główny doradca Gorbaczowa A. Jakowlew, były minister spraw zagranicznych Szewardnadze, burmistrzowie Moskwy i Leningradu Popow i Sobczak, premier Rosji Siłajew, były doradca ekonomiczny Gorbaczowa Pietrakow i wiceprezydent Rosji Rucki. Przede wszystkim wypada zauważyć, że ogromna większość inicjatorów wciąż należy do KPZS, po drugie że są wśród nich stronnicy Gorbaczowa i stronnicy Jelcyna. Po trzecie — powołuje się na artykuł filozofa A. Cypko „Czy nasze zasady są słuszne?” (*Nowyj Mir* nr 4/1990) — główni ideolodzy ruchu reform demokratycznych, mimo że potępili Stalina i mają wątpliwości co do Lenina, wciąż są przekonani marksistami. Aleksander Niekricz (*Russkaja mysl* z 12.7.) dowcipnie nazwał ruch „stowarzyszeniem pomocy tronowi”, na wzór ruchu, który stworzono w Japonii w 1940 r. na miejscach rozwiązanych przez rząd partii.

Dalekosiężne rachuby Jakowlewa, Szewardnadze i innych nie są bez związku z oświadczeniem, jakie wygłosił na konferencji prasowej w Londynie Gorbaczow. Na pytanie, czy możliwy jest wybór bezpartyjnego działacza na stanowisko prezydenta ZSSR obecny prezydent odpowiedział, że nie można tego wykluczyć. Za rok, półtora, po okrzepnięciu nowej umowy związkowej i nowej konstytucji, odbędą się wybory prezydenta ZSSR. Stowarzyszenie pomocy tronowi może wtedy oddać cenne usługi.

Cały niniejszy przegląd poświęciłem analogiom, starając się znaleźć w przeszłości nic, która pozwoli zrozumieć terażniejszość. Być może nie wszyscy czytelnicy uznają moje wywody za przekonujące. Jest to naturalne. Jako ostatni dowód przytoczę zaskakujący argument. Całkiem niedawno ukazały się w Paryżu notatki moskiewskiego nauczyciela historii Iwana Schütza. Pisał on od marca 1928 do sierpnia 1929 niemal codziennie dziennik, który znalaziono w archiwum francuskiego slawisty Mazona, starego znajomego Schütza, któremu przesłał on swój dziennik do Paryża. Dziennik „wielkiego przełomu”, jak go zatytułował wydawca, jest bardzo ciekawy. Zatrzymam się tylko przy dowcipach. Iwan Schütz notował wszystkie dowcipy, które słyszał. Pozostaje tylko zadumać się nad ich aktualnością. Po pierwsze takie, które wydawały się wymysłem ostatnich czasów: „I czegoż to w Moskwie nie ma — herbaty nie ma, masła nie ma, kiełbasy nie ma...” Dalej: „Skazanym na śmierć Rosjaninowi i Żydowi obiecano darować życie, jeśli wymyślą, w jaki sposób podnieść wartość czerwońca (asygnaty 10-rublowej — A.K.) i doprowadzić do upadku dolara. Rosjanin odmówił rozwiązania niemożliwego zadania i zażądał kuli w łeb. Żyd pomyślał i rano zaproponował prosty, szybki i tani sposób: wymianę rządów”. Dowcip ten opowiadano w marcu 1929. Przepis można żywcem zastosować w roku 1991.

12.7.1991

Adam KRUCZEK

## Umiarkowany szok

Od 22 czerwca do 6 lipca 1991 roku przebywałem (wraz z grupą 25 studentów *business management* uniwersytetu Erazma w Rotterdamie) w Moskwie i Leningradzie. Był to przedostatni etap tzw. projektu „Blok wschodni”. Poprzedzały go całoroczne przygotowania a następować po nim miała intensywna praca redakcyjna nad opracowywaniem raportów dla sponsorów i publikacja książkowa w stylu ubiegłorocznej książeczki o Polsce i o Węgrzech (*Business As Unusual*, Delft, 1991).

Wizytę w Rosji zaprojektowaliśmy nietypowo. Po pierwsze chcieliśmy mieć minimum hotelowo-gastronomiczne, by uniknąć poszukiwania restauracji gotowych nas przyjąć i podać znośne jedzenie, ponadto chcieliśmy mieć pewne i wygodne połączenia komunikacyjne. Ale po drugie chcieliśmy na miejscu, w Moskwie i w Petersburgu, mieć maksymalną swobodę, zaś program turystyczny tylko w weekendy, ewentualnie wieczorami. Wybraliśmy turystyczne *joint venture* holendersko-rosyjskie pod nazwą „Perestrojka Reizen” z siedzibą w Utrechcie. Ich oferta była względnie tania (ok. 1600 guldenów od osoby za dwutygodniowy pobyt z dobrym hotelem i dwoma posiłkami dziennie — łącznie z przelotem Bruksela-Moskwa, nocnym pociągiem Moskwa-Leningrad i powrotem samolotem Leningrad-Bruksela), program turystyczny całkowicie dostosowany do naszych wymagań, a w dodatku cierpliwie czekali nieomal do ostatniej chwili aż skompletujemy potrzebną sumę.

Wylecieliśmy z Brukseli rankiem 22 czerwca dużym, nieomal pustym samolotem „Aeroflotu” (rosyjska wersja szerokokadłubowego „Airbusa”, zaprojektowana dość niefortunnie bo kabina jest wysoka i przewozi powietrze, ale za to schowki na bagaż są malutkie i trzeba zostawiać rzeczy na „parterze”, czyli na poziomie wejścia i luków bagażowych). Na lotnisku w Moskwie szybko mineliśmy kontrolę paszportową, ale na celną czekaliśmy dość długo, bo rosyjscy celnicy przeczesywali dokładnie swoich rodaków zgodnie z nowymi przepisami celnymi dotyczącymi prywatnego importu atrakcyjnych urządzeń elektronicznych. Przypomniało mi to lotnisko w New Delhi, gdzie celnicy także pastwili się nad Hindusami zwożącymi *video* z Hong Kongu i Singapuru, nie zwracając uwagi na obcokrajowców, skądinąd zmuszonych do wypełniania szczegółowych formularzy

deklaracji celnych. Lotnisko Szeremietiewo jest w miarę nowoczesne, ale już podupadłe i źle utrzymane. W dodatku zostało także wadliwie rozplanowane — między „rękawem”, którym przechodzi się z samolotu bezpośrednio do gmachu, a kontrolą paszportową jest dużo wolnej, niewykorzystanej przestrzeni. Za to po odprawie paszportowej a przed celną wszyscy kręcą się na niewielkiej przestrzeni wokół taśm podających bagaże.

Szokiem jest naturalnie infrastruktura: autobus Inturista zabrał nas z Szeremietiewa do hotelu „Kosmos”, wielkiego gmachu tuż obok pomnika zdobywców przestrzeni kosmicznej i stałej wystawy osiągnięć gospodarki ZSSR. Hotel jest dość nowoczesny (zbudowali go dwanaście lat temu Francuzi), ale już mocno podniszczony, a w dodatku nie działa klimatyzacja, co przy 35 stopniach ciepła i gęstym smogu powoduje, iż na długich korytarzach wisi zapach starzyzny. Rzucamy się do telefonów i tu pierwsze zaskoczenie. Z pokoju nie można dzwonić poza Moskwę a tym bardziej poza Rosję. Do pokoi też nie można się dodzwonić, bo telefonistka mruczy coś niezrozumiale i odkłada słuchawkę ilekroć ktoś chce się do nas dodzwonić z zachodniej Europy (przekonaliśmy się o tym po paru dniach). Tajemnica tej niezyczliwości wyjaśnia się szybko. Oto w głównym gmachu hallu stoją eleganckie automaty telefonu satelitarne, a w kiosku na półpiętrze można kupić plastikową kartę kredytową, która uruchamia te automaty. Ponieważ telefon satelitarny omija zablokowane kable, połączenie uzyskuje się natychmiast. Tyle tylko, że trzy minuty rozmowy z Europą zachodnią kosztują równie 20 dolarów... Studenci ruszają zatem na pocztę główną i zamawiają tam rozmowy z Holandią: 5 minut około 25 rubli, godzina czekania w kolejce i godzina na połączenie, bez gwarancji, że przed zamknięciem poczty uda się je uzyskać. Ponieważ nie chciało mi się tracić owych dwóch godzin w upale w centrum, wpadłem na pomysł, żeby jedna z moich znajomych, do której wybierałem się na kolację zamówiła rozmowę z Holandią na konkretny wieczór i godzinę. Zamówiła, na kolację przyszedłem i... wtedy okazało się, że akurat na pół godziny przed spodziewaną rozmową odcięli wszystkie telefony w tej dzielnicy bo zaczęli wymieniać jakiś kabel. Ostatecznie porozumiewałem się ze światem zewnętrznym albo przez faxy z zaprzyjaźnionych firm zagranicznych (nadawano je w nocy albo nad ranem, kiedy można było uzyskać połączenie) albo przez telefon satelitarny.

Ale tej zapaści technologicznej nie towarzyszy już obsesyjna akcja kamuflująca rozpad ducha i materii Związku Sowieckiego ani też osaczenie cudzoziemców drobiazgową kontrolą. Nasza

pierwsza przewodniczka (przylecieliśmy w *weekend*) z Inturista, Tatiana (tęgawa, przed czterdziestką, autorytarna, bezdzietna) usiłowała jeszcze wciskać jakieś gadki o osiągnięciach ekonomicznych, ale wybuch śmiechu studentów (autobus właśnie zwolnił niemal do zera żeby przejechać skrzyżowanie pełne olbrzymich dziur w asfalcie i płataniny skręconych i poprzerywanych szyn tramwajowych — tuż przy Dworcu Ryskim) skutecznie ją przyhamował. Ograniczyła się zatem do ściśle historycznych informacji. A w ogóle widać rozluźnienie kontroli; dawny aparat policyjny już się stapia w burą masę z nową korupcją i broni raczej lokalnych monopolii niż interesów wywiadu, kontrwywiadu albo KGB. Przykładem mogą być panienki.

Trudno przeżyć choćby jeden dzień w tak dużym hotelu jak „Kosmos” by nie zauważyć, że od rana do wieczora wszystkie *lobbies*, bary i zakamarki patrolowane są przez liczne oddziały krzykliwie ale elegancko odzianych i umalowanych panienek, które pojawiają się tam codziennie i jakoś nie mają kłopotu z przekroczeniem drzwi (drzwi są pilnowane i zapraszając Rosjan musiałem każdorazowo uprzedzać o tym strażników a następnie czekać aż goście wypisze się przepustkę). Rekord przedsiębiorczości i kamuflażu pobiła pewna panienska, która wsiadła ze mną pewnego ranka do windy. Była ubrana niezwykle elegancko, ale jakby konserwatywnie — kostiumik, okulary i biżuteria, gładko zaczesane włosy, elegancka, nieco zbyt duża torebka — wszystko to wskazywało raczej na *business woman* niż na prostytutkę. Pierwsze zaskoczenie przeżyłem wówczas, gdy wdusiwszy swoje piętro nadaremnie czekałem aż ona wdusi swoje. Nie zaprzątałem sobie jednak tym uwagi, bo w końcu mogła przypadkowo mieszkać na tym samym piętrze. Panienska zaczęła rozmowę neutralnie:

— *Which country are you from?*

— *Guess*, odparłem, zastanawiając się, czy zdąży zgadnąć do mojego piętra.

Jej twarz rozjaśnił uśmiech. Zaczęła kiwać potakująco głową i powtarzać — *O guess — yes, guess — yes!* Zdębiałem, a potem domyśliłem się, że jej angielszczyzna zawierała wstęp a potem miejsce na nazwę kraju, po której należało wyrazić entuzjazm i poczekać na zaproszenie oraz negocjację ceny. Wysiadłem na swoim piętrze, ona została w windzie. Drugi raz już jej nie widziałem. Ale jedyny przypadek zetknięcia się z policyjną kontrolą w ciągu całego pobytu w ZSSR zdarzył się właśnie w hotelu „Kosmos” i właśnie z powodu panienek, które opanowały płaszczyzny styku z cudzoziemcami.

Pojechaliśmy do Instytutu Stosunków Międzynarodowych

na prospekcie Wernadzkiego — szerokiej alei za uniwersytetem Łomonosowa, przy której straszą niedokończone wieżowce i którą zamyka podobna do paradii Pentagonu budowla kwatery głównej KGB. Instytut był do niedawna enklawą uprzywilejowanej młodzieży z rodzin nomenklaturowych zarówno z ZSSR jak i bratnich demoludów. Uczą tam głównie języków obcych i orientacji w różnych kulturach, ale najważniejsze jest to, że potem można dostać niezłą pracę. Dawniej była to praca w dyplomacji a teraz w przedstawicielstwach firm zachodnich. W przerwie koncertu z okazji wypuszczenia kolejnej fali absolwentów piłem kawę w barze i wdałem się w rozmowę z tęgawą panienką, która właśnie skończyła studia i podjęła pracę w przedstawicielstwie jakiejś austriackiej firmy w Moskwie — narzekała, że pierwsza pensja wynosi tylko 750 rubli miesięcznie (dla porównania; początkujący inżynier dostaje ok. 200, doświadczona sprzątaczką w metro — 400, lekarka z dwudziestoletnim stażem pracy — 500). Otóż do instytutu tego pojechaliśmy, ponieważ otwarto w nim Międzynarodową Szkołę Biznesu, a jej szef, prof. Manukowski, spędza większość czasu na objazdach różnych zachodnich imprez i uczelni. Szkoła okazała się zalążkiem nowego wydziału uczelni o skromnym jeszcze programie, głównie nastawionym na tzw. „Dokształt” czyli na sprzedaż krótkich, wieczorowo-weekendowych kursów urzędnikom państwowym i dyrekcjom większych firm. Ale młodzi ludzie, którzy nas oprowadzali, okazali się sympatyczni, a studenci natychmiast zbratali się ze zdającymi właśnie końcowe egzaminy studentami innych wydziałów tej uczelni. Ostatecznie zostaliśmy zaproszeni na uroczyste zakończenie roku akademickiego mające odbyć się tego samego wieczoru w auli — najpierw miał być koncert-akademia, a potem zabawa. Moi studenci przyszli na koncert-zabawę w strojach typowych businessmenów — wszyscy mieli białe koszule z muszkami, ciemne marynarki, białe chusteczki w butonierkach — a do tego szorty typu bermudy i sportowe adidas na nogach. Koncert był nawet ciekawy — niezły zespół, doskonali piosenkarze rockowi, a to wszystko przeplatane jeszcze jakimiś archaicznymi numerkami typu „podwieczerek przy mikrofonie” i letnimi dowcipami typu „Malinowski i pan kierownik”. Młodzież gwizdała i wychodziła do baru na przerwy, ale z uwagą słuchała dobrej muzyki, a pod koniec koncertu po prostu otoczyła piosenkarza na estradzie i tym samym zdecydowała, że część koncertowo-akademijna skończona a zaczęła się dyskoteka. Braterskie i siostrzane uczucia potęgowały się i spiętrzały, toteż następnego wieczoru studenci zaprosili parę osób do naszego hotelu, gdzie do wczesnych godzin rannych kursowali po barach omawiając zagadnienia interesujące obie strony. O czwartej nad ranem zbudził mnie telefon.

Dzwonił jeden ze studentów — chodź natychmiast, mam policję w pokoju.

Pobiegłem zaciekawiony: poprzedniej nocy ktoś zakradł się do jednego z dwuosobowych pokoi zajmowanych przez studentów. Gdy przybysz zaczął otwierać jedną z walizek, któryś ze studentów przebudził się i skoczył ku niemu. Rosjanin sięgnął po broń psychologiczną — „Ręce do góry. KGB, paszport proszę!” — wyrzucił z siebie tonem, od którego Rosjanom pewnie ciarki chodzą po plecach. Miał jednak pecha, bo student strzelił go w ucho jeszcze — że tak powiem — z marszu a potem złapał za rękę — tylko cudem udało się złodziejaskowi oswobodzić i uciec, po tymczasem dlatego, że student trafnie skonkludował, że lepiej dać mu uciec niż zmuszać do sięgania po jakąś broń. Sądziłem zatem, że znów złapano jakiegoś złodzieja. Okazało się, że nie. W drzwiach do pokoju stało dwóch niskich facetów i pokazywało mi policyjne legitymacje. Studenci wzburzeni krążyli po pokoju i odgrążali się, że zaraz zadzwonią do ambasady. Policjanci zaczęli do mnie mówić po rosyjsku, studenci po holendersku, ja zacząłem się naradzać z moim asystentem po polsku — ale z tego rozgardiaszu ostatecznie wyłoniła się następująca historia. Oto około godziny trzeciej z gości pozostały już tylko dwie dziewczyny, zresztą pracowniczki Międzynarodowej Szkoły Biznesu Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Postanowiły jeszcze po raz ostatni zejść z chłopakami do baru i zostawiwszy torebki w ich pokoju powędrowały na dół, do baru Heinekena. Tam je zatrzymała hotelowa policja, do której nie przemówił argument, że przepustki leżą u dyżurnej piętra (w hotelu tym nie ma normalnej recepcji i klucze trzeba odbierać albo zostawić na piętrze). Dziewczyny odprowadzono do pomieszczenia policji, chłopaków odesłano na górę, a potem wysłano funkcjonariuszy, by zabrali od studentów torebki. Policjant starannie mi tłumaczył, że do nas nic nie ma, chce tylko torebki tych dziewczyn, które już zatrzymał. Odwróciłem się do studentów:

— W żadnym wypadku nie dawać im tych torebek. Torebki są własnością dziewczyn i możecie je oddać tylko dziewczynom i to do rąk własnych. Oddając trzeba je odprowadzić do taksówki, żeby policja ich po raz drugi nie zatrzymała.

Policji zatem powiedzieliśmy, że to co robią, to bezprawie, że mamy prawo mieć gości, zwłaszcza, jeżeli strażnicy hotelowi zostali o tym uprzedzeni i sami wypisali przepustki. Kiedy próbował nam coś mówić o sowieckich prawach huknęliśmy na niego wszyscy, że to skandal i bezprawie, że pora żeby sobie faktycznie zafundowali prawo i żeby instytucje też go przestrzegały. Czy pan nie rozumie, tłumaczyłem mu, że moich studentów i mnie najbardziej oburza to, że pan nas traktuje z szacunkiem a swoich obywateli jak śmieci? Traktuje pan te dziewczyny

jak te tuziny kurew z dołu — a dlaczego nawiasem mówiąc tych kurew pan nie kontroluje?

Kazałem policjantom wyjść z pokoju i powiedziałem, że albo dziewczyny zgłoszą się same, albo torebek nie oddamy a sprawę jutro wyjaśnimy przez holenderską ambasadę. Zgodnie z moimi przypuszczeniami policjanci chcieli uniknąć skandalu i po chwili przysłali dziewczyny na górę. Dziewczyny opowiedziały o nieprzyjemnym godzinnym przesłuchaniu, a potem, pod eskortą całej naszej grupy odeszły na postój taksówek. A nawiasem mówiąc policja wykonywała tylko rutynowe obowiązki skorumpowanej ochrony płatnej działki. Kurwy płacą, a zatem mogą sobie chadzać po hotelu — zaś normalne dziewczyny zaproszone w charakterze gości są z tego punktu widzenia całkowicie zbędnym zaburzeniem dobrze chronionego monopolu.

W naszych spotkaniach z przedstawicielami fabryk, banków, firm konsultacyjnych, *joint ventures* czy instytutów badawczych staraliśmy się wypytywać nie tylko o sposób prowadzenia *business'u* na terenie dzisiejszej Rosji, ale i o prognozy, przypuszczenia i fantazje naszych rozmówców w sprawach politycznych. Nieomal jednoznacznie wyrażali oni pogardę dla Gorbaczowa jako symbolu Związku Sowieckiego, którego nie chcą dzisiaj nawet sami Rosjanie (wyłączywszy tych z nomenklatury) i mniej lub bardziej ostrożną sympatię dla Jelcyna, za to, że wyraźnie opowiedział się po stronie Rosji a przeciw Związkowi Sowieckiemu. Co uczciwi i bardziej wyrafinowani spośród naszych rozmówców nie mogli darować Gorbieniu tego, że jest taki śliski, że się płaszczy przed każdą frakcją i siłą polityczną, że przelknie nawet mordowanie cywilnej ludności przez oddziały specjalne, byle tylko pozostać primabaleriną. Co cyniczniejsi twierdzili, że z prostego rachunku siły wynika, że na utrzymanie imperium nie ma już co liczyć, a Rosję na nogi postawić trzeba, a zatem należy kopnąć Gorbiego przyznając mu zasługi w zakresie kontroli nad początkiem rozkładu imperium i ustawić się za Jelcynem (który zresztą szybko wyłapuje wszystkich co zdolniejszych doradców Gorbiego, uciekających od chwiejnego szefa). Ta dwuznaczność sowiecko-rosyjska prowadzi do ciekawych powikłań. Oto kompleks Smolnego klasztoru w Petersburgu zaczęto oddawać patriarsze — katedrę (w której, ponieważ jest jeszcze restaurowana, odbywają się wspaniałe koncerty chórow ze względu na świetną akustykę) już oddano, myśli się o reszcie. Ale... budynek, z którego niejaki Lenin kierował ruchawką w 1917 nie może być przez miasto przekazany kościołowi, gdyż nie jest, w myśl ostatniej jeszcze przez Ryżkową przeprowadzonej ustawy, własnością Rosji i Petersburga lecz stanowi własność całego ZSSR, a konkretnie władz centralnych

ZSSR. Tak więc ratusz Petersburga czyli Landsowiet może sobie z Sobczakiem na czele głosić, że odbiera partii komunistycznej nadmiar dóbr i przekazuje Smolny kościołowi, a partia nie odda, bo w myśl prawa (jakiego? eksterytorialnego, ponadrepublikańskiego) musi słuchać wyłącznie postanowień Rady Najwyższej całego ZSSR. Dopóki istnieje imperium, jego władze centralne na pewno nie oddadzą mienia swojego organizacyjnego „rdzenia”. A jeśli imperium się rozpadnie, to przestanie też istnieć jedyny organ władny tę własność odebrać byłej partii komunistycznej i przekazać komuś innemu.

Jeszcze małe polonicum. Wyszedszy w Petersburgu z koncertu w katedrze Smolnego poszedłem prosto przed siebie. Po prawej stronie, tuż przed końcem długiego skweru zobaczyłem jakiś pomnik a za nim nowoczesny budynek w stylu oddziałów wojewódzkich NOT-u za późnego Gomułki czy wczesnego Gierka. Zaciekawiony podszedłem bliżej — na cokole stał smukły Feliks Dzierżyński, a za nim przycupnął budynek KGB, którego główny kompleks mieścił się niedaleko (nasza przewodniczka — która była kiedyś w środku, gdyż tłumaczyła aferę pewnego holenderskiego kierowcy autobusu szmuglującego setki ikon — pokazała nam ten kompleks gdyśmy przejeżdżali opodal. Nie okazała strachu, naśmiewała się z ich tajności, z tego, że kiedy chciała pójść do ubikacji dwóch KGB-istów pobiegło pilnować drzwi, za którymi się zamknęła, ze starych rozsuwanych automatycznie drzwi, z pancernych szaf, z atmosfery pajęczyny, bezsensu, nudy. Nie lekceważyła ich, ale w jej planach życiowych byli już skamieliną — znacznie bardziej liczyła się z kursem dolara i pracą w zachodniej albo mieszanej rosyjsko-zachodniej firmie. Nawiasem mówiąc, kierowcę autobusu i tak wypuszczono bez niczego, bo ikony, które z zapalem kupował, okazały się tanimi imitacjami...).

Drugim przykładem dwoistości najnowszego prawodawstwa w Rosji jest niepewność co do nazwy miasta. Leningrad czy Petersburg albo Piotrograd? W myśl referendum nazwę poprzednią, czyli St. Petersburg albo Piotrograd należy przywrócić, bo życzy sobie tego 55-60% mieszkańców miasta. Ale istnieje dwa problemy. Pierwszy jest natury technicznej i finansowej — koszty operacji są spore, a kasy w ratuszu puste. Poważniejszy jest powód drugi — oto zaprotestowali weterani II wojny światowej, którzy stwierdzili, że przelewali krew za Leningrad i w Leningradzie chcą dożyć swych dni. Nie można ich po prostu zlekceważyć, bo prawdą jest, że miasto bardzo cierpiało od głodu i ostrzału w czasie blokady. Tym bardziej, że obrona Leningradu miała znaczenie czysto symboliczne. Miasto było z

trzech stron otoczone, nie miało żadnego znaczenia wojskowego i można je było — z czysto wojskowego punktu widzenia — spokojnie oddać, być może ocalając setki tysięcy jego obywateli. Ale oznaczałoby to oddanie kolebki rewolucji, miasta z Leninem w nazwie. W kraju, w którym miliony ludzi głodzono albo zabijano nawet bez poważniejszych konfliktów międzynarodowych setki tysięcy trupów znaczyły mniej niż magia symbolu.

Tak więc wszędzie widać jeszcze znaki drogowe pokazujące drogę do Leningradu, ale nikt już o nim nie mówi inaczej jak o „Pitrze” albo Petersburgu, pod „Aurorą” sprzedaje się T-shirts z napisami „KGB”, a sklepy z suwenirami zavalone są różnymi pamiątkami imperialnej przeszłości sprzed wystrzału krążownika (zdaniem naszej przewodniczki to najpotężniejszy okręt wojenny świata — wystarczyło, że raz wystrzelił i przez siedemdziesiąt lat ten jeden wystrzał siał spustoszenia na całym terenie ZSSR...).

O tym, że kontrola nad ruchami cudzoziemców musiała osłabnąć świadczy łatwość, z jaką ustaliliśmy na miejscu położenie interesujących nas zakładów (to jest takich, które interesowały naszych sponsorów), łatwość z jaką umówiliśmy się z ich dyrekcjami, z jaką uzyskaliśmy odpowiedzi na tzw. trudne pytania (np. o to jak potencjalna *joint venture* może obejść przepisy zakazujące wywozu zysku w twardej walucie, albo w jaki sposób można uniknąć ograniczeń związanych z limitami na eksport surowców z ZSSR) czy wreszcie z jaką swobodą krążyliśmy po wszystkich wydziałach fabryk utrwalając wszystko co widzimy na kasetach video.

Inną sprawą jest kwestia wiarygodności uzyskanych odpowiedzi, tym bardziej, że zmieniają się ustawy, nie wiadomo, jakie i przez kogo wydawane przepisy wykonawcze będą obowiązywać i jak to wpłynie na zachowania ludzi oraz organizacji. Mam wrażenie, że nasi moskiewscy rozmówcy byli nieco bardziej zorientowani na negocjacje z dawnym imperialnym centrum i na wydobywanie ustępstw od słabnącej władzy centralnej, a nasi rozmówcy petersburscy postawili na Sobczaka i lokalną autonomię w ramach tzw. sfery wolnocłowej (mówiąc skrótkowo rejon Petersburga ma się stać rodzajem wolnego miasta, swoistym Hong-Kongiem czy Szanghajem dla Rosji). Czasami swoistym komentarzem do naszych rozmów były obserwacje następujące tuż po rozmowie. Oto długa wizyta w fabryce plastikowych przedmiotów domowego użytku — ciekawa, szczerza, zwłaszcza, że menadżerowie przekształcili zakład w kooperatywę i mają niezłe wyniki. Jeszcze tylko wymienialność rubla i można poważnie rozmawiać o *joint venture*. Wychodzimy — robotnicze

przedmieście Moskwy, nigdzie nie można złapać taksówki, ulewa dopada nas przed najbliższym przystankiem autobusowym, mokniemy do suchej nitki. Autobusem jedziemy do najbliższej stacji metra, patrząc na siebie ryczymy ze śmiechu, śpiewamy piosenki. Reszta autobusu patrzy na nas wyraźnie wrogo — sypią się komentarze typu „U nas nikt tak nie śpiewa”, „widzicie ich, śpiewają sobie”. Nie tłumaczę, bo po co. Ale w chwili gdy wyglądam przez zaparowane okienko widzę coś niesamowitego; na górnej ramie okiennej, tej, po której przesuwa się łufcik okienka, rośnie... zielony, soczysty zielony mech. Prawdziwy, leśny mech. W środku autobusu. Mam ochotę odwrócić się do tej baby, która zgryźliwie stwierdza, że „u nas nikt tak nie śpiewa” i powiedzieć — „a u nas mech nie porasta okienek w autobusach”. Ale nie robię tego.

Ale choć kontroli policyjnej nie czuliśmy — nawet przy wyjeździe, kiedy to na lotnisku Pułkowo w Petersburgu celnicy obojętnie odkładali nasze deklaracje celne na bok i machali, żeby przechodzić (swoista konieczność — bo lotnisko jest mniejsze niż Okęcie i dwa samoloty o tej samej porze — jeden do Paryża, drugi do Brukseli, zajęły całą obsługę dokładnie w chwili odlotu) choć nikt nie musiał nawet pokazywać zakupionych w Rosji przedmiotów, czuliśmy kontrolę nieco, hm... mafijną. Ot, na przykład, mafii taksjarskich czatujących przed hotelami. Żądali zapłaty w dolarach, więc nigdy ich nie braliśmy — o parę kroków dalej można było złapać normalną taksówkę albo metro.

Ciekawym przykładem bujnej a nowej flory indywidualnej przedsiębiorczości w szparach między instytucjami są bilety na atrakcyjne imprezy. Już w sekundę po zatrzymaniu się naszego autobusu przed hotelem wskoczył doń chudy mały czelczek i zapytał, czy nie chcemy pójść na „Jezioro łabędzie” do Bolszoja w Moskwie. Spojrzałem niepewnie na naszego kierowcę, ale ten spokojnie wyjaśnił, że czelczyna nie oszukuje. — Możesz szukać biletów za ruble w kasach, powiedział. Ale tam nic nie ma, wszystko wykupione. Możesz zamówić przez Inturist, ale wtedy płacisz 35-40 dolarów za jeden bilet (który normalnie kosztuje od 3 do 6 rubli). A ten facio pracuje dla Inturista, ale prywatnie sprzeda ci za 10 dolarów od sztuki. I tak też się stało. Co prawda orkiestra teatru była właśnie na występach w USA i grała kapela Mosfilmu (zbyt powolna w drugiej części czyli w trzecim i czwartym akcie), ale primabalerina była niezła i w ogóle spektakl dał nam poczucie, że dopełniliśmy obowiązku turysty z tzw. zainteresowaniami kulturalnymi. Nie przepadam za Czajkowskim, poza tym akurat „Jezioro łabędzie” widziałem i w Poznaniu i w Nowym Jorku i w Stuttgarcie — ale nie było

to wcale złe przedstawienie. Jak na lato, turystów i okoliczności — to wręcz bardzo dobre. W każdym bądź razie mniej się wynudziłem niż na „Wydarzeniu” Nabokova w Moskwie w teatrze na Małej Bronnej (niestety nie udało mi się obejrzeć ani spektaklu „Moskwa-Pietuszki” opartego na Jerofiejewie ani „Tanga” Mrożka).

Osobnym rozdziałem było jedzenie. Na ogół, nawet w dobrych hotelach i restauracjach jada się średnio lub złe, bufety śniadaniowy jest niechlujny i niesmaczny, kolacje lub obiady miewają eleganckie przystawki z kawioirem i łosiosiem, ale mięso jest złe przyrządzone, jarzyny byle jakie, ziemniaki poniżej krytyki, poza tym podają to wszystko w rytmie raczej luźno związanym z pojawianiem się gości i porządkiem ich jedzenia. Toteż z radością pędziliśmy w Moskwie na *lunche* do McDonalda. Mała uwaga techniczna dla turystów w Moskwie; proszę się nie dać zwieść długiej kolejce. Nawet 200-300 metrów nie oznacza z reguły oczekiwania powyżej 15-20 minut. McDonald jest uproszczony — tylko Big Mac, *cheeseburger* i *hamburger*, jeden rozmiar frytek, fanta albo coca-cola, deser mleczny i zapiekanka z jabłkiem. Ale za to kolejka przesuwa się błyskawicznie, a wszystko jest świeże, bo ruch taki że nie ma czasu czekać na klienta.. Uwaga: Pizza Hut — jest, owszem, nienajgorsza, ale tylko za dolary. Można złe jedzenie uzupełnić w restauracjach hotelowych za dolary (ma się wówczas pewność, że otrzymamy przynajmniej minimum — średnio dopieczony befsztyk, choć reszta może być średnia), ale sympatycznie kupować owoce na targu (dla przykładu — kilo truskawek — 15 rubli, czyli niecałe 50 centów, czereśnie — 12) lub zapiekanki z kapustą albo mięsem od baby przed wejściem do metra. Tyle uwag *ad hoc*. Ostatnia dla tych, którzy sądzą, że jak jest upał to można wypić piwo; w całej Moskwie nie udało mi się wypić piwa za ruble, a za dolary wyłącznie w hotelu.

Uwagi powyższe mogą sugerować, że szok wynikający z bezpośredniego kontaktu z życiem codziennym w Rosji okazał się bardziej umiarkowany, niż można było tego oczekiwać. A oczekiwać można było dlatego, że właściwie tylko raz w dorosłym życiu byłem w Rosji (zimą 1972 roku spędziłem dwa tygodnie w Tallinie a po drodze obejrzałem pobieżnie Wilno i Petersburg). Ściśle rzecz biorąc, na terenie ZSSR byłem jeszcze dwa razy jako paroletnie dziecko, gdy odwiedzałem dziadków w Lidzie. Nie wspominałbym o tym fakcie, gdyby nie okoliczność, że gdy pociąg przetoczył się na stację Baranowicze przeżyłem największy szok obyczajowy wczesnego dzieciństwa. Oto wyrzależam na peron i zobaczyłem pasażerów przechadzających się po nim w piżamach. Zdumiony spytałem ojca dlaczego chodzą w



piżamach po ulicy, a on odpowiedział, że to Rosjanie. Przypomniałem sobie tę reakcję, gdy w zapiskach Kiplinga z Afganistanu przeczytałem następujące zdanie: „Rosjanie są do nas niepodobni. Wkładają koszule na spodnie”.

Niemniej szok faktycznie okazał się umiarkowany. O tym, że infrastruktura jest w ruinie, że ulice i kamienice cuchną i rozpadają się, życie codzienne jest szalonym montażem niewygód i obrzydliwości, o tym wszystkim wiedziałem, bo o informację, coraz lepszą i dokładniejszą, łatwiej niż kiedykolwiek przodem. Ale o tym, że tresura strachu może być odwrócona, o tym, że ludzie nie będą bali się mówić, rozważać, planować, całkowicie lekceważyć jeszcze bynajmniej nie rozwiązanych i wcale skutecznie działających organizacji — o tym nie wiedziałem, o tym musiałem się przekonać, że tak powiem, na własne oczy i uszy. Wydaje mi się, że inteligencja w Petersburgu jest bardziej rzutka i samodzielna, podczas gdy inteligencja w Moskwie jak gdyby bardziej stawia na przemalowanie i prywatyzację imperialnych powiązań i instytucji, ale głowy bym za to wrażenie nie dał. Wydaje mi się, że ostatnią (tj. tę z 1 kwietnia 1991) podwyżkę cen udało się Rosjanom przeprowadzić tak, by uderzyć przede wszystkim w średnio zarabiających, a oszczędzić najuboższych i najbogatszych (tak przynajmniej wynika z danych statystycznych, opracowywanych w miarę rozsądnie przez moich znajomych z instytutu badawczego akademii nauk), ale nie wiem, czy w obliczu szarego i czarnego rynku dane wyjściowe co do wysokości oficjalnych zarobków cokolwiek mówią o poziomie życia i faktycznej strukturze wydatków na konsumpcję.

Połowę ostatniego dnia pobytu w Petersburgu przeznaczaliśmy na wyprawę do letniej rezydencji Piotra I — Peterhofu czyli Pietrodworca. Ponieważ mieszkaliśmy w hotelu nad Fontanką, więc ruszyliśmy na dworzec bałtycki, by kolejką podmiejską dojechać do rezydencji carów, przy okazji poznając warunki podróży ludności dojeżdżającej do pracy. Na dworcu kupiliśmy bilety, spojrzeliśmy na rozkład jazdy i popędziliśmy na peron. Perony były puste, mimo że właśnie miał odchodzić kolejny pociąg. Zdziwieni zaczęliśmy pytać tłum oczekujących. Osadzono nas — spokojnie, jak będą mieli odjechać, to zapowiedzą. My już godzinę czekamy i nic, a wy ledwo wpadliście na dworzec i zaraz byście wszystko chcieli wiedzieć... Wizyta u zawiadowcy stacji wyjaśniła nam, że z powodu wymiany szyn do południa żaden pociąg do Peterhofu nie pojedzie. Zapytany dlaczego tego nie ogłoszono, zawiadowca wzruszył ramionami. Jemu nie przyszło do głowy by zawiadomić, a ludziom — by zapytać.

Pojechaliśmy metrem na Newski i już mieliśmy przejść obok Ermitażu na wodolot gdy zobaczyliśmy zaparkowany na Griboje-

dowa autobus reklamujący przez tubę swoje usługi — wycieczkę do Peterhofu. Ponieważ wodolotem i tak chcieliśmy wrócić, wsiedliśmy. Kiedy mijaliśmy wielki betonowy bunkier, wystawiony sobie przez deputowanych i funkcjonariuszy partyjnych Petersburga na nowym przedmieściu, nasz przewodnik ironicznie zauważył, że co prawda bunkier jest wielki i tak ustawiony, by zewsząd go było widać, ale Sobczak właśnie się stara, by zmniejszyć ilość jego lokatorów, więc może arogancja podkreślona architekturą już długo nie pociągnie. Obecni w autobusie Rosjanie roześmieli się i zaczęli przewodnikowi bić brawo. Przypuszczam, że będą głosowali na Sobczaka i przeciw komunistom, jeżeli będą mieli taką możliwość.

Dobrze by było, gdyby mieli. Choć nie wiadomo, czy z niej skorzystają. Być może na miejscu będzie tu komentarz co do winy i niewinności. W trakcie wymienionej wyżej kolacji w prywatnym domu w Moskwie siedziałem przy stole obok leciwej babci, z której dorosłe wnuki pokpiwały sobie, że jest stalinistką. Babcia broniła się umiarkowanie. Jej główny argument był następujący: pod koniec lat trzydziestych musiała późnymi nocami wracać do domu odprowadziwszy gdzieś narzeczonego. Szła przez puste ulice, ciemne parki, gdziekolwiek by to nie było, ufna i bez lęku. A teraz bandytyzm, złodziejstwo, wszyscy biegają tylko za pieniądzem, w sklepach niczego nie ma i tak dalej. Nie było lepiej? Wnuki napadały na babcię za to, że nie dostrzega tła beztrojskich nocnych spacerów — milionów trupów na Ukrainie, tysiący codziennych aresztowań i egzekucji, bezprawia, obozów koncentracyjnych, kłamstw propagandy i gorączkowej aktywności organów. Babcia uśmiechała się pobłaźliwie — nie musiała wówczas o tym wiedzieć, a poza tym była młoda i tyle. „Myśmy nic o tym nie wiedzieli” plus naturalna idealizacja własnej młodości. Czy postawa babci okaże się silniejsza niż dążenie do normalniejszego życia, bardziej demokratycznego i ludzkiego systemu? Czy może autokratyzm pokaże nam nowe, „postkomunistyczne” oblicze? Przypomniał mi się tytuł wywiadu z rosyjskim generałem, drukowany w jednym z tygodników (jedynym, który swój tytuł drukuje alfabetem łacińskim — *Metropol-Continent*): „Armia radziecka nigdy nie zrezygnuje z ideologii komunistycznej i będzie jej zawsze bronić w interesie całego Związku Radzieckiego”. Co prawda z wywiadu wynikało, że wojsku coraz trudniej opierać się żądaniom redukcji stanu liczebnego, skrócenia czasu służby i regionalizacji armii (rekrutem wielu republik prawo zabrania służby poza granicami własnej republiki a wysoki procent samobójstw wśród żołnierzy służby zasadniczej, służących na terenie byłej NRD a rekrutujących się spośród mniejszości, świadczy o stosunkach w wojsku), że generał

uważa, iż politycy ich zdradzili „oddając” Niemcy bez ich jedno-  
czesnej finlandyzacji, ale zarazem przebijają tam świadomość, że  
jeśli zajdzie potrzeba, to właśnie wojsko będzie jedyną jeszcze  
działającą organizacją i jedynym sprawnym narzędziem realizacji  
interesów Rosjan w Europie i na świecie. Czy Rosjanie też tak  
sądzą? Oddziały żołnierzy pędzące na Plac Czerwony w Moskwie  
w ramach niedzielnej przepustki zostały przez nas wykorzystane  
do pozowania do zdjęć i wypożyczania czapek i kurtek mundu-  
rowych — ale czy te same oddziały nie mogą strzelać do tłumu  
na Uniwermagu? Tym bardziej, że choć w telewizji pojawiła się  
reklama, poziom informacji jest nadal skandaliczny. W jednym z  
dzienników lokalnych w Petersburgu jedynie dwie wiadomości  
międzynarodowe dotyczyły okoliczności, że 11 rosyjskich emi-  
grantów do Izraela popełniło samobójstwo i że turyści, którzy  
jeździli latem do Grecji przez Jugosławię w tym roku postanowili  
z tej trasy zrezygnować... A co do publicystyki: w moskiewskiej  
telewizji obejrzałem program o kredytach z Zachodu. Gruby eks-  
pert z KC spierał się z chudym dyrektorem departamentu z  
ministerstwa finansów na temat obcego kapitału. Dyrektor mówił,  
że bez niego ani rusz, a ekspert, że nie trzeba, bo Rosja stanie  
się kolonią. Przez pół godziny wymyślali sobie od twardogłowych  
i zdrajców, a potem dziennikarz im grzecznie podziękował i  
powiedział, że może jeszcze wróci do tego tematu. Może.

Rotterdam, 15 lipca 1991

*Sławomir MAGALA*

## Z DZIAŁALNOŚCI SPNP

Stowarzyszenie na Rzecz Porozumienia Niemiecko-Polskiego (tow. zarejes-  
trowane) powstało w połowie września 1990 r. Posiada Oddziały w Monachium  
i w Norymberdze.

Sprawozdanie z działalności do lipca 1991:

— Festiwal Filmów Polskich w Monachium i w Norymberdze. Impreza  
trwała przez miesiąc, w tym czasie przedstawiono publiczności 9 nowych i naj-  
nowszych polskich filmów z niemieckimi napisami, odbyło się spotkanie z reży-  
serem Januszem Kijowskim a w obu miastach ukazały się (w języku niemiec-  
kim) plakaty i broszury informujące o polskiej kinematografii. Organizacja  
Festiwalu była możliwa dzięki pomocy Wydziału Kultury miasta Monachium i  
Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w RFN.

— Spotkanie z poetką, Ewą Lipską (wspólnie z monachijskim antykwaria-  
tem i księgarnią „Lyrik Kabinett”). Wiersze czytała Autorka (po polsku) i

znana niemiecka aktorka Helga Roloff (po niemiecku, głównie w tłumaczeniach  
Dedeciusa).

— Odczyt Tadeusza Nowakowskiego (w Norymberdze) o stosunkach kultu-  
ralnych polsko-niemieckich (w języku niemieckim) połączone z otwarciem lokalu  
Stowarzyszenia.

— Spotkanie z senatorem i pisarzem Andrzejem Szczypiorskim (wspólnie z  
Klubem im. J. Mioszowskiego) autorem m.in. best-sellera „Początek”, znawcy  
problematyki niemieckiej.

— Spotkanie z ambasadorem RP w Kolonii, Januszem Reiterem, na temat  
stosunków polsko-niemieckich. Ambasador Reiter dokonał oficjalnego otwarcia  
SPNP.

— Rzecznik SPNP Janusz Marchwiński reprezentował stronę polską na  
Forum dyskusyjnym pt. „Das neue Europa und sein Friede” zorganizowanym  
przez „Sicherung des Friedens e.V.”

— Przedstawiciele SPNP uczestniczyli w uroczystości wręczenia Niemiec-  
kiej Nagrody Kulturalnej za rok 1991, którą otrzymał projekt ekologiczny  
„niemiecko-polski Park Narodowy — Dolina Dolnej Odry”.

— Stowarzyszenie współpracuje z „Akademie für Tierschutz” w Neubiberg  
(Akademia jest placówką Deutscher Tierschutzbund e.V.) w sprawie udostępnie-  
nia polskim instytutom naukowym Banku Danych, który w wielu przypadkach  
eliminuje doświadczenia na żywych zwierzętach. SPNP pośredniczy w przekazy-  
waniu tych informacji do Polski.

— Stowarzyszenie zorganizowało dyżury Konsulatu RP dla mieszkańców  
Monachium i całej Bawarii. Odbywają się one w Haus der Begegnung i moż-  
liwiają zarówno obywatelom polskim jak niemieckim załatwienie na miejscu  
ważnych spraw wizowych, paszportowych itp.

— Na zaproszenie Stowarzyszenia i Klubu im. J. Mioszowskiego w  
czerwcu 1991 odbył się wieczór autorski Wiktora Woroszyńskiego z Warszawy.

— SPNP (wspólnie z Klubem) w połowie lipca zorganizowało spotkanie z  
Adamem Michnikiem. Spotkanie odbyło się na Wolnym Uniwersytecie Ukraiń-  
skim w Monachium.

Wkrótce: spotkanie z przedstawicielem Min. Spraw Wewnętrznych na  
temat: Polityka rządu Bawarii wobec Polaków w Niemczech po podpisaniu  
Traktatu o Dobrym Sąsiedztwie (Haus der Begegnung).

Obecnie SPNP pracuje nad wprowadzeniem (po raz pierwszy w historii  
mniejszości polskiej w RFN) naszych przedstawicieli do Rady d/s Cudzoziem-  
ców przy Magistracie miasta Monachium. Wybory będą 10 listopada br.

się transkrypcji angielskiej słów i nazwisk pisanych w oryginale w jidisz.

Dzieło Singera, składające się z ok. dziesięciu powieści, tyłuż zbiorów opowiadań i tuzina książek dla dzieci, jest pomnikiem zarówno świata, który uległ zagładzie, jak i języka, którego pozycja jest krucha i przyszłość niepewna. Świat Singera, to przede wszystkim społeczność żydowska na terenie Polski od czasów Wazów (w jego powieściach historycznych), aż po drugą wojnę — w utworach, które można by nazwać „współczesnymi”, choć często sięgają jeszcze w wiek XIX-ty. Jego język — to jidisz w tej formie, w jakiej używany był w Polsce wśród inteligencji żydowskiej w latach 20-tych i 30-tych naszego stulecia, ale zawierający także różne formy jego gwar środowiskowych. Z racji tej właśnie specyfiki i „ulotności” języka, w którym pisał, sam Singer nastawał, by jego utwory tłumaczono na inne języki nie z jidisz, a z przekładów angielskich, w których stale czynnie uczestniczył, dopóki obezwładniająca choroba Alzheimera nie zamknęła przed nim jakichkolwiek możliwości pracy umysłowej. Tak więc spuścizna po nim ma dwa wymiary: „węższy”, językowy, dostępny tylko tym, coraz mniej licznym czytelnikom, którzy władają biegle językiem jidisz — i „szerszy”, zakorzeniony w poddającej się tłumaczeniu dziedzinie myśli, koncepcji i obrazu. Literacka nagroda Nobla w 1978 r. stała się widomym znakiem uznania wagi i uniwersalności owego „szerszego” aspektu twórczości Singera.

Isaac Singer urodził się 14 lipca 1904 w Leoncinie (tak podaje monografia pióra E. Alexander'a w *Twayne's Series*, 1980; prasa francuska we wspomnieniach pośmiertnych wymienia Radzymin), w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej. Rodzice pisarza reprezentowali dwie odmiany tej ortodoksji: ojciec-chasyd, czyli wyznawca pietystycznego, „romantycznego” i tradycjonalistycznego (by nie rzec: fundamentalistycznego) odłamu mozaizmu, był tak nieprzejednany w swych przekonaniach, że odmówił był wszelkich starań o urzędową nominację przez rosyjskiego gubernatora na stanowisko rabina i w konsekwencji był tylko rabinem „nieoficjalnym”, a więc ubogim i niejako marginalnym; matka Isaaca — również z rodziny o tradycji rabinicznej — reprezentowała odłam racjonalistyczny, starający się połączyć ortodoksję z „otwarcie” na świat typu post-Oświeceniowego. W kilka lat po urodzeniu się Isaaca rodzina Singerów osiadła w Warszawie, ale ojciec — dla którego cały świat był właściwie „trefny” — trzymał się i tam na uboczu głównego nurtu spraw życiowych, co przyczyniło się od pewnej izolacji całego domu. Isaac, od dzieciństwa wychowany w Piśmie, poddany więc był nieomal od kolebki rozbieżnym tendencjom charakteryzującym ówczesne środowisko żydowskie. Nie mówiąc już o rozbież-

## Kronika kulturalna

### Isaac Bashevis Singer, 1904-1991

24 lipca zmarł na Florydzie najwybitniejszy współczesny pisarz żydowski, Isaac Singer, urodzony w 1904 r. w Polsce i mieszkający od 1935 r. w Stanach Zjednoczonych. Jego pseudonim literacki urobiony od imienia matki (Betszewa/Bathsheva) służył mu od początku amerykańskiej kariery literackiej jako zastępcze nazwisko, którym podpisywał wszystkie swoje poważniejsze utwory, aby uniknąć nieporozumień, jako że jego starszy brat Israel Joshua (zm. 1944) — również pisarz — już przed nim sygnował swą twórczość jako Singer. Rzeczy bardziej ulotne — humoreski, szkice, noty dziennikarskie zamieszczane w nowojorskim dzienniku *Forverts* („Naprzód” w języku jidisz) — Isaac Singer podpisywał pseudonimem 'Isaac Warshofsky' (= Warszawski).

Tu od razu wtrąć uwagę techniczno-ortograficzną. Singer pisał wyłącznie w języku jidisz, tzn. średniowiecznej formie jednego z dialektów górnioniemieckich (przypuszczalnie nadreńskich), która stanowiła rodzaj *lingua franca* osiedlających się w Europie środkowej Żydów. Na tych terenach język ten („*jüdisch*+*deutsch*”) wchłonął mnóstwo elementów leksykalnych słowiańskich i hebrajskich, a kiedy zaczęto go zapisywać ok. początku XVIII-go w., użyto do tego naturalnie alfabetu hebrajskiego, w którym krótkie samogłoski nie są notowane. Ponieważ jidisz rozpowszechnił się na bardzo dużym obszarze, wyłoniły się w nim dialekty i lokalne gwary, tak że ustalenie dokładnej transkrypcji fonetycznej na inne języki (w wypadku tego artykułu: polski) jest problemem dla specjalistów. Ponieważ zaś twórczość Singera rozpowszechniła się głównie poprzez tłumaczenia angielskie i w tym języku też powstały najważniejsze prace krytyczne na jej temat, wydaje mi się wskazane trzymać

nościach chasydzko-„racjonalistycznych” w dziedzinie religijnej, istniała bowiem jeszcze cała gama żydowskiej „świeckości” pod postacią syjonizmu, socjalizmu i różnego typu teorii asymilacyjnych. Przewodnikiem w tej drugiej dziedzinie był dla Isaaca jego o 11 lat starszy brat Israel, który podsuwał mu różne „trefne” lektury (m.in. Dostojewskiego w tłumaczeniu na jidisz), a później — już w latach 20-tych — wprowadził go w środowisko intelektualno-artystyczne. Dodajmy do tego jeszcze czteroletni pobyt Isaaca w Biłgoraju w latach 1917-23, spowodowany przez okoliczności finansowo-rodzinne, a który był dla niego czymś w rodzaju podróży w przeszłość żydowską, jako że tamtejsze stosunki i obyczaje niewiele zmieniły się od czasów przedrozbiorowych. W 1923 r. 19-toletni przyszły noblista podejmuje decyzję co do swej przyszłości: postanawia zrezygnować z kariery nie tylko rabinicznej, ale i nauczycielskiej (przez pewien czas był w Biłgoraju wykładowcą hebrajskiego) i poświęcić się literaturze świeckiej w języku jidisz. Osiedla się w Warszawie, pracuje jako korektor w żydowskim piśmie *Literarisze Bletter*, tłumaczy na jidisz książki Hamsuna i Thomasa Manna, a w 1925 publikuje swoje pierwsze opowiadanie. W 1935 r. ukazuje się jego pierwsza powieść „Szatan w Goraju”, stanowiąca jeden z filarów singrowskiego „kanonu”. Następne utwory powstają już w Ameryce — bowiem w tymże 1935 r. na zaproszenie mieszkającego już od dawna w Nowym Jorku starszego brata, Isaac przenosi się tam i podejmuje pracę we wspomnianym już *Naprzodzie*, w którym będzie publikował przez następnych czterdzieści lat.

Opis dzieła Singera jest trudny nie tylko z racji jego rozmiarów, ale i dlatego, że większość tych utworów ukazywała się najpierw w odcinkach w języku jidisz, a później dopiero w formie książkowej w tłumaczeniu angielskim: do dziś trudno ustalić, czy łamy *Forverts* nie kryją jeszcze jakichś nietłumaczonych rzeczy (tak na przykład dopiero na początku tego roku ukazała się nieznana dotąd powieść Singera pt. „Męty” (*Scum*). Wymienię więc tu tylko kilka najważniejszych i najbardziej znanych powieści Singera.

Po wspomnianym już „Szatanie z Goraju” (tł. ang. *Satan in Goray*, NY, 1955) nastąpiła długoletnia przerwa w twórczości pisarza, spowodowana swoistym „szokiem amerykańskim” i wątpliwościami, czy twórczość w zamierającym — jak się wówczas zdawało — języku ma jeszcze w ogóle sens. Impuls pisarski był jednak silniejszy: Singer czuł, że ma wiele do powiedzenia, a powiedzieć to mógł tylko w języku, który stanowił jego naturalne *medium*, czyli w jidisz. Paradoksalnie przyczynił się do tego fakt, że jidisz w Europie nie „zamarł” a został zamordowany. Holokaust, zagłada milionów, zagłada świata dzieciństwa i młodości Singera — to wszystko stało się nowym

i chyba najważniejszym wymiarem jego twórczości: nie tylko jako nakaz utrwalenia tego, czego już nie było, ale jako nowy tragiczny horyzont, na którym cała historia żydowska zarysowała mu się jeszcze wyraźniej i ostrzej. Piszę „nowy”, ponieważ także przedwojenne rzeczy Singera mają charakter dramatyczny, chwilami tragiczny. „Szatan z Goraju” jest historią żydowskiego *shtetl'u* w XVII w., po straszliwych pogromach dokonanych przez Kozaków w latach 1648-49 i w momencie, kiedy cały świat żydowski poruszony (i podzielony) został wystąpieniem na Bliskim Wschodzie pseudo-Mesjasza imieniem Sabbetai Zevi. Nadziei na „zbawienie” przezeń żydowskich społeczności żyjących od wieków w diasporze nie zabiła nawet apostazja samozwańca (w 1666 r. Zevi przeszedł na islam); dla wielu Żydów ówczesnych fakt ten stanowił potwierdzenie ponurej doktryny wszystkich uciskanych „*im gorzej, tym lepiej*” — w tym wypadku: „*tym bliżej końca świata*”... Osią wspomnianej powieści Singera jest konflikt pomiędzy tradycjonalizmem żydowskim — reprezentowanym przez rabiego Benisza, który usiłuje odtworzyć zniszczoną przez pogromy gminę w Goraju — a „nowatorami”, czyli zwolennikami Zevie’go i kabalistami różnej proweniencji. Klęska Benisza, postępujące „opętanie” społeczności gorajskiej stanowią dla Singera świadectwo kryzysu całego niejako judaizmu, rozdzieranego przez konflikt pomiędzy „esencją” — czyli wypracowanym przez tysiąclecia Prawem i modłą życia, a „egzystencją” — czyli stale zmieniającym się światem, okrutną historią, czy choćby wymaganiami kompromisu ze społeczeństwem *goyim*.

To poczucie wiecznego kryzysu, nieprzystawalności ideału i świata, nawet niemożności sprecyzowania, w którym miejscu dokładnie przebiegają pęknięcia pomiędzy „dobrym, prawdziwym Żydem”, a „rzeczywistym, normalnym Żydem” — stanowi w moim odczuciu esencję twórczości Isaaca Singera. Irzykowski stworzył kiedyś aforyzm: *życie polega na tym, że nie można żyć*; Singer mógłby powiedzieć: „*być Żydem polega na tym, że nie wiadomo jak nim być*”. Przepuszczalnie najlepiej widać to w wielkiego formatu (nie tylko w sensie długości) drugiej powieści pt. „Rodzina Moskatów” (*The family Moskat*, NY 1950; oryg. w odcinkach 1945-48). Jest to typowa dla okresu jeszcze międzywojennego „saga rodzinna”, usytuowana w Warszawie pomiędzy początkiem stulecia a rokiem 1939-ym i ukazująca losy czterech generacji rozgałęzionej rodziny żydowskiej. Powieść ta stanowi połączenie realistycznego opisu i swoistej alegorii, ponieważ jej bohaterowie ilustrują wszystkie możliwe nastawienia wobec dylematu „*jak/czy można/należy być Żydem?*”. To wieloznaczne — także ortograficznie — pytanie jest w istocie problemem „zbawienia” w narzuconej przez historię formie istnienia,

a więc w istocie pytaniem o Mesjasza. Słynne zakończenie tej powieści: *śmierć jest Mesjaszem. Taka jest rzeczywista prawda*, zdaje się wykraczać nawet poza wojenny Holocaust i wyrażać tragizm istnienia w odczuciu Singera-człowieka, dla którego „żydowskość” była w istocie esencją własnej osobowości mimo jego dość notorycznego „libertynizmu” i „światowości”.

Wymienię jeszcze kilka następnych powieści: „Sztukmistrz z Lublina” (*The Magician of Lublin*, NY 1960); „Niewolnik” (*The Slave*, NY 1962); „Dwór” (*The Manor*, NY 1967), „Szosza” (*Shosha*, NY 1978); większość z nich ma charakter historyczny, ale ich „antykwaryczność” zawsze podporządkowana jest próbie wypuklenia napięć inherentnych w samej kondycji *homo mosaicus*. Tylko ostatnia z nich — „Szosza” — dzieje się współcześnie w Stanach Zjednoczonych; jest to historia Żyda ocalonego z hitlerowskiej zagłady przez „aryjską” służącą jego rodziców — po wojnie ożenił się z nią i sprowadził od Ameryki, ale nie potrafi wytrwać w tej stereotypowo chwalebnej sytuacji i prowadzi romanse „na boku”. Jest to typowo singerowski bohater i typowo singerowski „konflikt”, podkreślony jeszcze faktem, że tytułowa „Szosza” została przedstawiona jako istota wręcz anielska, która wbrew bojkotowi środowiska uznała mozaizm za najidealniejszą formę życia duchowego i przygotowuje się do konwersji.

Pominałem w tym omówieniu twórczość nowelistyczną Singera — a także „dziecinną” — nie z lekceważenia dla tych dziedzin, tylko dlatego, iż wydaje się, że jego powieści lepiej oddają ów dramatyczny, czy wręcz tragiczny ośrodek jego pisarstwa, który starałem się wypuklić. W jego opowiadaniach lepiej z kolei dochodzi do głosu zmysł obserwacji, zamiłowanie do szczegółów i poczucie humoru. Singer był pisarzem wielostronnym i — przymierzając go do literatury rosyjskiej, która niewątpliwie ukształtowała jego twórczość — dysponował diapazorem dającym się usytuować pomiędzy Czechowem a Dostojewskim. Jest na pewno wielkim pisarzem literatury powstałej w języku jidisz.

Jak wielki jest w skali światowej? Niehagiograficzna odpowiedź na to pytanie brzmieć musi: jego wielkość zależy od tego, za jak uniwersalną uzna się tematykę i problematykę ściśle żydowską. Jak już powiedziałem kilkakrotnie, żywotnym problemem Singera był konflikt pomiędzy „anachronizmem”, jaki dlań stanowiła ortodoksja, a „alienacją”, jakiej obawiał się i doświadczał poza nią. Konflikt ten stanowił siłę napędową jego twórczości. Na ile jego czytelnicy nie-Żydzi potrafią się z jego bohaterami zidentyfikować, jest rzeczą trudną do ustalenia: dla jednych ów problem Singera może stanowić archetyp wszelkiego kryzysu tożsamości, dla innych — być tylko sprawą „lokalną”,

tak jak literatura „katolicka” czy „patriotyczna” (typu np. irlandzkiego czy polskiego). Dla jeszcze innych „żydocentryzm” tej twórczości może stać się nawet elementem odstręczającym, gdyż — jak zauważył kiedyś George Orwell, na pewno nie antysemita — *antysemityzm jest neurozą, ale żeby zrozumieć jej źródła wystarczy przeczytać Stary Testament*.

Dla czytelników polskich twórczość Singera jest trudnym orzechem do zgryzienia i wymaga sporej szerokości spojrzenia, jako że obraz Polaków w niej jest zdecydowanie negatywny: z nielicznymi wyjątkami stanowią oni mało kulturalne zbiorowisko antysemitów, snobów i arogantów. Być może jest to opinia zasłużona, a w każdym razie szczerza (Singer nie był też zbyt czuły wobec Żydów amerykańskich, wśród których spędził drugą połowę życia), niemniej można przypuszczać, że poniektórzy Polacy będą czuli się przy lekturze np. „Rodziny Moskatów” tak jak Ukraińcy czytający „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza: co najmniej nieswojo... Ponieważ jednak nadmiar „swojskości” nie sprzyja horyzontom umysłowym, należy mieć nadzieję, że twórczość Singera znajdzie należne jej — wysokie — miejsce także i w polskim odbiorze czytelnicznym.

M. BRONSKI

## Nomenklaturowy mutant

Znany: spółki nomenklaturowe, spółdzielnie nomenklaturowe, redakcje nomenklaturowe, przedsiębiorstwa nomenklaturowe, kluby nomenklaturowe.

Nomenklaturowa Fundacja Kulturalna stanowi nowość.

W Monachium odbywała się z początkiem lipca prawie dwutygodniowa, wielka impreza kulturalna pod nazwą „Dialog z Polską”. Pokazano wybitne spektakle teatralne b. dobrze dobrane („Hamlet” Wajdy, Teatr Kantora, Gardzienice, Teatr Studio i mój ulubieniec, czyli warszawski Teatr Video — Poza Jolanty Lothe i Petera Lachmana). Odbywały się dyskusje (Wajda — Schloendorff — Michnik — Stuermer — Międzyrzecki — Lipska — Szaruga), seanse filmowe, pokazy video, seminaria itd. i myślę, że wyniknęło z tego wiele pożytku. Monachium znajdowało się na indeksie ludowej władzy częś-

ciowo z powodu rządów CSU a częściowo dlatego, że mieści się tam pewna wroga radiostacja. Wymiana kulturalna sprawowała się głównie do przysyłania wiejskich zespołów tanecznych, by pokazały Bawarczykom jak się tańczy kujawiaka. Po raz pierwszy między 3 a 14 lipca 1991 mieliśmy do czynienia z prezentacją polskiej kultury tak wysokiego, profesjonalnego lotu.

Sponsorzy i organizatorzy w Republice Federalnej (przede wszystkim Fundacja Zakładów BMW „Spielmotor München”, a także monachijski Referat Kultury i inni) podeszli do „Dialogu z Polską” z serdecznością i fachowo. Kierownicy Fundacji rozpoczęli przygotowania w 1988 roku i byli ponad 12 razy w Polsce, żeby zdecydować, jakie zespoły zapraszają, uzgodnić terminy itp. Do tej pory wszystko pięknie.

Jako krajowy partner „Dialogu z Polską” występowała Fundacja Kultury Polskiej z Warszawy. Już nazwa jest szalenie myląca. W Warszawie istnieją mianowicie DWIE Fundacje o podobnej nazwie. Jedna — to „Fundacja Kultury Polskiej”, która powstała przy końcu 1987 roku. Druga — to „Fundacja Kultury” założona przez Izabelę Cywińską w ramach Ministerstwa Kultury i Sztuki. Bardzo nieszczęśliwy to pomysł, by istniały DWIE fundacje o podobnym profilu i o tak podobnej nazwie! Niemiecy partnerzy monachijskiego „Dialogu z Polską” oczywiście nie byli w stanie odróżnić jednej od drugiej i niektórzy byli przekonani, że utrzymują kontakt z Fundacją założoną przez panią Minister Kultury w demokratycznym rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Sprzyjała temu propaganda, jaką rozwijała wokół siebie ta druga Fundacja Kultury Polskiej, ta z końca 1987 r.

Na konferencji prasowej z dostarczonej dziennikarzom informacji dowiedziałam się, że:

— Do momentu zmian politycznych w Polsce w 1989 r. wielu polskich wybitnych artystów żyło na emigracji. Z tego powodu przy końcu 1987 r. powstała Fundacja Kultury Polskiej. Chodziło o to, by ich integrować oraz propagować ich twórczość. (Prezes T. Polak powiedział zaraz po utworzeniu Fundacji: „W niektórych krajach jedynymi elementami Polski, jakie są tam znane, to wódka wyborowa i Boniek” — warszawska „Kultura” ze stycznia 1988).

— Fundacja ta powstała jako organizacja całkowicie niezależna od władzy. W roku 1987 utworzyło ją ponad 200 wybitnych polskich naukowców i artystów, także z emigracji.

— Ci inicjatorzy zapewnili Fundacji pierwszy impuls finansowy. Później poparli ją przedsiębiorcy prywatni i państwowi.

— Fundacja opiekuje się obecnie polskimi historycznymi obiektami i budynkami (np. Biblioteką Polską w Paryżu), tro-

szczy się o utrzymanie historycznych budowli i miejsc (Cmentarz na Rossie, Cmentarz Łyczakowski), finansuje przekłady z literatury polskiej, organizuje wystawy i występy polskich twórców — zarówno tych w kraju jak na emigracji, udziela stypendiów młodym artystom, naukowcom, filmowcom i muzykom, rozdziela nagrody emigracyjnym księgarzom, promuje polską kulturę na Zachodzie.

Zatelefonowałam do Biblioteki Polskiej w Paryżu. Odpowiedziano mi, że o „opiece” ze strony Fundacji utworzonej w 1987 roku w „Polsce Ludowej” nie ma oczywiście mowy. Biblioteką opiekuje się głównie Fundacja Lanckorońskich.

Potem zapytałam kilku wybitnych twórców emigracyjnych, czy poczuli na sobie opiekuńcze ramię Fundacji Kultury Polskiej z Warszawy. Nie wiedzieli, że taka instytucja istnieje.

Sprawdziłam, jak to jest z tymi nagrodami dla księgarzy i wydawców na emigracji. Okazało się, że ktoś — ni z tego ni z owego — przysłał kiedyś dyplom z Warszawy. Pieniądzy rzecz jasna nie przysłało.

Wtedy zainteresowałam się Listą Członków-Założycieli Fundacji Kultury Polskiej.

Na konferencjach prasowych i w wypowiedziach przedstawicieli Fundacji obecnych w Monachium powtarzała się formuła: „Mamy 214 Członków-Założycieli, poczynając od światowej sławy plastyczki Magdaleny Abakanowicz a kończąc na światowej sławy śpiewaczce, Teresie Żyliš Gara”.

Ale CO właściwie znajduje się POMIĘDZY literami „A” i „Ż”?

Okazało się, że Lista Członków-Założycieli nie została przedstawiona monachijskiej publiczności ani prasie. Także skład Zarządu nie został ujawniony. Niemieckim gospodarzom to zresztą nic nie przeszkadzało, bo i tak z trudem wymawiają polskie nazwiska.

Po pewnych staraniach (dziennikarska tajemnica!) dotarłam do tych materiałów.

Oto jakie nazwiska znalazłam na Liście Członków-Założycieli Fundacji Kultury Polskiej utworzonej w grudniu 1987 r.:

Jan Dobraczyński (pisarz),

Ryszard Frelek (profesor),

Henryk Jabłoński (historyk, profesor),

Józef Klasa (dyplomata),

Aleksander Krawczuk (historyk, pisarz),

Hieronim Kubiak (socjolog, profesor),

Tadeusz Myślik (dziennikarz, publicysta),

Marian Orzechowski (historyk, politolog),

Janusz Roszkowski (dziennikarz, publicysta),

Wojciech Siemion (aktor),  
Henryk Szletyński (aktor, dyrektor teatralny, krytyk),  
Andrzej Wasilewski (krytyk literacki, wydawca),  
Ryszard Wojna (publicysta),  
Wojciech Żukrowski (pisarz),  
Zdzisław Żygulski (historyk sztuki, profesor),  
i inni...

Ciekawe, że na Liście całkowicie pominięto wysokie funkcje Członków-Założycieli. Nie tytułuje się „ministrami kultury” ani Zdzisława Żygulskiego ani Aleksandra Krawczuka, Marian Orzechowski występuje jako „politolog” (a nie np. jako były przewodniczący Klubu Poselskiego PZPR), Henryk Jabłoński nie jest b. Przewodniczącym Rady Państwa tylko „historykiem”, Józef Klasa występuje jako „dyplomata” a nie jako Prezes Towarzystwa „Polonia”, Jan Dobraczyński nie korzysta ani ze stopnia generalskiego ani z prezesury organizacji PRON. Wojciech Siemion jest „aktorem” a nie posłem na sejm PRL itp. itd. Nikt się też nie chwali, że pośród Członków-Założycieli znajduje się przynajmniej trzech posiadaczy Orderu Budowniczego Polski Ludowej! Wyraźnie wzięła górę skromność i niechęć do tytułomanii. Oczywiście, nikt też nie wspomina, że min. Żygulski był tym, który w stanie wojennym rozwiązywał związki i stowarzyszenia twórcze, że Henryk Szletyński („aktor, dyrektor teatralny, krytyk”) zawiązywał rozłamową organizację aktorską czy też, że Wojciech Żukrowski stoi na czele ZLEPu...

Wyobrażam sobie zdziwienie polskiej emigracji na wieść, że nie pozbyliśmy się wcale Prezesa Towarzystwa „Polonia” p. Józefa Klasy („dyplomata”) i że nadal sprawuje on nad nami opiekę. Albo, że troszczą się o nas w dalszym ciągu panowie Ryszard Wojna („publicysta”) i Ryszard Frelek („profesor”).

Wśród Członków-Założycieli znajdują się też nazwiska autentycznych twórców (to nie znaczy: niezależnych!). Przemilczę je. Zapewne weszli do Fundacji nie orientując się wtedy w końcu 1987 roku, że miała ona stanowić nową formę parasola dla władzy.

O tym składzie pisała *Polityka* (2.01.88): „W spisie nazwisk zabrakło przedstawicieli środowisk słusznie czy niesłusznie uważanych za niezależne”. Tę ocenę powtórzył z troską tygodnik *Panorama* trzy miesiące później. Władze nie były zadowolone. W połowie 1988 r. postanowiono jakoś uwiarygodnić Fundację i wówczas to szeroko propagowano w prasie, że „dąży ona do skupienia wokół swego programu wybitnych twórców, artystów, ludzi nauki, działaczy kulturalnych w kraju i poza jej granicami”. Wkrótce ogłoszono dodatkową listę Członków-Założycieli, w tym kilka znanych nazwisk polskich twórców. Ale — postanowiliśmy o tym nie mówić...

### Po co powstała Fundacja?

W marcu 1988 r. *Trybuna Ludu* wysmiewa zarzuty, że Fundacja jest „impresą fasadową” i piórem Michała Misiornego tak przy tym wyjaśnia cel jej powołania: „...nie zawsze i wszędzie kontakt 'na rząd' jest najlepiej widziany, nie zawsze wygodny”.

No i rzeczywiście: nie wszędzie i nie zawsze ludzie chcieli rozmawiać z rządem PRL. Chodziło więc o to, by kontakty, szczególnie na Zachodzie, nawiązywała „niezależna (?) Fundacja” a nie skompromitowana władza. Poza tym pomysłodawcy mieli nadzieję, że uda im się skusić „na Fundację” środowiska emigracyjne (co się wszakże zupełnie nie powiodło).

### Jak powstała Fundacja? Kto wpadł na pomysł?

Wszystkie nici prowadzą do Narodowej Rady Kultury, którą powołano w stanie wojennym by wykazać, że twórcy już się nie dąsają i współpracują z władzą. Jednakże Rada była od pierwszej chwili uznana za ciało narzucone i ludzie nie chcieli mieć z nią nic wspólnego. W drugiej połowie 1987 r. postanowiono Radę wymienić. Czasy też już były inne. „Fundacja zrodziła się z ducha Narodowej Rady Kultury” — wyjaśnił otwarcie Przewodniczący Rady Fundacji (tygodnik *Panorama* 27.3.1988). Pierwsza grupa Członków-Założycieli to po prostu członkowie Narodowej Rady Kultury. Jej Przewodniczącym, prof. B. Suchodolski, sam formalnie zarejestrował Fundację.

### Najważniejsze jest pytanie o pieniądze

Bo: gdyby panowie Frelek, Dobraczyński, Jabłoński, Wojna, Klasa, Żukrowski, Krzysztof Teodor Toeplitz, Halina Auderska, prof. Władysław Markiewicz, prof. Adam Schaff i inni pewnego dnia złożyli swoje majątki i oddali je na cele pomocy kulturze polskiej, można byłoby jeszcze powiedzieć, że opłaca się tej kulturze, tak straszliwie pozbawionej pieniędzy, brać choćby nawet od diabła.

Jednakże Członkowie-Założyciele nie musieli wcale otwierać kieszeni.

Od samego początku budziło zdziwienie, że fundusze założycielski Fundacji jest tak mizerny podczas gdy zamiary tak gigantyczne. Na zebraniu założycielskim dysponowano kwotą zaledwie 200.000 złotych. „Wpisowe” wynosiło po 1000 złotych na głowę. „Symboliczne 1000 złotych” określał to w tygodniku

*Kultura* ze stycznia 1988 sekretarz generalny Narodowej Rady Kultury i zarazem członek Zarządu Fundacji, Rafał Skapski. „Zwracając się do ludzi, by stawali się Członkami-Założycielami nie mogliśmy od nich wymagać zbyt wygórowanych wkładów” — wyjaśnił delikatną sytuację.

Potem apelowano o składki do tzw. ogółu.

Także i składki były bardzo skromne. Okazuje się (*Trybuna Ludu* z 16.12.88) że w rok po powstaniu Fundacji wpłaty na jej konto w postaci gotówki lub darów rzeczowych wyniosły zaledwie 67 mln. złotych. Były to zresztą dary od instytucji lub przedsiębiorstw namówionych odgórnie do ofiarności, np. Toto Lotek dał 10 milionów. Za te pieniądze Fundacja miała — zgodnie z szumnymi zapowiedziami w prasie — remontować polskie zabytkowe obiekty w kraju i na świecie, rozdawać stypendia i nagrody, wydawać tłumaczenia autorów polskich, opiekować się Cmentarzem Łyczakowskim we Lwowie i Zamkiem Królewskim w stolicy, wybudować nową Bibliotekę Uniwersytecką w Warszawie, założyć komputerowy Bank Danych o wszystkich sukcesach polskich twórców, opracować i wydać w wielu językach broszury o obecności kulturalnej i naukowej Polaków „we wszystkich krajach i od zarania dziejów” (*Tygodnik Polski* 28.2.1988), opiekować się kulturą emigracyjną, organizować na Zachodzie promocję i pokazy polskiej sztuki współczesnej, założyć trzy filie (w Gdańsku i w Krakowie — prezes A. Krawczuk), stworzyć w Warszawie Instytut Kultury Polskiej (Dyrektor: zarazem Prezes Fundacji dr T. Polak) itp. itd.

Skąd pochodziły fundusze Fundacji? Jak się zdaje, tym źródłem była zaprzyjaźniona duchowo a powiązana personalnie Narodowa Rada Kultury, dysponująca Narodowym Funduszem Kultury, na który szły odpisy od wpłat pensji. Fundusz miał duże kwoty także dewizowe (w kwietniu 1988 prasa pisała o 32 mln. dolarów w posiadaniu Funduszu. Pochodziły one z eksportu usług filmowych i artystycznych, ze sprzedaży książek itp.). Także „Pagart” przekazywał Fundacji dewizowe prowizje z występów polskich artystów za granicą (poprzednio przekazywał je do Skarbu Państwa — informowała *Polityka* z 2.01.88) a Centrum Sztuki „Studio” oddawało jej swoje wypracowane wpływy z impresariatu (tamże). Fundacja miała oczywiście dotacje państwowe ale narzekała, że „mało” i trudno udźwignąć zadania. W roku 1988 *Kierunki* podawały, że Ministerstwo Kultury i Sztuki przekazało Fundacji 500 mln. złotych, ale że taką dotacją „niezbyt wiele się dokona” (5.02.1988). Na konto Fundacji Kultury Polskiej wpływały też zyski tzw. fundacji afiliowanych. Od stycznia 1989 przy darach dla Fundacji (do 10 procent zysku) przedsiębiorstwa uzyskiwały zwolnienie podatkowe.

Najważniejsze były przywileje, dzięki którym Fundacja

mogła prowadzić własną działalność gospodarczą. *Życie Warszawy* z 10 grudnia 1988 nazywało ją „Fundacją wielkich nadziei” zapowiadając powstanie 12 spółek turystycznych oraz poligraficzno-wydawniczych, które wzbogacą majątek Fundacji. *Trybuna Ludu* z 5 lutego 1989 podała, że Fundacja jest współdziałowcem Polskiego Domu Aukcyjnego i Polskiego Domu Wydawniczego. *Trybuna Ludu* wymienia następujące formy zarabiania przez Fundację pieniędzy („musimy mieć tyle przedsiębiorstw i spółek, by mieć na codzienną, kosztowną przecież działalność” — powiedział *Trybunie* prezes Zarządu Fundacji, dr Tomasz Polak): pośredniczenie i obrót prawami autorskimi, przetwórstwo papieru, produkcja opakowań i wyrobów z papieru i tworzyw sztucznych, zagospodarowanie surowców wtórnych, produkcja, naprawa i konserwacja maszyn, urządzeń i sprzętu technicznego, serwis techniczny łącznie z prowadzeniem składów konsygnacyjnych części zamiennych, eksport i import towarów i usług, prowadzenie przedstawicielstw firm zagranicznych i krajowych w Polsce i poza granicami, organizowanie imprez wystawienniczych i promocyjnych, grafika użytkowa i fotografia, wydawanie chodliwych książek.

Nikt nie wie na co poszły pieniądze z uprzywilejowanej działalności gospodarczej i ze źródeł państwowych. Czy Fundacja rozliczyła się przed opinią publiczną z zysków, uzyskiwanych dzięki specjalnemu statusowi? Z darów i dotacji? W rzeczywistości podstawy finansowe stworzył jej Skarb Państwa, czyli były to po prostu pieniądze społeczne. Interesujące byłoby też rozliczenie Fundacji z działalności konserwatorskiej i ratowania obiektów narodowej kultury, czym się tak chwali (Cmentarz Łyczakowski, konserwacja budynków itp.). Kto na tym zarobił i kto uzyskał kontrakty? Prezesem Fundacji od pierwszej chwili był (i jest) wieloletni naczelny dyrektor PP „Pracownie Konserwatorskie”, Tadeusz Polak.

Po upadku PRL Fundacja przycichła. Ani słówka w gazetach, żadnych wywiadów (przedtem było ich pełno), żadnego zwracania na siebie uwagi. Najlepiej niech zapomną o naszym istnieniu! Pielęgnowano natomiast kontakty zagraniczne. A przecież powstały one też dzięki niesprawiedliwemu uprzywilejowaniu Fundacji. W 1988 roku monachijscy sponsorzy chcąc przywieźć do Bawarii możliwie pełną prezentację polskiego teatru, filmu itp. mogli kontaktować się tylko z tymi, których wyznaczyły władze PRL. Pytanie: czy w połowie roku 1991, w zupełnie odmiennej sytuacji politycznej należało zostawić te kontakty nomenklaturowej Fundacji Kultury Polskiej? Dlaczego nie poinformowano sponsorów niemieckich (Min. Kultury i Sztuki powinno było uczynić to z urzędu), że Fundacja stanowi pozostałość „dawnych” czasów i nie ma prawa reprezentować ani twór-



ców krajowych ani emigracyjnych? Jest po prostu obrazą dla emigracji niepodległościowej, że pp. Frelek, Klasa, Dobraczyński czy Wojna w dalszym ciągu występują na Zachodzie w charakterze opiekunów kultury polskiej. *Nota bene*, Fundacja ma dalsze plany — tym razem w Hiszpanii. Będzie tam wspólnie z Fundacją Rielo promować polską kulturę i dopomagać twórcom emigracyjnym... Powoli staje się jasne, dlaczego wtedy, w 1987 r., za jedno z najważniejszych zadań uznano „sporządzenie możliwie pełnego spisu nazw i adresów zachodnich fundacji i sponsorów”.

Na ewentualne argumenty: ważne jest, że „Dialog z Polską” w Monachium zorganizowano i że się udał; nie ma znaczenie KTO go zorganizował odpowiadam: tak, tylko że możliwości tej organizacji posiadała Fundacja dzięki pieniądзом społecznym, niech się najpierw rozliczy z tych pieniędzy i odda je do Skarbu Państwa, niech odda lokale, wyposażenie (np. nowoczesniejsze komputery) i niezastuzone udziały w spółkach. Niech wyjaśni, ile z tych pieniędzy wpłynęło na konto samej Fundacji a ile na konta prywatne. I niech się rozliczy z tego, co zdziałała (mało zdziałała).

Potem dopiero może się wziąć pełną parą za opiekę nad kulturą polską.

Alina GRABOWSKA

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.  
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIAŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □  
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.  
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.  
KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.  
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ  
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili  
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej  
Wyspie Świętego Ludwika.

## Ci, co odeszli

### Juliusz Stroynowski — czynny i uczynny

Był maj 1969 roku, kiedy zebraliśmy się, kilkunastu najbliższych Julkowi osób, w mieszkaniu na Narbutta, żeby uczcić jego pięćdziesiąte urodziny. Nastrój daleki od beztroski, za oknem ciężkie powietrze Polski „moczarowskiej”, rozpasane rządy ubecji. Już wiedzieliśmy, że trzeba będzie wyjeżdżać, syn Juliusza, Rysiek, młody fizyk, bodajże już znajdował się w Szwajcarii, on sam, doktor Stroynowski, zaczął przerzucanie za granicę, dzięki swoim cudzoziemskim przyjacielom, co ważniejszych dokumentów osobistych, które emigrującym z Polski nasi władcy odbierali, ot tak, dla szuky. Był to okres dla Juliusza szczególnie wzmózonych nieprzyjemności (wyrażając się oględnie), nie uważał bowiem za stosowne kryć się ze swoimi przyjaźniami z Austriakami i Włochami, naturalnymi przecież u tłumacza literatury pięknej i dziennikarza specjalizującego się w problematyce Watykanu, Włoch i krajów niemieckojęzycznych.

Pół roku później czekałem na Juliusza na Gare du Nord w Paryżu. Przyjeżdżał z Kolonii. Już na peronie zaczął z ożywieniem mówić o swoich planach, były też tam jakieś projekty dotyczące mnie. Był pełen zapału i wizji, sypał nazwiskami i przedsięwzięciami, tak że ledwo za nim nadążałem. Taki właśnie był. Można to określić w skrócie: aktywność nieugasająca. Czynny — i uczynny. O tej uczynności może powiedzieć wielu Polaków o znanych skądinąd nazwiskach, którzy w jakiś sposób zahaczyli o dom na Mommsenstrasse. To nie były tylko miłe słowa czy dobre rady, których udzielać jest najłatwiej. Juliusz naprawdę coś załatwiał — i to do końca, nie porzucał spraw w połowie. Albo przynajmniej starał się załatwić.

Bo przecież nie zawsze się udawało. Przy takiej frenetycznej działalności, rozrzut między zamierzeniami a realizacją musiał oczywiście istnieć. Nieraz, przynajmniej, małodusznie wątpiłem w niektóre

projekty Juliusza Stroynowskiego. Czekają mnie niespodzianki. Zaczę może od rzeczy błahej, ale dla mnie istotnej. W roku 1972, w najtrudniejszym dla mnie okresie (są tacy, którzy wspominają go z nostalgią jako „złoty okres gierkowski”), kiedy jako „Korab” zamieszczałem opowiadania w *Kulturze*, Juliusz wpadł na pomysł, że załatwi mi stypendium Inter Nationes, nie ukrywając, że idzie o to, bym mógł zabrać pieniądze do domu i złapać trochę tchu. Nie bardzo wierzyłem w realność pomysłu. Ale oto w jego mieszkaniu spotykam jednorękiego, nobliwego pana, który okazał się dyrektorem właśnie Inter Nationes, a przybył specjalnie na spotkanie ze mną.

Wprawdzie Juliusz Stroynowski jeszcze będąc w kraju uchodził za czołowego znawcę Watykanu, ze zdumiewającą pamięcią do spraw i nazwisk (niezależnie od tego, że dysponował wzorową kartoteką, był arcymistrzem w gromadzeniu fiszek), nie mniej, kiedy w latach osiemdziesiątych wspominał o swoich osobistych kontaktach z Janem Pawłem II, puszczałem to jakoś mimo uszu. Rok temu, w mieszkaniu na Mommsenstrasse, obejrzałem dwa grube albumy kolorowych zdjęć z jego rozmów z Papieżem, w atmosferze niemal rodzinnej. Juliusz gościł u Papieża konsultując z nim wydanie w „Seewald Verlag” czterech książek Jana Pawła II („Primat des Geistes”, „Erziehung zur Liebe”, „Lubliner Vorlesungen”, „Von der Königswürde des Menschen” — wszystkie z adnotacją: Herausgegeben von Juliusz Stroynowski).

I jeszcze prawdziwie zadziwiający (dla mnie) dokument, który dał mi wtedy do przeczytania, początek listu redaktora *Kultury* z 5 czerwca 1990 roku: „Drogi Panie, może pan sobie przypomina, że głównie dzięki Pana energicznej akcji Wałęsa w swoim czasie otrzymał nagrodę Nobla”... Bo nie wyobrażamy sobie, że można otrzymać nagrodę, nawet najpoważniejszą, bez czyjejs konkretnej inspiracji, bez starań, często ukrytych w cieniu. Same zasługi laureata nie wystarczają. Potrzebny jest pomysł. I upór w doprowadzeniu sprawy do końca.

Poznałem Juliusza Stroynowskiego w 1950 roku, roku ponurym, zaczynała się właśnie „szczujność” (jak to wtedy nazywano), fingowane procesy. Juliusz wrócił właśnie z Rzymu, z placówki dyplomatycznej, którą zawdzięczał najprawdopodobniej działającym jeszcze po wojnie koneksjom pepesiackim: PPS-iacy roili się w jego rodzinie, on sam należał do PPS jeszcze przed wojną. Tylko że w owym roku 1950 PPS-u już nie było. Zaczęły się „kłopoty”. Julek kontynuował swoje rozliczne studia, brał się za tłumaczenia, pisywał pod rozmaitymi pseudonimami. Urodziła się Małgosia, mnie też urodziła się córka, zawiązała się przyjaźń, która przetrwała do końca jego dni. Dowiedziałem się od niego o jego działalności okupacyjnej, był wtedy taki jak zawsze, to znaczy bardzo czynny, najpierw w PLAN-ie, potem w PAL-u, miał świetne dokumenty, mówił biegle po niemiecku, w sam raz żeby zuchwale jeździć po broń aż do Berlina. Zadrzałem, kiedy Bierut w jednym z przemó-

wień „szczujnościowych” zaatakował PAL jako „organizację dywersyjną”. Julka wkrótce zaaresztowano, na pewien czas znikł mi z oczu. Z „odwilżą” wrócił do działalności dziennikarskiej, do studiów (historycznych, politologicznych, filozoficznych, religioznawczych, orientalistyki), do pracy przekładowej (dzieła Heimito von Doderera, Ericha Kästnera, eseje Tomasza Manna...).

W Kolonii jego kontakt z krajem oczywiście się nie urwał. Ani z przyjaciółmi. Formalnie wyrażało się to długo także w ten sposób, że regulowało się za niego składki w PEN-Clubie i Związku Literatów. Dzięki miłemu bałaganowi, który zmiękcza w tym kraju rządy despotyczne, emigrant Juliusz Stroynowski długo jeszcze figurował w spisie członków ZLP, a w krajowym PEN-Clubie chyba nigdy nie przestał być. Pośredniczyła w tym jego Matka, która została w Polsce i wysyłała mu paki książek, zaś my, jego przyjaciele, lataliśmy po księgarniach lub wyblągialiśmy je w wydawnictwach. Przesyłał długie spisy najrzadszych i najwymyślniejszych pozycji, nie tylko z historii, filozofii, socjologii i polityki, ale także z literatury pięknej. Z podziwem oglądałem te zbiory, ilekroć bywałem u niego w Kolonii, z podziwem, zazdrością i melancholią, bo przecież nie starczy ludzkiego życia na przeczytanie tych wszystkich cudów i to życia tak zagrożonego jak Julka.

Większość tych zbiorów jednak czemuś doraźnie służyła: Stroynowski z zapamiętaniem, niestrudzenie pracował nad dziełem swojego życia. Fiszki, które gromadził, rosły nie dla zabawy (choć elementu zabawy nie wolno wykluczać w niczyjej pasji). Juliusz pracował nad wielkim dykcjonarzem, informatorem o ludziach — stąd, z naszej części Europy. Nie przestając ani na chwilę pracować zawodowo, wykładając socjologię religii i w czym tam się jeszcze specjalizował, w Tybindze, w Bari, w Kalifornii i Bóg wie gdzie jeszcze. I oto w 1989 roku w wydawnictwie SAUR (Monachium-Londyn-Nowy Jork-Paryż) ukazał się po angielsku imponujący informator w trzech tomach „Who's Who in the Socialist Countries”, obejmujący nie tylko Polskę, Węgry, Czechosłowację, NRD, Rumunię, Bułgarię, ale także Jugosławię i — Albanie, wówczas ziemię nieznaną. Praca gigantyczna! Informator pasjonujący. Ale wymagający niemal nazajutrz poważnej korekty. Bo wkrótce po jego ukazaniu się runął mur berliński, runęły „trony”, pojawiły się nowe osobistości. Chociaż, gdy idzie o Polskę, większość tych nowych ludzi, jako wywodzących się z „Solidarności”, jest w informatorze uwzględniona (Wałęsa, Kuroń, Michnik, Mazowiecki, Geremek etc.).

Właśnie nad nową wersją swojego wschodnioeuropejskiego „Who's Who” pracował w ostatnich miesiącach życia. Przesłałem mu, pamiętam, jakieś uzupełnienia do swego biogramu. Nie rezygnował też ze swej książki o faszyzmie. Z niczego nie rezygnował. Mimo że tak bardzo, od lat, heroicznie (nie waham się użyć tego wyrazu) zmagał się z chorobą. Mimo że śmierć coraz bliżej się podkradała, aż wreszcie go zwała. Było to tak ciężkie umieranie,

że aż w gardle dławi gdy o nim myśleć.

Mój przyjaciel Juliusz Stroynowski był niezawodnym przyjacielem polskiej kultury, jego własnej kultury. Straciliśmy Przyjaciela.

Józef HEN

## Wiktor Fay

Dnia 29 czerwca zmarł w wieku 88 lat Wiktor Fay, lewicowy działacz polityczny i dziennikarz. Wiktor Fay był bardzo zaprzyjaźniony z *Kulturą* i w wielu wypadkach z nią współpracował, co było dla nas bardzo cenne ze względu na Jego szerokie kontakty w środowiskach prasy i wydawnictw francuskich. Urodził się w 1903 roku w Warszawie, we wczesnej młodości walczył o niepodległość Polski. Po rewolucji 1917 roku wstąpił do partii komunistycznej. Wyemigrował do Francji, gdzie skończył studia i walczył w szeregach Francuskiej Partii Komunistycznej. Do jego wychowanków należą m.in. Jeanette Vermeersch i Waldeck Rochet. Przy pierwszych procesach moskiewskich w 1936 r. Wiktora Faya i jego żonę wyrzucono z partii. W 1937 r. Fay wstąpił do partii socjalistycznej SFIO. W czasie wojny walczył we francuskim ruchu oporu. Po wyzwoleniu należał do założycieli dzienników *Lyon Libre* i *Lyon Matin*. W 1948 roku, po odejściu Camusa, objął redakcję *Combat*. Dwa lata później zaczął pracować w radio francuskim jako zastępca redaktora naczelnego audycji zagranicznych. Stanowisko to piastował do 1967 roku. W 1956 roku, nie zgadzając się z polityką algierską Guy Molleta, wystąpił z SFIO. W dalszym biegu życia należał do współzałożycieli PSA, potem PSU, by w 1981 wstąpić do PS. Jest autorem wspomnień pt. „La flamme et la cendre” (Żar i popioły).

## Książki

## „Anty-Kultura”

### WSTĘP DO WSTĘPU

Drukowany poniżej tekst jest wstępną wersją przedmowy do książki, która pod tytułem „Anty-Kultura” ma się niedługo ukazać w Warszawie. Tom ten zawierać będzie wybór z książek, broszur i materiałów prasowych (dzienników i czasopism), poświęconych atakom na *Kulturę*, jej redaktora i jej autorów, wydanych na zamówienie czy polecenie Biura Politycznego lub KC PZPR, MSW, GZP Wojska Polskiego, Wydawnictwo Departamentu Szkolenia MSW, i innych, a opartych o „dokumenty” spreparowane i udostępnione autorom krajowym, a także zagranicznym (sowieckim) przez polskie urzędy, powołane do walki z „dywersją”.

Złożą się na nią fragmenty z m.in. następujących dzieł:

- E. Żytomirski: „Emigracja”,
- E. Modzelewski: „Import kontrrewolucji. Teoria i praktyka KSS KOR”,
- E. Modzelewski: „Paryska *Kultura* a KSS KOR”,
- „Burżuazyjne i emigracyjne próby deprecjacji roli i polityki PZPR (1980-1985)”,
- J. Wilczyński: „Antypolska działalność Radia Wolna Europa, paryskiej *Kultury* i kwartalnika *Aneks*”,
- A. Batorowicz: „Paryska *Kultura*”,
- J. Kolczyński: „Dywersja”,
- W. Filler: „Teorie i praktyki paryskiej *Kultury*”,
- W. Komornicki i H. Szyszkowski: „Rozpracowanie emisariuszy paryskiej *Kultury*” (tajne),
- artykuły z dzienników i czasopism, wśród których m.in.: *Życie Literackie*, *Życie Warszawy*, *Perspektywy*, *Nasz Znak*, *Zolnierz Wolności*, *Prawo i Życie*,

— artykuły w *Komsomolskiej prawdzie*, *Krokodylu*, *Komuniście* i in., oraz dziesiątki broszur, niektóre z nich tłumaczone na angielski czy francuski, pełne wytycznych dla takich czy innych służb,

— teksty pióra m.in. Lesława Wojtasika, Władysława Machejka, Ignacego Krasickiego, Wacława Szafrąńskiego, Krzysztofa Majchrowskiego, Andrzeja Bilika, Leszka Kołodziejczyka, A. Lama, A. Hempla, E. Ruska i innych...

Książka ta nie będzie lekturą zabawną. Ale będzie to lektura pożyteczna, a może i konieczna dla prawidłowego odczytania niektórych aspektów politycznych i psychologicznych działalności ludzi i instytucji ostatnich lat 50-ciu w Polsce.

Wyboru dokonał Marek Zieliński.

## DEKALOG „ANTY-KULTURY”

*Wielcy kłamcy powinni mieć bardzo dobrą pamięć.*

Corneille

Nigdy nie wiadomo kiedy to nastąpi i jak się odbędzie, ale wszyscy dziennikarze, no, może prawie wszyscy, to znają: każdy z nich musi, w pewnym momencie kariery, przejść przez tak zwaną „minutę prawdy”. Na mnie przyszła kolej w maju 1991 roku na lotnisku Okęcie w Warszawie. Byłem w Polsce kilkakrotnie w ciągu lat 1990 i 1991. Za każdym razem byłem zatrzymywany na Okęciu przez oficerów WOPu, których komputer, umieszczony pod ladą komórki strzegącej granic Rzeczypospolitej, z całkowitą monotonią i obojętnością wystukiwał „Leopold Unger” z listy nazwisk zagrażających bezpieczeństwu RP i nie dopuszczonych, mimo posiadania prawomocnej wizy, do wstępu na terytorium Polski. Za każdym razem wystawałem cierpliwie pod pręgierzem, obrzucany zaintrygowanymi spojrzeniami pasażerów, nie podejrzanych, tak jak ja, o terroryzm, przemyt narkotyków lub chorobę AIDS. O cóż bowiem innego chodzić mogło strażnikom polskiej granicy już „po sezonie”, to znaczy po obaleniu komunistycznych czyli ideologicznych kryteriów oceny zagrożenia dużego kraju, o 1000-letniej historii, w sercu Europy.

Mniejsza o detale. Wyjaśnienie sprawy trwało od kilku do kilkunastu minut, zawsze znalazł się jakiś znajomy lub po prostu bliźni współczujący więźniowi, gotów dać znać rodzinie, aby dostarczyła zimowej odzieży, po czym przedostawałem się spod pręgierza na uroczy, wielkomięjski, europejski tzw. Dworzec Lotniczy w Warszawie.

Przygoda w maju 1991 miała jednak charakter szczególny. Demokracja była już ponad rok u władzy. Był już powszechnie wybrany prezydent RP. Tylko komputer był ten sam. Znowu zaszyfrował niebezpieczeństwo i wystukał moje nazwisko i oficer WOP znowu postawił mnie pod pręgierzem. Wtedy, w skrócie, nastąpił taki dialog:

WOP (do mnie i do telefonu): — Unger mi znowu wychodzi...

Ja (do WOP i w stronę telefonu): — Jeżeli panu jeszcze raz wystuka „Unger”, to Unger pójdzie z powrotem do samolotu i będzie taki stuk, że pański komputer przestanie stuknąć na zawsze...

WOP do mnie: — A pan kto?...

Ja do WOP: Unger z paryskiej Kultury...

WOP do mnie: — A co to jest?

Taka była moja „minuta prawdy”. WOP nie znał Ungera: to smutne, ale nieważne. Ale WOP nie słyszał także o *Kulturze*, nie mówiąc już o jej czytaniu, co jest smutne, i bardzo ważne. Powstała na tym tle natychmiast potrójna refleksja. Po pierwsze, była to ostra lekcja skromności i pokory. Po drugie stwierdziłem, że system komputerowy WOP nie jest niezawodny i wymaga aktualizacji. I po trzecie, i najważniejsze, doszedłem do wniosku, że jeżeli do oficera WOPu, strażnika ideologicznej szczelności polskich granic, nie dotarło ani słowo z miliona drukowanych i głoszonych paskudztw i bredni na temat paryskiej *Kultury*, to znaczy że, jak mówił Franz Fischer, „cały pogrzeb na nic”, że cała, tak bardzo kosztowna i nachalna, propaganda PRL poszła na marne. Na tym tle można już sformułować wstępny argument za zredagowaniem „Anty-Kultury”: jest nim próba zastanowienia się nad zaskakującym i pocieszającym zjawiskiem, jakim jest nieskuteczność komunistycznej indoktrynacji. Jest to argument pierwszy, ale nie jedyne.

W ciągu mojej 22-letniej współpracy z *Kulturą* dostałem od Jerzego Giedroycia sporą liczbę listów. Ten jednak, z 4 lipca 1991, różnił się od innych. Zaczynał się, co prawda, jak wszystkie, od „Drogi Panie”, ale był, po pierwsze, nadzwyczajnie długi: zamiast kilku wierszy, jak zawsze, była cała strona. Był, po drugie, niepokojąco pochlebny. „Staram się — pisał redaktor — zrealizować Pana znakomity pomysł i wydać tomik „Anty-Kultury”. List zawierał listę wydawnictwa, jakie przesłał do Marka Zielińskiego dla opracowania materiału i wyrażał prośbę o „napisanie krótkiej przedmowy”. I wreszcie, po trzecie, list był bardzo, jak na redaktora, sentymentalny. Łączył pozdrowienia „dla Obojga Państwa” (z dużych liter), „u nas” (to znaczy w Polsce) — dodawał — jak zwykle, „wszystko jak najgorzej”, i kończył słowem „Dziękuję”.

Ale jest i „po czwarte”. Wszystko się zgadza, pomysł i

tytuł rzeczywiście były moje, ale nie są wcale nowe, jakby to mogło wynikać z listu redaktora. Mianowicie projekt wylansowany został nie w roku 1991, a w roku... 1986 i to na łamach... *Kultury*. Figuruje w pierwszych wierszach felietonu o „Agentach i gadach w pokoiku ze sklepikiem w Maisons-Laffitte”, inspirowanego przez wyjątkowo groteskową brednię, jaką był cykl artykułów sowieckiego *Krokodyla* na temat *Kultury* i Jerzego Giedroycia (tekst jest przytoczony w całości wewnątrz książki).

To jednak, że Jerzy Giedroyc dał się skusić na „*Anty-Kulturę*” nie w roku 1986, a w pięć lat później (podaję te drobne szczegóły nie z megalomanii, ale dlatego, że nie wiadomo co kiedy będzie ważne dla biografów Jerzego Giedroycia), to nie kaprys ani przypadek. Odpowiada to logice sytuacji.

Poniższy tekst, o tej właśnie logice, pisany był szybko, tak aby zdążyć do wrześniowego numeru *Kultury* i zapowiedzieć ukazanie się jej „*Anty...*”. Zawiera więc uwagi spisane nie systematycznie, a w miarę studiowania „surowca”. Stąd jest możliwe, a chyba pewne, że tekst przedmowy zostanie nieco zmieniony czy uzupełniony w wydaniu książkowym. Sądzę jednak, że główne refleksje ostaną się tej krótkiej próbie czasu. Oto one.

#### Już można

Po pierwsze więc, dziś już można wybór „*Anty-Kultury*” poważnie opracować i w Polsce wydać. Dziś już w Polsce paryska *Kultura* nie musi być tematem wyłącznie głupiej propagandy i policyjnych donosów a, mam nadzieję, stanie się tematem krytycznych zapewne, ale poważnych opracowań historycznych, politycznych i literackich. Dziś już jest możliwy, choć może jeszcze niezupełnie łatwy, dostęp do archiwów, źródeł, świadków.

Opracowanie Marka Zielińskiego nie rości sobie pretensji do „wyczerpania tematu”. To, w obecnej fazie, jest po prostu niemożliwe i nie taki był cel autora. Ale oznacza to, że droga do opracowania o charakterze bardziej wszechstronnym, naukowym, jest otwarta i przetarta.

#### Druga strona medalu

Naukowym — albowiem, po drugie, „*Anty-Kultura* nie zamyka, a otwiera ogromny i „bogaty” rozdział w historii *Kultury* i kultury polskiej. Nie można sobie bowiem wyobrazić ostatniego półwiecza bez uwzględnienia działalności *Kultury* i

Jerzego Giedroycia, ich roli w kształtowaniu polskiej myśli politycznej i kulturalnej, skutków ich działania w dochodzeniu przez Polaków do niepodległości i demokracji.

Otóż, to co proponuję nazwać „*Anty-Kulturą*” i co powinno odzwierciedlać całość akcji władz komunistycznych (i tych, którzy się do niej w tym celu przyłączyli) przeciw *Kulturze*, jej redaktorom, współpracownikom i autorom, ta cała patologia policyjnego absurdu wraz z wiarą, że będzie ta pisanina mieć jakiś poważny wpływ na postępowanie i myślenie „oficerów WOP-u”, to znaczy Polaków w ogóle, to jest druga strona medalu historii i *Kultury* paryskiej i kultury polskiej. Bez tej drugiej, ciemnej i nieznannej strony, saga Maisons-Laffitte byłaby zubożona, niepełna i, w pewnym sensie, niezrozumiała, a jej miejsce w polskiej rzeczywistości ostatniego półwiecza nieczytelne.

#### Ciąg dalszy nastąpi

Stąd, po trzecie, to tylko początek. Aktorzy i autorzy rozmaitych epizodów tej anty-sagi powinni zacząć uzupełniać kronikę, wzbogacać „literaturę przedmiotu”, zacząć wypełniać „białe plamy”, dopisywać ciąg dalszy. Należałoby np. skłonić negatywnych (dziś przecież niczego nie ryzykują) i pozytywnych bohaterów rozmaitych faz „*Anty-Kultury*” do pisania dalszego ciągu.

W drugim wydaniu powinny się więc znaleźć opisy „metodologii” „*Anty-Kultury*”: proces podejmowania politycznej decyzji w Biurze Politycznym czy aparacie KC, potem intelektualny, przepraszam za słowo, mechanizm zamawiania „opracowań”, redagowania wytycznych dla autorów, misterium powstawania zbitek słownych i pojęciowych (trzeba tu wspomnieć o wydanej przez „PoMost” pionierskiej pracy Michała Głowińskiego „*Marcowe gadanie*”), no i całość procedury policyjnego, techniki śledztwa, penetracji środowiska, werbowania i wysyłania agentów, fabrykowania świadków i dowodów, zapisów cenzury, konfiskaty przesyłanych *Kultur* i książek (kto mi zwróci setkę egzemplarzy „*Orla i reszty*” przywłaszczonych przez UB w słynnej wyspie ciężarówce ze Szwecji?), naturalnie kulisy procesów *Kultury* („*taterników*” i innych)... No i poza tym, czy i kto był kapitanem Czechowiczem od *Kultury*? Nie należy zapominać o stronie humorystycznej: czy rzeczywiście ktoś fotografował wejście do „*Maisonu*” i czy rzeczywiście z muru naprzeciwko? Gdzie są te zdjęcia? Pokażcie je!

Potem, już poważnie, kwestia oceny kosztów i wyników tych kampanii: czy ktoś kiedyś, i jeżeli tak to kto, zastanowił

się nad sensem tej „działalności”? Jaki był kontakt z Moskwą w tej sprawie i kto się w Moskwie tym interesował (*vide casus Golub w Krokodylu*)? I wreszcie, jakiś remanent ludzki, antologia autorów „Anty-Kultury”.

### *Psyche władzy i ludzi*

Albowiem, po czwarte, analiza „Anty-Kultury” zakłada psychoanalizę jej autorów. Ta zaś powie więcej o psychologii i psychice władzy niż głębokie studia teoretyczne. Przecież nikt, ani ci, którzy zamawiali i płacili, ani ci, którzy wykonywali te zamówienia, pisali i podpisywali te paskudztwa, nie wierzył ani w skuteczność tej „działalności ideologicznej”, ani w to co wypisywał na temat *Kultury* czy jej autorów w szponach „siatki Wiesenthala”, CIA, Mossadu i innych „ośrodków wrogich Polsce Ludowej”.

Otóż, to ważne, gdyż (chyba się nie mylę), udział w „Anty-Kulturze” był w zasadzie ochotniczy. Nikt w Polsce, nawet stalinowskiej, nie mówiąc już o latach po-stalinowskich, nie mógł właściwie nikogo zmusić do napisania czegokolwiek, a tym bardziej zmyślenia, fabrykowania faktów, „upiększania” i „wzbogacania” materiałów безпеki, no i, tym bardziej, do podpisania tego typu „twórczości”. Naturalnie, odmowa wykonania takiego zamówienia zakładała pewne ryzyko: groziła utratą awansu, zmianą stanowiska czy miejsca pracy, ale rzadko kończyła się naprawdę ostro, np. utratą zajęcia w ogóle. Z wyjątkiem ofiar wewnątrzpartyjnych porachunków czy kampanii antysemickiej w 1968 r., w PRL tracili pracę, a często i wolność, nie oporni czy nawet zbuntowani partyjniacy czy popuczcyki, a przede wszystkim — jeżeli nie wyłącznie — denuncjowani w rozmaitych anty-kulturach „wrogowie ideologiczni”.

Inaczej to formułując, autorzy „Anty-Kultury” pisali i mówili na ochotnika, nie z musu, z cynizmu, a nie z przekonania, dla pieniędzy i innych korzyści, a nie ze strachu. Wiedzieli, że kłamią, że szkodzą innym Polakom i własnemu krajowi. Z jakich powodów, dla jakich korzyści dawali się upodlić, ba, szli dalej niż władza kazała, dlaczego dawali się wykorzystywać nie tylko do „walki” z poglądami czy polityką i filozofią *Kultury*, ale z ludźmi, o których często niczego nie wiedzieli, a często wiedzieli coś wprost przeciwnego niż pisali, to jest właśnie pytanie, które pierwszy, ten właśnie, tom „Anty-Kultury” stawia, ale na które dopiero nowe jej wydanie „uzupełnione i poprawione”, potrafi może odpowiedzieć.

### *Nie tylko Kultura*

Tu bowiem, po piąte, nie chodzi tylko o *Kulturę* i jej „Anty”. Unikajmy demagogii, pominiemy okres naprawdę stalinowski. Ale później?! Propaganda wokół roku 1956, Poznania i „obciętych rąk”, wokół roku 1958 i sprawy *Po prostu*, fala brudu po liście 34, kampania roku 1968 i „studenci do nauki”, rok 1976 i sprawa KORu, wreszcie stan wojenny i propaganda mniejszego zła, opluskwanie Wałęsy i Michnika, każdy okres (można dopisywać bez końca) miał swą „Anty-Kulturę”, miała ją cała Polska, na wszystkich zakrętach, a nawet i na prostej.

Psychologia „ochotników” na wszystkich etapach była podobna. Warto przecież poznać cechy myślowe i psychiczne, uwarunkowania nie policyjne a intelektualne i, że tak powiem, polityczne, w których grupa inteligentnych ludzi, tych, których ustrój komunistyczny uważał za swoją elitę i którzy nią faktycznie byli, godzili się na ponizającą rolę instrumentu w służbie nie tylko bezmyślnej i prostackiej, często... anty-inteligenckiej propagandy, ale także w służbie zwyczajnych durniów, sprawujących władzę z mandatu policji i zagranicy.

### *„Anty” jak „ONI”*

W istocie, i to jest po szóste, potrzebne byłoby teraz specyficzne „anty-kulturowe” opracowanie w stylu i w typie tomu „Oni” Teresy Torańskiej. Tak jak w „Onych” lekcja zasadnicza wykracza tutaj bowiem poza bezpośrednią treść i zawartość „Anty-Kultury”: chodzi tu o naturę ludzką, o jej związek z prawdą, ze złem, chodzi o mentalność, na zasadzie której intelektualista daje się sprowadzić do instrumentu usprawiedliwiania zbrodni, uzasadniania zła, mając przy tym przekonanie, że, jako intelektualista, nie ponosi za to co zrobił żadnej odpowiedzialności.

W „Onych” chodziło o ludzi, którzy politycznie sowietyzowali Polskę. W „Anty-Kulturze” chodzi o ludzi, którzy to samo robili w sferze intelektu, idei i rozumu.

Dwa aspekty o bardziej abstrakcyjnym charakterze zasługują w tym kontekście na próbę poruszenia, bo tylko o próbę może w tym powierzchownym ujęciu chodzić.

### *Nowa zdrada klerków*

Najpierw, i to będzie już po siódme, kwestia nowej zdrady klerków. Pisząc o intelektualistach, Max Weber wprowadził

słynne rozróżnienie między „etyką przekonania”, cechującą intelektualistów i „etyką odpowiedzialności”, cechującą ludzi działania, polityków. W istocie jest to podział sztuczny, w praktyce właściwie już nie istniejący: przecież w ogromnej większości wypadków intelektualiści to także ludzie działania. Albo działają bezpośrednio, jako politycy czy administratorzy, albo pośrednio, przez wpływ, dobry lub zły, jaki wywierają na opinię publiczną.

Nas interesuje dziś naturalnie ten drugi przypadek. W „uprawianiu” zła, w usprawiedliwianiu gwałtu, w szalbierstwie, intelektualiści „zdradzili” bardziej niż politycy. Współcześni klerkowie pobili wyobraźnię Bandy: oddali wolność wypowiedzi w służbę tyranii, dokonali przekupstwa języka, odwrócili sens moralności, umieścili kłamstwo w centrum ludzkiego myślenia. Doprowadzili do perfekcji sztukę nie kreowania idei w oparciu o fakty, a wymyślenia faktów tak aby pasowały do idei.

Aby przeżyć w kłamstwie, aby działać w takiej atmosferze, klerk musi się bronić przed świadectwem rzeczywistości, rozumu, zdrowego rozsądku. Uznanie rzeczywistości oznaczałoby przyznanie się do klęski, przyznanie, że nie ma się prawa do rządzenia, prowadziłoby do wyrzeczenia się samego siebie. To narzucało konieczność samo-przelicytowania się, stałego „zwiększania dawki”, aż do „overdozy”, do absurdu. Tak powstawały rekordy głupoty o „sklepiku” w Maisons-Laffitte czy rekordy draństwa o „politycznym i moralnym obskurantyzmie paryskiej Kultury...”

Równanie jawi się proste: im bardziej była zgnięta rzeczywistość w Polsce, im bardziej była bezradna, z góry przegrana na terenie prawdy, tym bardziej agresywna i niedorzeczna (żeby nie wspomnieć o hańbie domowej) była jej propaganda, tym szybciej uciekała ona z terenu informacji w sferę kłamstwa. Wyrobnicy „Anty-Kultury” uciekali najszybciej. Ich „utwory” powinny zostać w antologii bzdury i w nowym wydaniu historii głupoty w Polsce.

### Rozgrzeszenie ideologiczne

Nie można, po ósme, uniknąć kwestii ideologii. W swojej jakże pożytecznej książce „La Connaissance Inutile” (Grasset, Paryż 1988), którą bardzo warto zaktualizować i adaptować posługując się faktografią specyficznie polską, Jean-François Revel wyraża pogląd, że współczesne pojęcie „ideologii”, lansowane głównie przez tak zwaną „lewicę” na Zachodzie i kraje „pokoju i postępu” na wschodzie, oznacza w istocie potrójne rozgrzeszenie i nadużycie:

a) intelektualne, zakładające taką selekcję i takie posługiwa-

nie się, a nawet fałszowanie faktów, aby służyły one wyłącznie udowadnianiu z góry założonej tezy. Oznacza to, *implicite*, abdykację umysłową i prowadzi do chwaleń, zależnie od „etapu”, idiotyzmów w rodzaju czerwonej książeczki Mao czy, dodajmy, dzieł zebranych Breżniewa lub Gomułki. Lub też, w tym przypadku, do wydawania policyjnych opracowań na temat „szczególnej roli paryskiej Kultury w systemie dywersji ideologicznej...”

b) praktyczne: polegające na wyeliminowaniu z argumentacji wszelkich kryteriów skuteczności działania, wszelkich dowodów na porażkę, niesłuszność polityki, np. w sprawie katastrofy kołchozów, czy bankructwa gospodarki komunistycznej w ogóle. W odniesieniu do „Anty-Kultury” oznacza to krążenie w obiegu zamkniętym, uparte kontynuowanie propagandy pozbawionej nawet dla jej autorów wszelkiej szansy dotarcia, nie mówiąc już o przekonaniu kogokolwiek.

c) moralne, eliminujące z dyskusji kryteria zła i dobra. Pozostaje tylko służba ideologii: to jest dobre co jest komunistyczne, nawet Pol Pot, nie mówiąc już o przekupstwie, nepotyzmie, nadużyciach nomenklatury, zjawiskach typu Ceausescu, propagandzie sukcesu, mniejszego zła itd., itp.

Ideologia, w tej koncepcji, staje się wyłącznie źródłem i uzasadnieniem fałszu. W imię tak pojętej ideologii kłamstwo, byle „postępowe”, staje się słuszne i usprawiedliwione, a wszystkie chwytły stają się dozwolone. Celem ideologii nie jest bowiem poznanie prawdy, a uwiarygodnienie i legitymizacja, niezależnie od stopnia impostury, własnego systemu. Sensem ideologii jest nie przekonanie, a zniszczenie przeciwnika w jej sferze działania, to znaczy w sferze intelektu, usprawiedliwienie unicestwiania wroga, kiedy jest to możliwe, lub neutralizacja, na wszelkie sposoby, jego wpływu, kiedy, jak *Kultura*, znajduje się on poza zasięgiem bezpośredniego rażenia.

Stąd, komunistyczne ujęcie ideologii implikuje utratę zarówno zdolności intelektualnych co i zmysłu moralnego. „Anty-Kultura” jest tej podwójnej atrofii bardzo charakterystycznym, ale tylko jednym z licznych objawów. Pod tym względem kampania „anty...” z lat 1968 (Eisler, w „Marcu 1968”, wydaje mi się, dokonał tu ogromnej pracy), 1970, 1976, 1981 i innych, czekają na opracowanie. Bez takich opracowań, bez „Anty-Kultury” tych wszystkich lat, przyszłe pokolenia Polaków nie będą mogły poznać historii ich kraju.

### Brak wyobraźni

Po dziewiąte, uderzający jest brak wyobraźni czeladników „Anty-Kultury”. Można założyć, że w latach 50-tych byli tacy,

którzy w klimacie wyzwolenia od okupacji i groźby hitlerowskiej stracili lub eliminowali świadomie wszelki krytycyzm wobec rzeczywistości sowieckiej. Byli tacy, sam znałem, którzy wierzyli w ideał komunistyczny, bardzo za to cierpieli przed wojną i akceptowali potem środki, które uświęcały cel. Inni przekonani byli o trwałości i wieczności państwa sowieckiego, o niezniszczalności jego potęgi. Był przecież okres, zwłaszcza wśród intelektualistów na Zachodzie, prawdziwej fascynacji najpierw mitem, potem mistyfikacją, potem potęgą, a wreszcie nawet terrorem stalino-wskim.

Ale czym mogli kierować się, czemu ulegali, autorzy „Anty-Kultury” i innych polskich „anty” w latach 60-, 70- i 80-tych? Ślepotą, głupotą, przekupstwem? W wielu wypadkach i w odniesieniu do wielu osób można zapewne zastosować każde z tych określeń nie tylko osobno, ale wszystkie razem. Wśród nazwisk już dziś cytowanych w tym wyborze, a co dopiero wśród tych, jakie znajdują się po jego uzupełnieniu, figurują jednak także ludzie niewątpliwie inteligentni. Co sprawiło, że długo przecież „po sezonie” jeszcze wierzyli w parasol bezpieczeństwa, w bezkarności i, że tak powiem, w bez-ryzykowność ich procederu?

Nie wiem jednak, czy można już dotknąć, *sine ira et studio*, kwestii odpowiedzialności inspiratorów, poleceniodawców i autorów „Anty-Kultury” i innych „anty”. Nie chodzi tu naturalnie o odpowiedzialność karną, typu sądowego. To nie moja specjalność. Sądzę zresztą, że za gwałt na moralności i zdrowym rozsądku, sprawiedliwości przy pomocy sądów wymierzyć się nie da. Ale spotkałem się z poglądem, że w intelektualnym i moralnym, ba, nawet towarzyskim sensie, nie powinno tu być „grubej kreski”. Fakt, że cała ta brudna wojna poszła na marne, że właściwie nikt, albo prawie, z ludzi myślących nie dał się na nią nabrać, nie powinien stanowić okoliczności łagodzącej. Właściwie, w tym kręgu, jest to okoliczność pogarszająca sprawę: nie tylko robili draństwo, ale jeszcze szuszerowali całą robotę.

Najbardziej skrajni moi rozmówcy powiedzieli krótko: to była kolaboracja z okupantem, a za kolaborację się płaci. I, w kontekście najbardziej „zasłużonych” autorów, dawali przykład... Brasillacha we Francji. Nie dosłownie, naturalnie, kat jeszcze poczeka, ale „cywilnie”. Wydaje się istotne, że zapiekłość w narodzie jest często większa wobec ludzi pióra niż ludzi pałki.

Inni zaproponowali, aby *dossier* najbardziej obciążonych propagandystów, tych, naprawdę, według moich rozmówców (a każdy ma swoją listę), odpowiedzialnych za trucie ludzi i klimatu, zestawić ze sprawą niezawodowych konfidentów UB. Za mało znam sprawę, aby wdawać się w porównania. Bardzo przekonywujące wydało mi się to, co na ten temat powiedział poseł Jan Rokita w wywiadzie dla *Konfrontacji* (VII-VIII, 1991). Ale

trzeba natychmiast wyjaśnić, że porównanie jest chybione z jednego chociażby względu: konfidenci, *ex definitione*, pozostawali w ukryciu; propagandyści nie tylko się nie kryli, a wprost przeciwnie, chcieli być znani, podpisywali swoje doniesienia. To prawda, że często chodziło o pseudonimy, ale to nie zmienia „moralności” zjawiska. Wszyscy piszący, na jakimś etapie, używają pseudonimów, jedni z konieczności i ostrożności, inni ze wstydu. Pytanie tylko, czy biorą na siebie odpowiedzialność za to co pisali. Inni wreszcie stawiają sprawę odpowiedzialności niejako dwufazowo: ważni są, naturalnie, autorzy, ci podpisujący, ale ważniejsi są ci, których (to ulubiony termin właśnie „antykulturowców”) określić należy jako „inspiratorów”. Jerzy Eisler w swoim „Marcu 1968” (*Krytyka* i PWN, 1991) przypomina, że ataki na Baumana, Schaffa, Baczkę czy Kołakowskiego wychodziły ze strony ludzi, którzy nigdy nie mieli w rękę, a tym bardziej nie czytali ich książek. No a transparenty „Moški do Dajana” itp.? Kto je redagował? Kto pisał teksty, które ktoś inny potem wygłaszał?

To samo, w ogromnym stopniu, dotyczy autorów „Anty-Kultury”. Ktoś, w KC czy w MSW, „podrzucał” materiały: w 1968 roku listę prawdziwych, żydowskich nazwisk „prominentnych” dzieci, „inspiratorów”, „komandosów”, etc. Ktoś inny, a może ten sam, sporządził listę nazwisk do umieszczenia na „drzewie zdrady”, z redaktorem *Kultury* na czele. Ktoś inny wreszcie, znowu może ten sam, może jakiś intelektualista, a może nawet... pisarz, uznawał za zbrodnię ideologiczną „wpisane w amerykański system wywiadu, subwersyjne przetrzymywanie książek nielegalną drogą do Polski”.

No a wymiar „sprawiedliwości”? Sędziowie, prokuratorzy i niektórzy „obrońcy”? Jak informują autorzy Departamentu Szkolenia i Wydawnictw MSW, w procesie „taterników” prokuratorzy podkreślili „służebną rolę paryskiej Kultury w realizacji amerykańskich doktryn politycznych i dywersyjny charakter podejmowanych przez nią działań”. Sąd doszedł do wniosku, że „proces w całej rozciągłości ujawnił dywersyjno-spiegowuski charakter zainteresowań paryskiej Kultury... i „w pełni potwierdził słusność aktu oskarżenia”. Jakiś „komentator radiowy” uzupełnił materiał dowodowy relacją, że „korzenie sięgają do Tel-Awivów” i że akcja *Kultury* wywodzi się z „filozofii zdrady narodowej”. W tych warunkach sędziowie i prokuratorzy nie mogli nie mieć świadomości skutków ich decyzji, to znaczy wyroku, to bowiem w oparciu o taki stek bredni, które MSW wymyśliło, „eksperci” z „Ośrodka Badań Wschód-Zachód” (co z tym ośrodkiem, a propos?) opracowali i podpisali, a kapłani Temidy „ulepszyli”, nadając mu formę prawną-sądową, posłali np. w procesie „taterników” pięcioro młodych ludzi do kryminału.



Zapytany, czy jest możliwe, aby konsekwencje ponosili tylko „fizyczni” sprawcy nadużyć i zbrodni MSW, Rokita odpowiada, że choć trudno będzie udowodnić bezpośredni związek z przestępstwem, „to nie sposób zaprzeczyć, że decydenci mieli świadomość skutków podejmowanych kroków”.

No a w „Anty-Kulturze”? I w innych „anty...”? Krakowski poseł przyznaje, że „duża liczba obywateli jaka świadczyła usługi dla MSW jest garbem, a nawet bombą podłożoną pod państwo”. A jak to jest z bombą propagandową? Czy można oddzielić i podzielić winę tych, którzy kazali i dokonali mordu na Przemysku i Pyjasiu od tych, którzy pośmiertnie ich opluli w duchu „anty...”? Kto kazał z porucznika poległego w 1945 roku pod Bolonią i pochowanego na cmentarzu II Korpusu w Loreto zrobić w 1972 roku łącznika Mossadu z NATO? Rokita twierdzi, że taktyka „miękkiego przejścia” wyszła na dobre w MSW. Jak się to odbędzie i komu to wyjdzie na dobre w „Anty-Kulturze”, tylko czas pokaże.

Mimo takich okoliczności, a taki zarzut spotka naturalnie redaktora *Kultury* i autora wyboru czy przedmowy do „Anty-Kultury”, mówienie o zemście, o załatwianiu porachunków czy odgrywaniu się, jest oczywiście bzdurą. Do odegrania się redakcja *Kultury* miałaby nieskończoną ilość nie tylko powodów, ale i okazji. Jej reakcja na najbardziej rażące obrzydliwości i, co gorsza, niesprawiedliwości, ograniczyła się do kilku osobistych polemik, no i drukowania co jakiś czas „czarnej listy” autorów.

Tu nie chodzi o zemstę. Od bogów, dla których zemsta jest rozkoszą, wołę Kopalińskiego, który powiada za Juwenalem, że „zemsta jest zawsze rozkoszą miernych, słabych i małostkowych umysłów”. A poza tym zwolennikom boskich rozkoszy przypominam, że, jak powiadają Francuzi, zemsta to danie, które spożywać się powinno na zimno. Anty-kulturowe „danie” jest jeszcze gorące. I chyba długo jeszcze nie wystygnie.

Stąd, choć Jerzy Giedroyc, jego ekipa i ludzie z kręgu *Kultury* mieliby spory rachunek własnych krzywd do wystawienia, dziś, na koniec — i po dziesiąte — tylko dwie niemściwe uwagi.

Pierwsza dotyczy wyboru. Marek Zieliński dokonał tylko pierwszej przymiarki „Anty-Kultury”, która na żadne z pytań jakie sobie i on, i ja, i *Kultura* zadajemy, odpowiedzi przynieść nie mogła. Zieliński dokonał najcięższej, pionierskiej roboty. I najmniej przyjemnej. Przedarł się przez ogromną stertę bełkotu, bzdury i nikczemności. Dał nam ich próbkę możliwie reprezentacyjną i charakterystyczną. I, mimo wszystko, czytelną.

Druga to nieskromny, bo epizod z osobistej „Anty-Kultury”. Było to jeszcze przed „okrągłym stołem”, ale już było widać, że reżym w Polsce wszedł w stadium agoniczne. Do redakcji *Le Soir* w Brukseli nadeszło zaproszenie do udziału w

seminarium organizowanym przez polski MSZ, z zapowiedzią udziałem samego generała. Redakcja podała, naturalnie, moje nazwisko, sądząc, z pozoru słusznie, iż koniec komunizmu w Polsce jest tak bliski, że kompromitujące anatemy już spadły i jej specjalny wysłannik wizę otrzyma. Ale odpowiedzi nie było. W przeddzień seminarium redakcja zadzwoniła do ambasady. Poinformowano ją wówczas, że wizy nie będzie.

W „środowisku” wybuchł skandal. Do Warszawy, do której swobodny dostęp mieli terroryści typu Abu Nidala i Abu Dauda (odpowiedzialnego za masakrę na Olimpiadzie w Monachium), belgijskie pismo codzienne *Le Soir* wstępu nie miało. Tego było za dużo i ambasadę PRL obłożono redakcyjnym bojkotem. Ktoś życzliwy i rozumny postanowił wtedy wytłumaczyć „czynnikom kompetentnym” w Polsce, że taki bojkot największej gazety nie jest pożyteczny dla interesów PRL. A oto interesująca nas część dialogu:

*Życzliwy*: — Dlaczego nie dacie wizy wysłannikowi *Le Soir*?

*Czynnik*: — Jakiemu *Le Soir*? Tu nie chodzi o prasę belgijską, mamy to w nosie, tu chodzi o to, że on drukuje w *Kulturze*.

I to był ze strony bardzo kompetentnego i zasłużonego przedstawiciela „Anty-Kultury” niechciany, ale prawdziwy komplement dla *Kultury*.

Warto to wszystko prześledzić i zrozumieć, albowiem z katastrofy komunistycznej w Polsce jedna jest ewangelia na dzień dzisiejszy: z najemnikami niczego solidnego zbudować się nie da. Tak jak z niewolnikami, budować z nimi można piramidy i więzienia, nie można jednak konstruować komputerów. Ani budować demokracji.

Leopold UNGER

## Chaotyczne uwagi o poezji lat ostatnich

Od pewnego czasu próbuję zebrać nowo wydane tomy poetyckie, co jest zadaniem dość rozpaczliwym. Na szczęście jako krytyk otrzymuję jeszcze wciąż książki od autorów, zdarza się czasem, że coś otrzymam od wydawcy, ostatnio zaś pożyczył mi kilka tomików redaktor Giedroyc z prośbą o zbiorczą recenzję. Nie chciałbym poprzestawać na tych kilku zbiorach, ale dotarcie do całości „produkcji” poetyckiej w kraju i na emigracji okazuje się niemożliwe. Zwłaszcza w kraju powstał w tym względzie niesłuchany bałagan, zaś księgarnie, które w Warszawie ryzykują gromadzenie książki poetyckiej, policzyć można na palcach. Właściwie nigdzie — poza może pracowniami bibliograficznymi takich instytucji jak Biblioteka Narodowa — nie można dotrzeć do źródeł. Nie wiadomo kto, jak i gdzie wydaje. Oficyn namnożyło się sporo, działają dawne — państwowe i podziemne (dziś już normalne) wydawnictwa, autorzy (jak Tomasz Titkow) decydują się na publikowanie książek własnym sumptem: zamęt zrobił się niesłuchany, sieci kolportażowe tyle, co nie istnieją, ogarnięcie więc — co było moją ambicją — całości zjawiska jest niesłuchanie złożoną pracą, właściwie niewykonalną. Cóż — będę pisał o tym, co do mnie mimo tych rozlicznych przeszkód dotarło.

Ogólne wrażenie jest następujące: w tym chaosie wydawniczym daje się dostrzec dążenie do zaprezentowania poezji emigracyjnej, dotąd w kraju nieobecnej lub obecnej jedynie w przedrukach podziemnych, normalnie na rynku niedostępnej. Niektóre renomowane wydawnictwa — czy serie — nadrabiają obecnie zaległości: np. ukazał się wybór utworów poetyckich Stanisława Barańczaka w Bibliotece Poetów Ludowej Spółdzielni Wydawniczej („Bibliotekę Poetów — czytamy na okładce — można nabyć drogą prenumeraty”). Tego autora w zasadzie przedstawiać nie trzeba, jego dwa ostatnie tomy — „Atlantyda” oraz „Widokówka z tego świata”, oba wydane w oficynach emigracyjnych — zaświadczają nadchodzący przełom, eksponują przede wszystkim problematykę metafizyczną, przy czym daje się tu zauważyć powrót do poszukiwań formalnych, jakie przyświecały np. cyklowi „Sonety łamane” z debiutanckiej „Korekty twarzy”. To zderzenie wydaje się bardzo znaczące, oznacza — dla mnie przynajmniej — odzyskiwanie przez naszą (a przynajmniej Barańczaka — lecz chyba jednak można to przynajmniej częściowo uogólnić) lirykę kondycji poetyckiej właśnie. Zaczynam to omówienie od napomknięcia o utworach autora „Dziennika porannego” dlatego, że spod jego pióra wyszła ostatnio

jedyna właściwie książka, w której w ciągu ostatnich lat zarysowany został spójny program artystyczny — myślę o „Tablicy z Macondo”, niesłuchanie ważnym tomie esejów, który, po krótkim zamieszaniu, przypadł w chaosie naszego życia literackiego. Wypadnie doń niebawem znowu powrócić, gdy wszystko częściowo przynajmniej wróci do normy i będzie można naprawdę zrobić porządki w bibliotekach. Jedno z tej książki warto jednak już teraz wynotować, gdyż cały cytat ten ukazuje, iż epizod naszych dziejów poetyckich, który można by było nazwać ogólnie „poetyką opozycji”, stanowi przypadek szczególnie pewnej ogólnej filozofii poezji wyznawanej przez Barańczaka: „poezja to nic innego jak wyzwanie rzucone niesprawiedliwości wpisanej w prawa wszechświata — prawa, zależnie od wyznawanej przez nas filozofii, 'naturalne', 'naukowe' czy 'ustanowione przez Boga', ale zawsze sprzeczne lub rozbieżne z tym, czego oczekujemy od życia”. Wyzwanie to w przypadku twórczości Barańczaka przeformułowane zostaje na następującą zasadę: „Naczelna zasada poezji, cała ta paradoksalna zwięzłość produkująca wieloznaczność i wieloznaczność istniejąca na przekór zwięzłości, jest nie tylko środkiem samoobrony jednostki w zmaganiach z Nicością. Jest również poświadczeniem istnienia trzech zewnętrznych instancji, które to mają ze sobą wspólnego, że w walce z Nicością każda jest sprzymierzeńcem jednostki a zarazem ją przeraża. Te trzy obiekty odniesienia to Inni, Świat i Transcendencja”.

Warto, myślę, śledzić rozwój tej twórczości, choć przyznam, że w dużej mierze podejrzany mi się wydaje jej humanistyczny optymizm: przydałaby się tu szczypta sceptycyzmu i lęku. Tę odnajduję w wierszach autora, którego obecność w tym omówieniu wydać się może zaskakująca — myślę o najnowszym tomie Krzysztofa Gąsiorowskiego „Rękopisy nie płoną”. Przyznam, że przypadkowe odkrycie tego powielonego niemal konspiracyjnie w 99 egzemplarzach zbiorku szczerze mnie ubawiło: niedawno jeszcze na takie i tylko takie wydania (choć zapewne w wyższych nakładach) skazani byli ci, którzy bez wątpienia należeli do politycznych przeciwników tego autora, jednego z głównych działaczy ukradzionego środowisku w stanie wojennym ZLP. Zostawmy jednak politykę na boku i zajmijmy się poezją. Już poprzedni tom Gąsiorowskiego, „Z punktu widzenia UFO”, recenzowałem z przyjemnością, dostrzegając w nim ważną i korzystną dla liryki zmianę tonu. Obecnie ten trop w jego poezji jeszcze się utrwał, zaś sformułowanie mówiące, że „i w estetycznej strukturze bytu / zieją nieludzkie przepaście” oraz polemiki z tymi, co „wierzą w szczelność dobra” wydają się niesłuchanie ważne. W wierszu o „Ostatniej wieczery” Leonarda da Vinci pojawiająca się w obrazie nie przypisywana żadnej postaci ręka staje się pretekstem do opisanego wdzierania się owej Nicości, której przeciwstawia się Barańczak, w porządek bytu:

*Słynna, nieustająca „Ostatnia wieczera”, los,  
Eurydyka, Menady, Orfeusz rozszarpany... Budda; jedna  
z niezliczonych rąk nicości...*

Co ważne, nie ma w tym protestu, jest raczej pogodzenie się z istnieniem tego, co niewytłumaczalne, nie do odczytania i nie do opanowania nawet przez sztukę. Może przesadzam, lecz wydaje mi się, że właśnie w starciu tych dwóch postaw, w napięciu między nimi, odbywać się może prawdziwy poetycki dialog. I dobrze się dzieje, że podstawy do tego dialogu — właśnie poetyckie teksty — istnieją. (Bardzo polecam wiersz Gąsiorowskiego poświęcony Barbarze Sadowskiej „Zła noc”, jest tak samo poetycko nośny i głęboki jak niedawno przeczytany przeze mnie wiersz Różewicza — nie pamiętam gdzie publikowany i pod jakim tytułem — poświęcony Kornelowi Filipowiczowi).

Wydaje się, że warto w tym kontekście przypomnieć słowa Miłosza wypowiedziane kilkanaście lat temu w „Ziemi Ulro”, a które uświadamiają niejednoznaczność naszych — także poetyckich — poszukiwań:

„Żeby było nie najzupełniej dobrze, ale trochę lepiej: moja cywilizacja odnowiona nie uchroni człowieka od cierpienia i osobistych tragedii, od chorób i śmierci, nie wyzwoli go też spod twardego przymusu pracy. (...) Człowiek nie będzie wystawiony tak jak dzisiaj na zgiełk słów i obrazów, które wszystkie mają na celu zmusić go do myślenia w kategoriach ilościowych i do oglądania innych, także siebie, niby przez odwróconą lunetę (przez co we własnych oczach maleje nieomal do zera). Niektóre odkrycia zrobione dawno, ale albo zapomniane, albo odsunięte poza zakres praktyki, będą powszechnie przyjętą wiedzą: że niewola poczyna się nie tam gdzie jej przyczyn szukał wiek dwudziesty: że kłamstwo jako zasada między-ludzkich obcować ma głębsze korzenie niż tylko strach i żądza władzy; że rewolta ludzi przeciwko warunkom życia uznanym przez nich za nieludzkie kryła w sobie dążenia, które tylko z pozoru otrzymały nazwę w hasłach dyktatorów i demagogicznych trybunów”.

Przytaczam te słowa, by wskazać, że istnieje oczywiście możliwość pogodzenia obu przed chwilą zarysowanych postaw: optymizmu twórczego i twórczej rezygnacji, wyzwania i pogodzenia. I być może to „nie najzupełniej dobrze ale trochę lepiej”, trudna perspektywa świadomości ograniczeń, które jednak trzeba przekraczać, jest formułą nadrzędną, choć nie dla każdego do przyjęcia. Cóż jest zresztą naprawdę do przyjęcia przez wszystkich?

Z jednego należy się cieszyć: przestaliśmy żyć pod presją, która wymuszała na poetach manifestację nieznośnej już wprost szlachetności. Zaczynają się liczyć wartości. Teksty, nie życiorysy. Wiersze, nie okoliczności ich pisania. To ważne. I ważne jest też co innego — coraz częstsze wykraczanie poezji poza sferę, którą Miłosz nazywa „rzeczywistością obiektywną”. Raz jeszcze cytat:

„Nie ma żadnej rzeczywistości obiektywnej. Wobec tego język staje się właściwie wszystkim. Ja muszę przeciwstawić temu moje staroświeckie rozumienie rzeczywistości obiektywnej. To sięga dość głęboko w mój światopogląd. Wierzę, że istnieje rzeczywistość obiektywna i że sztuka polega na kontakcie z obiektywną rzeczywistością. Na próbie uchwylenia jej”.

Rozumiem, oczywiście, polemiczny sens tej wypowiedzi Miłosza, szczególnie jej zwrócenie się przeciw redukcji świata do języka. Mamy tu jakby współczesną wersję starcia między nominalizmem i realizmem, starcia jednak w istocie nie do rozstrzygnięcia. I choć szanuję ową wiarę w rzeczywistość obiektywną, i choć nie jestem w stanie jej odrzucić, to przecież współczesne odkrycia poezji nazywanej dziwacznie „lingwistyczną” (na utarte nazwy nie ma lekarstwa) wydają się bardzo istotne, otwierają nowe perspektywy. Czy to będzie kolejna próba Tymoteusza Karpowicza w „Rozwiązaniu przestrzeni” (fragmenty poematu drukowane były w berlińskim *Archipelagu* oraz w osobnym zbiorku w kraju), czy inne tego rodzaju poszukiwania (choćby „gry językowe” przypominającego „Teatrzyk Zielonej Gęsi” „Kabaretu Kici Koci” Mirona Białoszewskiego), zawsze mamy tu do czynienia z rozpoznawaniem ludzkiego świata (a to pojęcie jest chyba bardziej pojemne niż owa „obiektywna rzeczywistość” Miłosza).

Do tego ludzkiego świata, który rozpoznaje i nazywa sztuka, należy też wymiar transcendencji. Tu też właśnie w ostatnich latach nastąpiło znaczące poszerzenie pola obserwacji poetyckiej w nurcie, który nazywany bywa liryką religijną. Pomieścić tu należy przede wszystkim niezrównane wiersze Jana Twardowskiego, poety zepchniętego u nas na margines życia literackiego (tomy „Tak ludzka” oraz „Stukam do nieba”), ale także wiersze innych piszących księży — Jana Pasierba („Wiersze wybrane”), Wacława Oszajcy („Mnie się nie lękaj”), Tadeusza Chabrowskiego („Madonny”) czy Jana Sochonia („Uroczyście przemija postać świata”, „Nie dzieje się nic szalonego”), zapewne mniej znaczące, niemniej wyznaczające dziś obecny nurt liryki polskiej. W tym też nurcie pomieścić należy późne wiersze Mieczysława Jastruna, poety, który dopiero czeka na pełne omówienie, a którego wzlot u schyłku życia jest zjawiskiem najwyższej rangi. Tu wreszcie odnajdujemy wiele wierszy poetów młodszych — z jednej strony Barańczaka (przede wszystkim z „Widokówki”, ale także wcześniej, choćby w głośnym poemacie „Sztuczne oddychanie”), z drugiej Piotra Matywieckiego (tom „Światło jednomyślne”) oraz Marianny Bocian (zbiór „Z czasu jedni: jest JESTES jestem”). Poetów podejmujących ten właśnie trop można wskazać wielu — czy to Annę Frajlich (wiersz publikowany w „Potopie”), czy Jana Polkowskiego, by przy tych tylko nazwiskach pozostać. Z pewnością nie jest to nurt dominujący, jednakże wydaje się, że właśnie w chwili obecnej te poszukiwania oznaczające dążenie do wyjścia poza ograniczenia poznawcze, jakie narzuca redukcja rzeczywistości wyłącznie do jej wymiaru materialnego, doczesnego. Niestety, niezauważona przeszła wydana przez wydawnictwo Przeglądu Powszechnego trzytomowa antologia polskiej liryki religijnej „każdej nocy, każdego dnia” zredagowana jeszcze przez Bogdana Ostromeckiego, poetę, o którym już niemal zapomniano. Z kolei skandalem wydawniczym okazała się inna tego rodzaju próba. Antologia Wydawnictwa Archidiecezji Warszawskiej „Spa-

lony raj” (pisałem o niej przy innej okazji).

Warto też w tym kontekście zwrócić uwagę na fakt o bardzo doniosłym znaczeniu. Otóż wraz z zachodzącymi w Polsce przemianami otwiera się nowa perspektywa odczytywania znaczeń poezji dotąd powstającej. Jestem pewien, że właśnie teraz nadszedł czas reinterpretacji tej poezji, którą zredukowano wyłącznie do jej funkcji politycznych. Sądzę, że to np. bardzo dobra pora dla liryki Nowej Fali, której interpretowanie „przez życiorysy” autorów niezwykle zaszkodziło. Myślę, że dopiero teraz będzie można naprawdę dostrzec wartości estetyczne oraz wszelkie metafizyczne odniesienia tej poezji, odrzucić zastępczą etykietkę „poetyki nowofalowej”, którą przyklejano potem tak różnym jak Ewa Lipska, Ryszard Krynicki, Krzysztof Karasek (po słabiutkim zbiorze „Świerszcze” opublikował ostatnio interesującą „Lekcję biologii”) czy Adam Zagajewski. Z tego punktu widzenia raczej niedźwiedzią przysługę wyrządził tej poezji Dariusz Pawelec publikując bardzo jednostronnie dobrane wiersze w antologii „Powiedz prawdę”. To także czas dostrzeżenia rzeczywistej, a nie zredukowanej do „politycznego manifestu”, wartości pisarstwa Antoniego Pawłaka: jest po temu okazja, gdyż właśnie ukazały się dwa nowe jego tomy — wybór z dawnych wierszy pod podyktowanym przez wydawnictwo „chodliwym” tytułem „Długie noże, krótkie sukienki” i świetny zbiór „Kilka słów o strachu”, tom o sporym ładunku gorzkiej ironii. Ponownego odczytania wymaga też twórczość innego, raczej nie dostrzeżanego dotąd poety — Piotra Sommera — jego tom „Czynnik liryczny” to zbiór po prostu świetny.

Do głosu zaczyna wreszcie dochodzić środowisko skupione głównie wokół podziemnego *brulionu* (Krzysztof Koehler „Wiersze”, Marcin Baran „Pomieszenie”, Marcin Świetlicki, Manuela Gretkowska — by pozostać przy kilku nazwiskach), ale także i spoza niego. Tak się złożyło, że lata osiemdziesiąte debiutom nie sprzyjały. Warto jednak wspomnieć o kilku wyróżniających się — przede wszystkim o Zbigniewie Macheju, Waldemarze Żelaznym (ostatnio bardzo interesujący cykl wierszy na łamach *Res Publici*) oraz Kazimierzu Brakonieckim (debiut w 1985, ostatnio zbiór „Idee”). Zwłaszcza ostatni z tych autorów wydaje mi się interesujący, gdyż — poza właściwą nieomal wszystkim debiutom wysoką sprawnością warsztatową — stawia ważne pytania dotyczące regionalnej tożsamości, można nawet powiedzieć, że przeformułowie wpisany w zapis Erwina Kruka los Warmii i Mazur. Te trzy debiuty (Żelazny wydał wcześniej szczupły arkuusz poetycki) przeszły prawie niezauważone z tego chyba powodu, że miały miejsce w wydawnictwach państwowych i w czasie, który praktycznie niemal zlikwidował normalną działalność recenzencką.

Zabierałem się do tego artykułu wierząc, że uda mi się jakoś

uporządkować to, co się działo i dzieje w naszej poezji ostatniej dekady. Myślę, że zamiar przerósł możliwości. Chcę jedynie zaszyfrować kilka podstawowych problemów, wskazać kilka nazwisk, które zwróciły moją uwagę. Jedno nie ulega wątpliwości: uporządkowanie chaosu, jaki powstał, wymaga obecnie rzetelnej i systematycznej pracy krytycznej. Pierwsze próby zostały już podjęte — choćby w szkicach Balcerzana i Stali na łamach *Tekstów Drugich*. Głosy to tyleż ważne — zwłaszcza w opisie młodej poezji — co dyskusyjne.

Jest wiele zjawisk w naszej poezji najnowszej, które wymagają namysłu i podjęcia rzetelnej analizy. O wadze poezji Mieczysława Jastruna już tu wspominałem. Niesłuchanie ważne wydaje mi się odczytanie najnowszych tomów Czesława Miłosza, szczególnie zbioru „Nieobjęta ziemia”, w którym jest kilka kapitalnych, a zarazem budzących zmysł polemiczny uwag na temat formalnej niezborności polskiego języka poetyckiego: nie wykluczam, że te refleksje są efektem jego wspaniałej pracy translatorskiej — chodzi mi oczywiście o ponowienie przekładu Pisma Świętego, wydarzenie to też miało znikomy oddźwięk. Trzeba się też będzie uważnie przyjrzeć twórczości poetyckiej Aleksandra Wata, poety w gruncie rzeczy niedoczytanego w Polsce. Na nowo zapewne przyjdzie określić pozycję, bardzo wysoką, Tadeusza Różewicza (o którym — o czym przykro mówić — bardzo płytką i niedobrą książkę opublikował ostatnio Tadeusz Drewnowski), konieczna jest pogłębiona analiza dorobku Wisławy Szymborskiej oraz Jana Twardowskiego. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że właśnie teraz — i chyba niezależnie od rytmu wydarzeń historycznych — nadeszła pora na pytania o hierarchie, czas robienia porządków w bibliotece. Zmiana tonu, jak się zdaje, nastąpiła w połowie lat osiemdziesiątych. Wpłynęło na to kilka czynników na raz. Jednym z nich była niewątpliwie zmiana poezji emigracyjnej na skutek napływu nowych poetów. Innym stała się ożywiona działalność translatorska: przekład ksiąg Pisma dokonany przez Miłosza, prezentacja metafizyków angielskich w tłumaczeniach Barańczaka — to tylko dwa, najbardziej rzucające się w oczy, przykłady. Kolejny czynnik to swoiste zmęczenie atmosferą „opozycyjności literatury”. I wreszcie nie bez znaczenia staje się pojawienie nowej fali debiutantów — choć opublikowany w *brulionie* zestaw wypowiedzi zatytułowany „Nowi Skamandrycy?” to bez wątplenia deklaracja mocno naddająca wartości tym poezjom.

Jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości: mamy do czynienia z niezwykle ożywieniem poetyckim przy jednoczesnym braku zjawisk tak zaskakujących jak pojawienie się Skamandrytów, debiuty „pokolenia 56” czy twórczość „pokolenia 68”. Czy jednak rzeczywiście należy w poezji poszukiwać „nowości”, czy nie jest ten postulat swoistym fetyszem krytycznoliterackim, czy nie jest odpryskiem filozofii „postępowości”? Czy znów musimy czekać na barbarzyńców, czy może należy wiązać nadzieje z tym nurtem, jaki z uporem od lat usiłuje w poezji polskiej wykreować Ryszard Przy-

bylski pisząc o „klasycyzmie”? Być może jest pora zastąpienia pozornego dualizmu „klasycyzm-romantyzm” przez przeciwstawienie zgoła inne, ale chyba bliższe istocie rzeczy — właśnie „klasycyzm-barbarzyństwo”, przy czym „barbarzyństwo” to hołdowanie czemuś, co kiedyś Leszek Kotakowski określił jako „mentalność rewolucyjną”. Żyjemy wciąż pod presją takiego właśnie oczekiwania na rewolucję. Także w poezji. A może po prostu zamiast kolejnej rewolty potrzebny jest nam wysiłek określenia miejsca, w jakim się znaleźliśmy? Może po prostu trzeba zacząć porządkować...

Leszek SZARUGA

## Koronny dowód

Arkady Waksberg, prawnik i jeden z najpopularniejszych sowieckich dziennikarzy, napisał biografię Andrieja Wyszyńskiego. Ukazała się ona we Francji pod tytułem „Wyszyński — prokurator Stalina. Wielkie procesy moskiewskie\*”. Autor chciał zatytułować książkę „Zeznania — koronnym dowodem”, bo ta zasada legła u podstaw sporządzonej przez Wyszyńskiego sowieckiej teorii prawa. Pierwotny tytuł podoba mi się bardziej aniżeli ostateczny, bo zawiera istotę „naukowego socjalizmu”. Istnieje teoria naukowa, a więc nie tylko można, ale wręcz trzeba katować więźniów, aby ich zeznania potwierdziły słuszność teorii.

Książka Waksberga nie cieszy się we Francji powodzeniem; o ile wiem, nie zdobyła sobie poczytności także w Anglii, gdzie ukazała się niemal równocześnie. Sądząc po innych książkach o przeszłości, jest mało prawdopodobne, by spotkał ją lepszy los w ojczyźnie autora i bohatera książki. Ludzie są przesyćeni informacją i przestali się nią interesować. Wydaje mi się, że podobne zjawisko ma miejsce i w Polsce. Kwestia zasługuje na uwagę, bo w Jugosławii dzieje się coś dokładnie odwrotnego: dzień wczorajszy, lata wojny, nabrały rumieńców życia i za ich sprawą leje się krew, bardziej niż za sprawą dnia dzisiejszego.

Wróćmy jednak do Andrieja Januarewicza Wyszyńskiego. Urodził się — tak standardowo zaczyna się biografia — 10 grudnia 1883 roku w Odessie w rodzinie Polaka, właściciela apteki. Następnie rodzina przeniosła się do Baku. Tu właśnie wszystko się zaczęło. Andriej włączył się do działań rewolucyjnych i w styczniu

\* Arcadi Vaksberg, *Vyshinski — le procureur de Staline. Les grands procès de Moscou*. Albin Michel. 1991.

1906 r. trafił do więzienia. Waksberg znalazł dojscie do nieznanych przedtem dokumentów i wyszperał w archiwach trzy autobiografie swojego bohatera, pełne niezgodności i zagadek, których na razie nie sposób wyjaśnić. Są to jednak pytania dla historyków. Najważniejsze było to, że w bakuńskim więzieniu przyszły prokurator spotkał współwięźnia nazwiskiem Gaios Nidżaradze. Towarzysze nazywali go Koba, zaś naprawdę nazywał się Josif Wissarionowicz Dżugaszwili. W ten sposób zetknęli się po raz pierwszy przyszły wódz i przyszły prokurator. Osobista znajomość ze Stalinem mogła ułatwić karierę, mogła też bardzo zaszkodzić. Obowiązywała żelazna zasada: aresztowanie i egzekucja osobistych znajomych Stalina wymagały osobistej zgody Stalina. Jak dobrze wiadomo, Stalin udzielał jej ochoczo: stracono tysiące bolszewików, których przyszły Gospodarz znał z lat nielegalności, rewolucji i wojny domowej. Kryterium było jedno: bezwarunkowe, psie oddanie. Chruszczow mówił, że Stalin nikomu nie ufał, sam sobie nie ufał. Z tym można się zgodzić, wypada jednak dodać, że nie ufając nikomu, trzymał przy sobie tych, których uważał za wierne sługi, zwłaszcza jeśli znał ich grzechy i mógł je — do czasu — wybaczać.

Andriej Wyszyński miał grzech na sumieniu. Był kiedyś mieniszewikiem. Mało tego — w chaotycznych dniach po rewolucji lutowej Wyszyński, naczelnik rejonowego oddziału milicji w Piotrogradzie, podpisał (ach, jakże tego przez całe życie żałował!) rozkaz aresztowania przywódcy bolszewików, Uljanowa-Lenina. Arkady Waksberg uważa, że najmądrzejszy postępek swego życia Wyszyński wykonał w 1918 r., kiedy już po zdobyciu władzy przez bolszewików stary znajomy z Baku przedstawił mu jednego z wodzów rewolucji, narkoma narodowości, towarzysza Stalina. Wyszyński nie dał po sobie poznać, że go już kiedyś spotkał! Mienszewik, który polował na Lenina, dostał niezbyt eksponowane, ale ważne stanowisko, powierzono mu mianowicie dystrybucję żywności w republice. W 1920 r., niezbyt szybko, ale i bez zbytniego ociągania, Wyszyński wstąpił do partii bolszewików, z rekomendacji Stalina. Droga na szczyt stała otworem.

Zbrojny w legitymację partyjną Wyszyński przypomina, że rozdział żywności, choć potrzebny, nie jest jego specjalnością. Ma dyplom prawnika, wydany jeszcze za przekłętą ręką, tzn. prawniczy. Zawodowych prawników było wśród bolszewików niewiele, a potrzebowano ich, skoro przystępowano do budowy państwa szczególnego typu, opartego na „prawie socjalistycznym”. Prawo to wydawało się bolszewikom absolutnie niezbędne, chociaż nie bardzo wiedzieli, na czym ma polegać. W ten sposób właściwy człowiek trafił na właściwe miejsce. Wyszyński został w 1921 r. przewodniczącym kolegium moskiewskich adwokatów. Po kilku miesiącach zrozumiał jednak, że jego powołaniem nie jest adwokatura (którą zaczęto z sowiecka nazywać „obroną”), lecz prokuratura, tzn. oskarżanie. Młody prokurator został równocześnie profesorem (!) prawa na uniwersytecie.

Kariera Wyszyńskiego rozwijała się doskonale od procesu do procesu. Był prezesem sądu na pierwszym ze sławnych moskiewskich procesów, procesie szachtyńskim w 1928 roku. I na drugim — sprawa tzw. prompartii — w roku 1930. Oba te procesy, oparte na wymuszonych torturami zeznaniach, były od a do z sfabrykowane. W uznaniu zasług Wyszyński został w 1931 generalnym prokuratorem RSFSR. Kierownictwo było z niego zadowolone. W 1935 r., wkrótce po zabójstwie Kirowa, Stalin stworzył tajną specjalną komisję do sprawy „czystki” całej ludności kraju. Obok wodza, Jeżowa, Żdanowa, Malenkowa i Szkiriatowa zasiadał w niej też Wyszyński. Przyznano mu stanowisko generalnego prokuratora ZSSR. Lata 1936, 1937, 1938 to daty wielkich procesów moskiewskich, na których „sądzono” leninowską gwardię starych bolszewików. Andriej Wyszyński zdobywa światową sławę: jego histeryczne, pełne grubiańskich wyzwisk i obelg pod adresem bezbronnych podsądnych mowy znajdują uznanie całej postępowej ludzkości. Generalny prokurator umiejętnie wykorzystuje kontrast między swoją inteligencją, profesorską powierzchownością a rynsztokowym językiem, którym chłoszcze podsądnych. Hitlerowski prokurator Roland Freisler do pięt nie dorastał mistrzowi Wyszyńskiemu.

Wyszyński odznaczał się niestychaną pracowitością. Mowy oskarżycielskie, kontrola nad przesłuchaniami, którym nieodmiennie towarzyszyły tortury, tysiące więźniów nie przeszkodziły kierownikowi sowieckiego „frontu prawa” pisać niezliczonych artykułów na tematy „prawa”, podręczników dla przyszłych prokuratorów i sędziów, wygłaszać referatów na różne tematy „kulturalne”. Jego trud nie poszedł na marne: Andriej Wyszyński został członkiem Akademii Nauk ZSSR.

Tak zaczęła się druga kariera stalinowskiego prokuratora. 1-go czerwca 1939 r. Wyszyńskiego mianowano zastępcą przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych do spraw nauki i kultury. Kieruje „frontem kultury” i pisze swoją „Teorię dowodów sądowych w sowieckim prawie”, gdzie dowodzi bez cienia wątpliwości, że zeznania oskarżonych są koronnym dowodem. Były prokurator nie przestanie interesować się „kulturą”, ale już głównie prywatnie. W 1940 r. Stalin posyła wiernego sługę na front dyplomatyczny: Wyszyński zostaje pierwszym zastępcą ludowego komisarza spraw zagranicznych, od 1949 do 1953 roku będzie ministrem spraw zagranicznych, a do swojej śmierci w listopadzie 1954 stałym przedstawicielem ZSSR w Radzie Bezpieczeństwa.

Do dyplomacji — a była to sowiecka dyplomacja — Andriej Wyszyński wniósł właściwą mu kombinację inteligentnej ogłady i bezprzykładnego okrucieństwa. Na początku wojny miał do czynienia z zachodnimi dyplomatami, których równocześnie czarował i przerażał; kiedy armia sowiecka przekroczyła granice i zaczęła budować „obóz socjalistyczny”, Wyszyński został wysłannikiem Stalina, m.in. w Rumunii. Jego przemówienia w ONZ żywo przypominały oskarżycielskie filipiki z lat 30-tych. Tym razem stalinowski

prokurator, nie przebierając w słowach, rugał zachodnich imperialistów.

Arkady Waksberg napisał biografię jednego z największych zbrodniarzy naszego wieku, starając się nie oceniać jego postępów. Opierając się na dokumentach, biograf przytacza fakty. Wystarczająco one dla zrozumienia, kim był człowiek, który stał się nożem w rękach Stalina. Cytowane listy i wypowiedzi Wyszyńskiego przekonująco pokazują, że prokurator a następnie dyplomata nie znał wyrzutów sumienia. Wiedział, że wszystko co robi jest dobre, bo jest potrzebne Stalinowi, a tym samym także jemu, Wyszyńskiemu. Był to człowiek bez wstydu, bez sumienia, bez czci. Idealny sługa jednego z najstraszniejszych przestępców w dziejach ludzkości.

Michał HELLER

## Nadesłane nowości wydawnicze

- CYGNAROWSKI (Stanisław Z.). *Cudzymi słowami*. Str. 36. (Wyd. OPiM, Londyn 1991).
- BEREŚ (Stanisław). *Historia nie byle jaka o dziejach dzielnego chłuptaka*. Str. 64. (Wyd. Aneks, Londyn 1991).
- BRANDYS (Kazimierz). *Charaktery i pisma*. Str. 153 i 5 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1991, cena £5, \$11).
- Konstytucja 3 Maja 1791 w tradycji Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu w latach 1832-1861. Obchody — mowy — relacje*. Str. 256. (Wyd. Biblioteka Polska w Paryżu, 1991).
- OBERTYŃSKA (Beata). *W domu niewoli*. Str. 356 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1991).
- PRUSZYŃSKI (Ksawery). *Palestyna po raz trzeci*. Fotooffsetowa odbitka wydania z 1933 r. (Wyd. Alfa, Warszawa 1991).
- SKARGA (Barbara). *Po wyzwoleniu... 1944-1956*. Str. 236 i 4 nlb. (Wyd. „W drodze”, Poznań 1990).
- Nad twórczością Józefa Mackiewicza*. Szkice pod redakcją Marka Zybory. Str. 176. (Wyd. „Baza”, Warszawa 1990).
- Gombrowicz filozof*. Wybór i opracowanie Francesco M. Cataluccio i Jerzy Illg. Str. 254 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- WEIL (Simone). *Wybór pism*. Przekład i opracowanie Czesław Miłosz. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1991).
- ABRAMOW-NEWERLY (Jarosław). *Pan Zdych w Kanadzie*. Str. 382 i 2 nlb. (Wyd. Polonia, Warszawa 1991).
- Colloquium narodów. Materiały z sympozjum „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy — przesłanki pojednania”*. Łódź, październik 1987. Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Wacław Bierkowski, Łódź 1991).
- ŻDŹARSKI (Jan). *Z orłem i z krzyżem. Duszpasterskie podróże Prymasa Polski*. Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1991).
- ZAWADZKA (Anna), ROSSMAN (Jan). *Tadeusz Zawadzki „Zośka”*. Str. 285 i 3 nlb. (Wyd. Ofi-

---

---

## FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

prowadzi na terenie Polski sprzedaż książek INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

Sprzedaż obejmuje pozycje z katalogu „BIBLIOTEKI KULTURY”.

Ceny książek w złotówkach w przeliczeniu FFr. 1,00 = zł. 500,00.

Adres FUNDACJI:

00-524 WARSZAWA

ul. Marszałkowska 74

tel. 21 70 75

FUNDACJA zamierza w najbliższym czasie otworzyć salon książki z pierwszym w Polsce firmowym stoiskiem INSTYTUTU LITERACKIEGO w PARYŻU.

---

---

## ZESZYTY HISTORYCZNE

Kwartalnik pod redakcją Jerzego Giedroycia wydawany od 1962 r. przez INSTYTUT LITERACKI w PARYŻU, przedrukowywany w drugim obiegu, nareszcie ukazuje się oficjalnie w Polsce. Wydawcą edycji krajowej ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH jest WYDAWNICTWO PoMOST, spółka z o.o.

Cena prenumeraty czterech numerów kwartalnika:  
93/1990, 94/1990, 95/1991, 96/1991 wynosi zł. 50.000.

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Wydawnictwo PoMOST, spółka z o.o.

PBK III O. w Warszawie, nr 370015-973548-136

z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

---

---

## PRENUMERATA „KULTURY” W POLSCE

Krajowe wydanie *Kultury* można zamawiać w prenumeracie w

FUNDACJI WSPIERANIA EDYTORSTWA  
I CZASOPISMIENICTWA W POLSCE „MYŚL”:

00-873 WARSZAWA

ul. Ogrodowa 51 (IV p.)

tel. 24 39 91 lub 24 91 71

Cena prenumeraty rocznej zł 100.000 (wraz z przesyłką);  
cena jednego egzemplarza zł 10.000

---

---

---

---

## Wolna trybuna

### Dialog polsko-rosyjski

Zmiany polityczne w Europie Wschodniej i w Związku Sowieckim uaktualniły temat-bolączkę: sprawę stosunków pomiędzy Rosjanami i nie-Rosjanami w sowieckim imperium. W dyskusjach często dotyka się tu podtematu, który jest otwartą raną dla wielu Polaków: czy Rosjanie są odpowiedzialni za zbrodnie stalinowskie i post-stalinowskie, czy też należy ich uznać za największą i najbardziej pokrzywdzoną ofiarę tychże stalinowskich i poststalinowskich opresorów? I wreszcie, czy cały ten okres przynosi komukolwiek jakiegokolwiek korzyści?

Jak wiadomo, są na te pytania odpowiedzi poprawne i niepoprawne. Do pierwszych należy nawoływanie, *à la* Gustaw Herling-Grudziński w czerwcowym numerze *Kultury* i Władimir Maksimow w numerze majowym (nie mówiąc już o Solżenicynie) do zaniechania absurdalnych pretensji do Rosjan, bo oni też cierpieli etc. Jak powiedział wiele razy Solżenicyn, Rosjanie byli, i być może jeszcze są, najbardziej wystawieni na batogi komunizmu, gdyż komunizm zagnieździł się właśnie w Rosji, miał najbliżej do Rosjan — i ich przede wszystkim katował. Na poparcie tej tezy można przytoczyć szereg liczb, świadczących np. że na każdego Bałta, który zginął na Syberii, przypada paru Rosjan, którzy również tam zginęli (choć procentowo nieco inaczej sprawa wygląda). Najdżiksze czystki miały miejsce w Rosji. Rosjanie stracili najznaczniejszy chyba procent swoich klas wykształconych. Herling-Grudziński przypomina o „świadomości wspólnego cierpienia”, z którego ma się narodzić „wspólna nadzieja”. Cytuje on Władysława Piecucha: „jeśli ktoś najbardziej naciерpiał się od Rosji, to właśnie naród rosyjski”.

Wydaje mi się, że tego rodzaju stawianie sprawy jest wprowadzaniem mętliku pojęciowego do historycznej i politycznej dyskusji. Bowiern kategorie myślowe, którymi operują rozmówcy, należą do sfery moralności religijnej, tzn. moralności

absolutnej i ponadczasowej, a nie do sfery polityki czy historii. Cierpienie w ogóle, a jego ilość i znaczenie w szczególności, nie jest kategorią, którą można się posługiwać w dyskusji że tak powiem świeckiej. Publiczna licytacja cierpień pachnie nieco hipokryzją, bo któż może dokładnie wyważyć te sprawy, odebrać jednemu, dodać drugiemu? Co, kto i ile cierpiał jest sprawą, o której autorytatywnie może zaopiniować jedynie Bóg albo być może niektórzy jego święci. Na pewno zdanie sobie sprawy, że Rosjanie też cierpieli, i to bardzo, jest zasadniczym elementem prywatnego uporządkowania sobie problemu stosunku do Rosjan. Ale w dyskusji o sprawach historycznych, o tym, jakie są długofalowe rezultaty istnienia państwa sowieckiego i czego można oczekiwać od jego spadkobierców, przypominać, że wszyscy zostali pokrzywdzeni, jest nie na miejscu.

Ocenę tych spraw należałoby oprzeć na kategoriach pojęciowych, używanych przez historyków, a nie przez moralistów. Jeżeli spojrzymy na sprawę w ten sposób, okaże się, że komunizm był największym katem, ale i największym dobroczyncą narodu rosyjskiego. Dlaczego? Bo właśnie Lenin, Stalin i Breżniew uczynili z Rosji potęgę międzynarodową, potęgę, której bali się i przed którą płaszczyli się najwięksi mężowie stanu na Zachodzie, i która zaowocowała sporymi możliwościami dla rosyjskich elit. Percepcja Związku Sowieckiego jako Rosji jest powszechna na Zachodzie i przynosi ona Rosji nie tylko kłopoty, ale i znaczne korzyści. Owocuje szacunkiem dla rosyjskiej racji stanu, faworyzowaniem rosyjskiej kultury, chęcią podtrzymywania stosunków gospodarczych, naukowych i turystycznych z państwem, którego językiem urzędowym jest język rosyjski. Zachęcanie nie-Rosjan, aby zapominali o tych korzyściach mocarstwowości, których Rosjanie byli i są jedynymi beneficjentami w imperium sowieckim, jest dla nie-Rosjan bardzo niekorzystne.

Że Związek Sowiecki jest potężniejszy militarnie niż państwo carów, nie podlega chyba dyskusji. O różnicy decyduje tu nie tylko broń nuklearna, ale olbrzymia rozbudowa przemysłu zbrojeniowego, fantastycznie wysoka coroczna produkcja czołgów etc. W połowie 19-go wieku, w wojnie krymskiej zwyciężyła sama właściwie Anglia, z minimalną pomocą aliantów, podczas gdy w okresie ostatnich 40-tu lat Anglia nie odważyłaby się już rozpocząć wojny z Rosją. To samo można powiedzieć o Japonii.

Powiecie: co z tego? Ależ bardzo dużo z tego. Potęga militarna danego kraju owocuje awansem międzynarodowym wielu jego obywateli, możliwościami rozwoju dla elit, o których elity innych, słabszych krajów nie mogą nawet marzyć, korzyściami dla kultury dzięki jej popularyzacji i możliwości kontaktów, otwarciem trybuny międzynarodowej dla artystów i pisarzy

zwycięskiego kraju, absorpcją pewnego procentu ludności podbitych krajów (że wspomnę tu tylko poetkę polskiego pochodzenia, Irinę Ratuszyńską). To prawda, że wszystkie te rzeczy dostarczają większości rosyjskich obywateli jedynie papierowej dumy. Ale historia jak wiadomo jest historią elit, i im większe i bardziej widoczne są elity, tym więcej, w kategoriach historycznych i na dłuższą metę zyskuje dana grupa narodowościowo-językowa. Mówimy tu o obecności historycznej narodu na arenie międzynarodowej, o pozostawaniu tego narodu w pamięci innych, o konsolidacji narodowej świadomości. Nawet ci, którzy osobiście i bezpośrednio nic z tego wywyższania rosyjskich elit nie zyskiwali, mogli z dumą (która jak wiadomo jest źródłem energii) wskazywać na osiągnięcia swego narodu... podczas gdy ci podbici musieli wychowywać swoje dzieci w atmosferze lekceważenia czy nawet pogardy.

To nie są sprawy błahe. Pomnożone przez tysiące przeliczników, stanowią one o korzyściach narodu, który zdołał narzucić swój język całemu imperium, i innych, podbitych narodów.

Jak dobrze wie wielu polskich, czeskich, litewskich, ukraińskich i innych nie-rosyjskich intelektualistów, te sprawy wiążą się z osobistymi losami setek i tysięcy wykształconych ludzi z Europy Wschodniej i Związku Sowieckiego. Na kilka lat przed śmiercią Andrzej Kijowski powiedział mi, że musi się z Polski wyrwać, musi wyjechać, bo się po prostu dusi. Niedawno pewna osoba z Litwy zaapelowała do mnie o pomoc w zorganizowaniu czasowego wyjazdu za granicę. Niestety nie udało mi się uzyskać dla nich stypendium w USA. Przyczyna? Jeden był Polakiem, a drugi Litwinem. Skromne zapotrzebowanie na Polaków na amerykańskich uniwersytetach już dawno zostało nasycone, a kogo by tam interesowała litewska literatura! Z drugiej strony, gdy kilka lat temu organizowałam konferencję naukową i zwróciłam się do pewnej fundacji amerykańskiej z prośbą o sfinansowanie przyjazdu rosyjskiego intelektualisty Dimitrija Ligaczowa, natychmiast otrzymałam odpowiedź pozytywną. Przyczyna? Ligaczow reprezentował potężny naród, naród, który się liczy (w świadomości amerykańskiej), kulturę, na którą istnieje społeczne zapotrzebowanie.

Gdy po drugiej wojnie światowej nikomu nieznanemu rosyjskiemu pisarzowi Władimir Nabokow wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, znalazł on pracę jako — oczywiście — nauczyciel języka rosyjskiego i literatury rosyjskiej. Setki, jeżeli nie tysiące literaturonawców i pisarzy rosyjskich też w ten sposób pobierały i pobierają procent z kapitału rosyjskiej potęgi. To są wszystkie korzyści z imperium i udawanie, że one nie istnieją, że wszystko sprowadza się do „wspólnego cierpienia”, pachnie świętoszkowatością.



Cała armia ambasadorów kultury rosyjskiej wykształciła już pokązną liczbę rodzimych (tzn. amerykańskich) specjalistów od Czechowa, Tolstoja, Dostojewskiego, od Moskwy i Leningradu, od Malewicza i Niżyńskiego (którzy w świadomości amerykańskiej istnieją jako Rosjanie). Ale co to ma wspólnego z imperium, powiecie. Otóż ma, bo w poindustrialnym świecie, w wymiarze historycznym, liczy się *obecność*, liczy się dotarcie ze *swoją* informacją do świata. Dzięki, powtarzam, rakietom Breżniewa i zbrodniczej chytróści Stalina Rosja zdobyła sobie miejsce w świadomości Amerykanów, Anglików, Niemców. W ten sposób powstał kapitał, z którego korzystają chcąc nie chcąc nawet najzaciętsi wrogowie komunizmu. Na kulturę rosyjską jest już od paru pokoleń moda, język rosyjski, który za czasów carskich znali jedynie emigranci i kilku dziwaków, teraz jest wykładany w tysiącach szkół. Trzeciorzędni pisarze rosyjscy, tacy jak Jurij Trifonow czy Anatolij Rybakow, są tłumaczeni, dyskutowani, stawiani na piedestał. W ten sposób i oni, i Rosja stają się częścią historii, motorem dalszego zainteresowania się narodem rosyjskim, gwarancją, że na Maszę i Iwana długo jeszcze będzie zapotrzebowanie.

Rosja stała się supermocarstwem dzięki komisarzom, a nie dzięki carom. To Stalinowi, a nie Mikołajowi II zawdzięczają Rosjanie swoją *visibility* w świecie. Za carów Rosja była kolosem o glinianych nogach. Owszem, była dużym i silnym państwem (o tym też można długo), ale nie była supermocarstwem, nie miała szans grożenia światu. Nawet nie śmiała zmusić swoich muzulmańskich poddanych do zmiany swego alfabetu na cyrylicę (stało się to za Stalina). Literatura rosyjska nie była lepiej znana od literatury np. polskiej (a teraz!). Na początku tego stulecia rosyjscy historycy mieli minimalny wpływ na kształtowanie się światowej percepcji historii Europy Wschodniej, podczas gdy obecnie mają na to wpływ duży, jeśli nie decydujący (dla przykładu proszę spojrzeć na wiosenny numer amerykańskiego kwartalnika slawistycznego, *Slavic Review* z 1991 roku). To dzięki partii komunistycznej, która rządzi Rosją od 1917 r., tysiące Rosjan ma dostęp do zachodniej technologii, mogą prowadzić kosztowne badania naukowe (na które naukowców np. Polski czy Węgier nie stać, nie mówiąc już o Litwie czy Gruzji).

Dlatego trudno mi nie widzieć hipokryzji w pisarstwie tych Rosjan, którzy zachęcają nas do pamiętania o wspólnocie cierpień, wiedząc jednocześnie, że swój, jakkolwiek niewielki, ale zawsze status na Zachodzie zawdzięczają temu, że reprezentują potężny naród, państwo, posiadające wiele rakiet nuklearnych, naród, który podbił wiele innych narodów i wyciągnął z tego, jak każdy inny naród imperialny (z wyjątkiem chyba Mongołów, którzy przepadli z kretesem w pamięci historycznej świata) wielkie korzyści.

Powyższe nie jest bynajmniej nawoływaniem do niechęci do Rosjan. Byłoby to zresztą bezcelowe. Z osobistego i cudzego doświadczenia wiem, że przyjaźnie polsko-rosyjskie nigdy jeszcze tak bardzo nie kwitły. To „wspólne cierpienie” na pewno w tym pomaga. Ale gdy w ten sposób czynimy zadość swoim emocjonalnym i być może moralnym potrzebom, nie zapominajmy, że nie są one jednoznaczne z historycznym spojrzeniem na rzeczy. Możemy się sobie z uśmiechem rzucać na szyję, ale niedobrze byłoby, gdyby prowadziło to do zamącenia jasnego patrzenia na obecność historyczną Rosjan w Europie i świecie, i na korzyści z mocarstwowości. Innymi słowy, nie mylmy moralności z historią.

Nie chodzi również o to aby żądać od Rosjan jakichś „odszkodowań”. Nie dlatego, że się one, moralnie rzecz biorąc, nie należą, ale dlatego, że Rosjanie bardzo ściśle przestrzegają zasady nie mylenia historii z moralnością wtedy, gdy nie o nich chodzi i zupełnie im nie przychodzi do głowy płacenie odszkodowań jakimkolwiek narodom podbitym czy to przez carów, czy przez komisarzy. W numerze *Ogońka* z dn. 18-25 maja 1991 roku przeczytałam w redaktorskim artykule, że wolność można albo kupić, albo zawojować. *Tertium non datur*. Przypominam, że *Ogoniok* red. Witalego Koroticza jest uważany za jedno z czasopism, reprezentujących demokratyczną Rosję. Jeżeli zdaniem redaktorów od takich stwierdzeń należy zaczynać rozmowy o demokracji, łatwo jest zrozumieć, jak zapatrują się na sprawy odszkodowań ludzie z kręgu Alksinsa czy Kriuczkowa. Rosjanie patrzą na sprawę odszkodowań dla narodów podbitych tak, jak Polacy patrzą na sprawę odszkodowań dla Ukraińców.

Zdawanie sobie sprawy z powyższej sytuacji może parę rzeczy ułatwić. Jedną z nich jest jednak stosunek nie-Rosjan do innych nie-Rosjan. W przypadku Polaków powinno to pomóc w zrozumieniu, dlaczego Litwini, Ukraińcy i Białorusini bynajmniej nie uważają Polaków za wcielenie rycerskich cnót. W tym kontekście można by zadośćuczynić wyrażanemu często pragnieniu Litwinów, aby usłyszeć od Polaków, że odebranie Litwinom Wilna w 1920 roku było pomyłką polityczną (mówił o tym pięć lat później w czerwcowym wywiadzie dla *Kultury* prezydent Landsbergis).

Zdawanie sobie sprawy z różnicy pomiędzy sprawami osobistej moralności a historycznymi konsekwencjami statusu różnych państw i narodów powinno przecież urealistycznie poglądy Polaków na temat przyszłych stosunków polsko-rosyjskich. Mimo uprzejmych słów, wypowiedzianych pod adresem Polaków przez tak wielu rosyjskich demokratów (zwłaszcza emigrantów), Polska już dawno przestała odgrywać znaczącą rolę w rosyjskiej percepcji świata czy nawet układu sił w Europie. Przypominają mi o tym ciągle moi rosyjscy rozmówcy, którzy nie zdając sobie sprawy z moich polskich koneksji, traktują mnie jako po prostu

Amerykanke. Moje wieloletnie z nimi kontakty zaowocowały poglądem, że nie tylko nie istnieje wśród większości z nich nawet najmniejsze poczucie „winy” w stosunku do Polaków (większość zbywa przypomniania o deportacjach z 1940 uwaga, że przecież wszystkich deportowali...), ale wręcz przeciwnie, istnieje poczucie, jakkolwiek absurdalne z mojego punktu widzenia, że Polacy są „winni” wobec Rosjan. „Patriotyczni” Rosjanie np. wciąż oskarżają Polaków o niszczenie prawosławia. Myśląc moralność z historią jeszcze bardziej niż Polacy, sięgają do czasów unii brzeskiej, która i przez demokratycznych i przez szowinistycznych Rosjan postrzegana jest tak, jak przez Polaków są postrzegane najazdy krzyżackie. Będąc w czerwcu br. w Związku Sowieckim, spotkałam się z żywiołowym oskarżaniem Polaków o „odrywanie” od macierzy ziem białoruskich i ukraińskich przez szerzenie tam „polskiego” katolicyzmu nawet w czasach obecnych. Wydaje mi się, że liczenie na to, że demokratyczna Rosja będzie przyjaźnie nastawiona do Polaków jest przeżytkiem czasów jagiellońskich. Więż wspólnoty słowiańskiej, tak silnie odczuwana w stosunku do narodów prawosławnych, została niemal zupełnie zatarta w stosunku do Polaków.

Wydaje mi się, że stosunki polsko-rosyjskie w przyszłości będą się układały nie tak, jak by życzyli sobie tego Polacy (tzn. Rosja nie stanie się dla Polski rynkiem zbytu i źródłem surowców), lecz tak, jak będą życzyć sobie tego Rosjanie (którzy za wszelką cenę pragną odseparować się gospodarczo od tych małych kraików w Europie Wschodniej i sprzedawać swoją ropę krajom zachodnim, wschodnim, południowym, północnym — z niewyrażoną nadzieją być może, że kraiki te ulegną ostatecznej ruinie w rezultacie odseparowania od imperium). Te reformy, które są obecnie w Rosji dyskutowane, na pewno zignorują potrzeby krajów Europy Wschodniej i nastawią Rosję na kontakty z jednej strony z postindustrialnym obrzeżem Pacyfiku, a z drugiej z Zachodem. Należy mieć nadzieję, że sprawy te są rozumiane i znane przez ministrów Skubiszewskiego i Lewandowskiego i że model polityki wzorowany na szkółce niedzielnej nie stanie się permanentną cechą polskiej polityki zagranicznej i polskich decyzji gospodarczych. W tym kontekście jeszcze większej wagi nabiera umiejętność usatysfakcjonowania tych narodów i państw ościennych (Niemiec, Litwy, Czecho-Słowacji, Ukrainy, Białorusi), które są w Polsce reprezentowane przez narodowe mniejszości. Dobre stosunki z nimi są warte podtrzymywania nawet za cenę tego, co w przekonaniu polskich „patriotów” równa się ustępstwom.

Ewa M. THOMPSON

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

18.6.91

Zmarła w Warszawie w wieku 77 lat Lidia Kisielewska (z domu Hintz), żona Stefana Kisielewskiego.

22.6.91

Odnaczenia i awanse przyznane przez władze emigracyjne będą uznawane przez Polskę.

25.6.91

Polskie Radio rozpoczęło nadawanie półgodzinnej audycji w języku litewskim dla słuchaczy na Litwie. W najbliższym czasie będą również nadawane programy w językach białoruskim i ukraińskim.

30.6.91

W Warszawie, w Kościele Garnizonowym na Starym Mieście odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej pamięci Eileen Frances Short-Garlińskiej, Irlandki, uczestniczki obrony Stolicy w r. 1939 i Powstania Warszawskiego, żołnierza Armii Krajowej.

1.7.91

Sąd Wojewódzki w Łodzi przyznał przewodniczącemu łódzkiej „Solidarności” Andrzejowi Słowikowi odszkodowanie w wysokości 185 mln zł za uwięzienie go w grudniu 1981 r. P. Słowik domagał się 402 mln zł. *No comment.*

2.7.91

Zmarł w Warszawie prof. Władysław Chojnacki, historyk, dokumentalista, bibliograf. *Kultura* traci w nim jednego ze swych współpracowników.

3.7.91

Zmarł w Warszawie Stefan Treugutt, znany literaturoznawca i teatrolog.

10.7.91

Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat Włodzimierz Słobodnik, poeta, współtwórca grupy literackiej „Kwadryga”.

13.7.91

Mniejszości narodowe w Polsce: Ukraińcy — ok. 350 tys., Niemcy — 200-250 tys., Czesi i Słowacy — ok. 25 tys., Białorusini — 250 tys., Litwini — 25 tys.; mniejszości cygańska i żydowska liczą po 16 tys. osób. W województwie białostockim mieszka 2,5 tys. Tatarów. Są to dane szacunkowe, oparte na informacjach przekazywanych przez członków poszczególnych mniejszości. Wynika to z faktu, że w Polsce w ankietach i spisach ludności nie ma zapytania o narodowość.

20.7.91

Skandaliczna nominacja: dyrektorem generalnym Polskiej Agencji Prasowej został mianowany Jerzy Wysokiński, dotychczasowy dyrektor wydawnictwa

„Alfa”, które uzyskało smutną reputację stałego naruszania praw autorskich, nieprawdziwych informacji o pierwodruku książek, wydanych na Zachodzie a przedrukowywanych przez „Alfę” bez porozumienia się z ich wydawcami.

23.7.91

W Sądzie Wojewódzkim w Warszawie został zarejestrowany Ruch Społeczny „Nie” Jerzego Urbana.

25.7.91

Zmarł w Moskwie w wieku 98 lat Lazar Kaganowicz, ostatni członek ekipy stalinowskiej. Był on odpowiedzialny za kolektywizację wsi sowieckiej w latach 30-tych.

26.7.91

W galerii Kordegarda w Warszawie została otwarta wystawa 88 rycin Konstantego Brandla. We wrześniu br. zostanie ona przeniesiona do Krakowa, w październiku do Instytutu Polskiego w Paryżu, w listopadzie do Instytutu Kulturalnego w Londynie, natomiast w grudniu do Pragi Czeskiej do Polskiego Ośrodka Kulturalnego. Na otwarciu przemawiał Witold Leitgeber, z którego zbiorów pochodzą ryciny.

1.8.91

Nowa taryfa celna w Polsce przewiduje 10% cła od sprowadzanych zza granicy książek, nut, map i atlasów. Dotychczas były one całkowicie zwolnione z opłat celnych. Dyrektor Departamentu Taryfikacji Głównego Urzędu Celnego, Waław Skwarek, poinformował, że wszystkie książki zostały obłożone 10% cłem tj. również książki polskie drukowane za granicą. Dodał, że „nie przewiduje się żadnych ulg ani dla książek naukowych, ani dla książek dla dzieci, ani dla żadnych innych”. Na ulgi nie mogą więc liczyć ani Biblioteka Narodowa, ani Polska Akademia Nauk. Dowiadujemy się, że w ostatniej chwili zarządzenie to zostało odwołane. Należy mieć nadzieję, że urzędnik ponoszący odpowiedzialność za ten skandaliczny przepis zostanie ukarany. Dziwne jest, że z miejsca nie było reakcji na to zarządzenie ministrów Kultury i Sztuki oraz Edukacji Narodowej. ■ Republika Rosyjska formalnie uznała niepodległość Litwy. Został podpisany traktat przyjaźni przez prezydentów obu krajów tj. Borysa Jelcyna i Vytautasa Landsbergisa.

10.8.91

Zmarł w Skierniewicach na atak serca Tadeusz Nowak, lat 60, powieściopisarz i poeta.

11.8.91

Zmarł nagle Andrzej Łuczeńczyk, wybitny młody pisarz.

1.9.91

We wrześniu br. w sali łażienkowskiej Kordegardy otwarta została wystawa „Dwanaście kościołów w USA, 1956-1970” architekta Jerzego Szeptyckiego z Los Angeles, CA (USA), które zapoczątkowała pokazy polskich artystów plastyków zza granicy pod ogólnym hasłem „Jesteśmy”.

5.9.91

Zakład Współczesnej Kultury Artystycznej Instytutu Sztuki PAN organizuje w dniach 4-6 września br. w Pałacu Staszica w Warszawie (ul. Nowy Świat 72) konferencję naukową poświęconą polskiej kulturze emigracyjnej po II wojnie światowej (literatura, teatr, plastyka, film, muzyka).

## ZACHÓD — EMIGRACJA

26.3.91

Prezydentem Muzeum Polskiego w Chicago został dr Stefan Głowacki, znany chirurg i filantrop z Detroit. Jest on kolekcjonerem sztuki polskiej i fundatorem stypendium dla utalentowanych młodych artystów.

8.6.91

W Nowym Jorku odbyło się 49-te walne zebranie Polskiego Instytutu Naukowego. Do zarządu Instytutu wybrano prof. Piotra S. Wandycza z Yale Univ., dr Annę M. Cienciałę z Univ. of Kansas, dr. Paula Besta z Southern Connecticut Univ., p. Wandę Wolińską ze Sloane Kettering oraz dr. Józefa Wierczaka z City Univ. of New York.

10.6.91

Staraniem Konfraterni Artystów odbył się w Londynie, w sali POSK-u, wieczór autorski Józefa Garlińskiego, zorganizowany z okazji ukazania się jego siódmej książki w języku angielskim pt. *The Survival of Love* („Zwycięstwo miłości”). Wydawcą książki jest oksfordzki dom wydawniczy Basil Blackwell.

13.6.91

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się odczyt Anny Grzymisławskiej, dyrektora w polskim Ministerstwie Zdrowia, na temat „Sytuacja obecna w szpitalnictwie i w medycynie polskiej”. ■ 14 czerwca br. odbył się w Instytucie Polskim wieczór poetycki Krzysztofa Jeżewskiego z udziałem Zygmunta Błażyńskiego (recytacje) oraz Marico Terashi (fortepian).

18.6.91

W Sztokholmie i w Warszawie ogłoszono połączenie się dwóch linii lotniczych: PLL LOT i szwedzkiej LINJEFLYG, afiliowanej przy SAS. Utworzono nowe przedsiębiorstwo pod nazwą LINJELOT na zasadach każda ze stron po 50% udziału kapitału i odpowiedzialności. LINJELOT przejmie polską komunikację wewnętrzną i loty zagraniczne małego zasięgu tj. na razie Sztokholm-Gdańsk-Warszawa, Sztokholm-Szczecin i Gdańsk-Göteborg. Następnie przewidywane jest otwarcie linii Gdańsk-Malmö. Samoloty dostarczą LINJEFLYG (Fokker 28, a później prawdopodobnie Boeing), a personel będzie z LOT-u. Loty rozpoczną się w kwietniu 1992. ■ Na uniwersytecie Charles de Gaulle w Lille p. Dominique Quasnik obroniła pracę doktorską na temat „Le style vocal de l'opéra polonais aux XVIIIe et XIXe siècles”.

29.6.91

Niezrozumiała kampania oszczerstw w stosunku do Polonii australijskiej. Mianowicie w *Przeglądzie tygodniowym* z 26.05. br. i w tygodniku *Wprost* z 2.06. br. ukazały się korespondencje Włodzimierza Krzyżanowskiego przedstawiające Polonię australijską w krzywym zwierciadle. Redaktor *Tygodnika Polskiego* w Melbourne, Jerzy Grot-Kwaśniewski, ogłosił „List otwarty do prasy krajowej” z wyliczeniem wszystkich nieścisłości w korespondencji p. Krzyżanowskiego i przedstawieniem rzeczywiście imponującego dorobku

Polaków w Australii. List ten nie został zamieszczony przez prasę krajową. Australię w ostatnich latach odwiedziło szereg wybitnych przedstawicieli Polscy ze Stefanem Kisielewskim i Jackiem Fedorowiczem na czele. Miejmy nadzieję, że wystąpią oni z odpowiednimi sprostowaniami.

30.6.91

W Paryżu została odsłonięta tablica pamiątkowa ku czci Ignacego Paderewskiego. Tablica ta jest umieszczona na fasadzie domu, w którym Paderewski mieszkał od 1889 do 1906 roku tj. przy 94 Avenue Victor-Hugo, Paryż 16-ty. Została ona ufundowana przez Stowarzyszenie im. I. Paderewskiego, a odsłonięcia dokonał p. Jerzy Łukaszewski, ambasador RP we Francji.

1.7.91

W dorocznym sprawozdaniu organizacji „Kościół w potrzebie” („Aide à l'Eglise en Détresse”), zamieszczonym w Biuletynie tejże organizacji No 5 z 5 lipca br., podano informacje o pomocy udzielonej w roku 1990 krajom Europy Wschodniej. Ogółem wydatkowano na potrzeby Kościoła w Europie Wschodniej Dol. 23.355.358,00. Suma ta stanowi 40,25 % ogólnego budżetu tej organizacji. Z byłych krajów socjalistycznych nadeszło 2.525 próśb o pomoc, a zaspokojenie ich kosztowało 7mln dolarów. Liczba udzielonych dotacji była o 708 wyższa aniżeli w roku 1989. Oto niektóre pozycje: subwencje na kształcenie księży i zakonnic podwyższono z 3,1mln w 1989 r. do 4mln w 1990 r.; wysyłka książek i pomocy duszpasterskich wzrosła z 2,3 do 3,9mln dolarów, a pomoc dla mass mediów z 1,5 do 3,9mln dolarów. W Czechosłowacji np. mianowano nowych biskupów na wakujące miejsca w Episkopacie. Kiedy w drugiej połowie roku zwrócono Kościołowi część jego budynków, zaczęła się ich odbudowa. W tej dziedzinie pomoc organizacji „Kościół w potrzebie” została nieomal podwojona: z 1,7 do 3mln dolarów. Pomoc dla Kościoła w Związku Sowieckim wzrosła z 2,9 do 4,7mln dolarów. Podwyższono subsydia dla Ukrainy z 0,9mln do 1,8mln dolarów; dla Białorusi ze 108 tys. do 379.043,00 dolarów, a dla republik nadbałtyckich — Estonii, Litwy i Łotwy — z 259 tys. do 529.195,00 dolarów.

9.7.91

W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego, odbyło się spotkanie z delegacją Komisji Konstytucyjnej Senatu RP na temat „przygotowania nowej konstytucji”.

14.7.91

Prasa izraelska podaje, że Krzysztof Skubiszewski, minister Spraw Zagranicznych RP, przebywał w Iranie, negocjując zwiększenie wymiany gospodarczej. Polska jest zainteresowana irańską ropą naftową i gazem. Prasa podaje również, że Polska zamierza sprzedać Iranowi 1000 czołgów T-72.

1.8.91

Władysław Bartoszewski został odznaczony orderem Republiki Federalnej Niemiec — Wielkim Krzyżem Zasługi. Uroczystość wręczenia tego odznaczenia odbyła się w Wiedniu, gdzie prof. Bartoszewski piastuje godność ambasadora RP. Zwracała uwagę obecność Szymona Wiesenthala, kierownika Żydowskiego Centrum Dokumentacyjnego. ■ Zmarła w Londynie w wieku 82 lat Wanda Zbyszewska z domu Heybowicz, wdowa po Karolu Zbyszewskim.

1.8.91

Zmarł w Miami, FL (USA) w wieku 87 lat wybitny pisarz żydowski Izaak Bashevis Singer, laureat Literackiej Nagrody Nobla w 1978 roku. Pisał w języku jidisz, większość jego powieści i opowiadań przetłumaczono na język polski. ■ P. Marek Malicki, prezes Zarządu Głównego Kongresu Polonii kanadyjskiej oraz Stanisław Orłowski, przewodniczący Rady Polonii Wolnego Świata przebywali z wizytą w Izraelu. Wizyta ta została zaplanowana i przygotowana przez Kongres Żydowski w Kanadzie.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

W maju odbyło się spotkanie Krajowej Rady Amerykanów polskiego i żydowskiego pochodzenia, organizacji stworzonej przez Kongres Polonii Amerykańskiej i Komitet Żydów Amerykańskich w celu eliminowania animozji i wzajemnych oskarżeń, a podjęcia rzeczowej i rzeczywistej współpracy. ■ Amerykański reżyser polskiego pochodzenia Louis Yansen zrealizował film „MISPLACED”, który pokazano na kanale telewizji publicznej w czerwcu. Film został zakupiony przez kilka krajów europejskich, a jego fabuła pokazuje dość łatwą drogę rodziny imigranckiej z Polski w osiągnięciu stabilizacji i asymilacji w Stanach. Główną rolę gra Elżbieta Czyżewska. ■ W wydawnictwie Northwestern University, które wydało już kilka pozycji autorów rosyjskich i wschodnioeuropejskich, ukaże się w tłumaczeniu angielskim powieść „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego (przekł. D. J. Welsh) oraz antologia poezji ostatnich dwudziestu lat „Psucie zabawy ludożercom” (przekł. St. Barańczaka i Clare Covanagh). ■ W dniach 12-14 czerwca 1991 w Nowym Jorku obradowała Rada Dyrektorów Kongresu Polonii Amerykańskiej. Kongres wciąż wiele uwagi poświęca sprawom wewnętrznym Polski, a nie sprawom Polonii, w tym np. budowie polskiego lobby, współdziałaniu z innymi grupami etnicznymi czy wydobywaniu Polonii z jednej z ostatnich pozycji w społeczeństwie amerykańskim. Obecność polskich profesorów na najbardziej prestiżowych uniwersytetach, rola Miłosza czy Brzezińskiego nie są bowiem w stanie zmienić ogólnej sytuacji Polonii oraz jej postrzegania przez inne grupy etniczne. ■ W Zakładach Naukowych w Orchard Lake w stanie Michigan istnieje Muzeum Armii Krajowej, które gromadzi dokumenty i pamiątki dotyczące AK oraz Polskich Sił Zbrojnych. ■ Polonia detroicka w olbrzymim stopniu (tysiące dolarów) przyczyni się do odbudowy w Warszawie pomnika płk. Edwarda Housa, który — zainteresowany sprawami Polski przez Ignacego Paderewskiego — zwrócił uwagę ówczesnego prezydenta USA Wilsona na ten kraj, doprowadzając do sformułowania słynnego 14 punktu w planie odbudowy Europy po I wojnie światowej, podkreślającego konieczność odtworzenia Polski. ■ Amerykański sekre-

tarz stanu James Baker wezwał do udzielenia wszechstronnej pomocy technicznej i inwestycyjnej środkom masowego przekazu w Europie wschodniej; Baker wspominał też o konieczności szkolenia dotyczącego rozróżnienia ideologii i informacji. ■ World Teach — międzynarodowa organizacja działająca przy Harvard University w Massachusetts, zajmująca się naborem amerykańskich ochotników pragnących wykładać język angielski w krajach rozwijających się, wspólnie z Agencją Informacyjną USA realizuje program pod nazwą Teachers Opportunity in Poland. Różni się on od dotychczas realizowanych (w Chinach, Tajlandii, Kostaryce i Republice Południowej Afryki) m.in. tym, że kandydaci muszą mieć przynajmniej roczną praktykę w szkołach amerykańskich, po powrocie do kraju podjąć pracę nauczycielską oraz tym, że w wydatkach partycypują oprócz World Teach i Agencji Informacyjnej również rząd warszawski. ■ Polsko-Amerykański Fundusz Przedsiębiorczości (konceptcja Busha i Kongresu USA) w ciągu roku działalności (od 30 września 1990 r.) zatwierdził wydatki inwestycyjne w wysokości 66 milionów dolarów, podjął zobowiązania dotyczące dalszych 45 milionów i dynamizacji małych i średnich przedsiębiorstw. ■ Po półrocznych przygotowaniach 1 września zostanie otwarta w Warszawie szkoła dla budowlanych. Znaczna część sprzętu jest darem amerykańskich przedsiębiorstw budowlanych, a firma „Coca-cola” będzie przez 2 lata dawała pieniądze na pensje pracowników tej szkoły. W przygotowaniach uczestniczyły też związki zawodowe AFL-CIO i Solidarność. ■ Polski minister edukacji podziękował amerykańskiemu Korpusowi Pokoju za przysłanie do Polski prawie 200 nauczycieli języka angielskiego w ostatnich dwóch latach. Do Polski ma przybyć w przyszłym roku jeszcze 300 nauczycieli. ■ Pod koniec czerwca, po 52 latach przerwy, American Express, jedna z największych agencji podróży i kompanii finansowych na świecie, otworzyła w Warszawie swe biuro. ■ W St. Lawrence University (Canton, stan Nowy Jork) działa od 1989 r. specjalny Solidarity Project, którego celem jest wspomaganie krajów bloku sowieckiego w demokratycznych przeobrażeniach. Zebrano i wysłano do starannie wyselekcjonowanych instytucji w Polsce, Czechach, Słowacji, Rumunii i na Ukrainie około 100.000 książek, czasopism i pomocy naukowych.

Mariusz SZAJNERT

## KRONIKA KANADYJSKA

Na zebraniu 30 maja ukonstytuował się zarząd Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie: prezes — prof. J. Lityński, wiceprezesa — prof. H. Pappius, dyrektor biblioteki, i dr A. Jabłoński, przewodni-

czący Oddziału Ottawa, p. St. Latek — sekretarz, p. L. Kurcz — skarbnik, prof. B. Sharratt — przewodniczący Oddziału Toronto. ■ W dniach od 28 maja do 1 czerwca bawiły w Kanadzie, na zaproszenie przewodniczących obu izb parlamentarnych, delegacje parlamentarzystów państw Europy Wschodniej, w tym Polski. W grupie polskiej znajdowali się wicemarszałek Sejmu p. Krzyżanowska, senatorowie A. Celiński i K. Kozłowski, poseł Król oraz p. Sawicki, szef kancelarii Senatu i p. A. Szklennik, dyr. biura Senatu. Goście wysłuchali referatów na temat funkcjonowania różnych komitetów, instytucji parlamentarnych w Kanadzie itp. Grupa polska spotkała się w Toronto w konsulacie z przedstawicielami Polonii. ■ Wg szacunkowych danych Urzędu Statystycznego ludność Kanady wynosiła w marcu br. — 26.900.000, a w ostatnim powszechnym spisie z 1981 r. — 24.342.000, zaś w małym spisie z 1986 r. — 25.591.000. Bliższe dane dotyczące również grup etnicznych ogłoszone będą dopiero w następnym roku. ■ Polonijny Komitet Współpracy Technologicznej z Polską uzyskał cenny dar dla Akademii Rolniczej w Lublinie od Uniwersytetu Guelph, który uchodzi za najlepszą, najbardziej rozbudowaną uczelnię w naukach związanych z rolnictwem itp. Uniwersytet Guelph ofiarował księgozbiór: 500 kartonów prac naukowych z chemii organicznej, biochemii, mikrobiologii itp. oraz czasopism specjalistycznych. Dar przekazywali rektor, Brian Segal, dyr. Ośrodka Programów Międzynarodowych, prof. McKinnon i dyrektor biblioteki uniwersyteckiej, J. Black. Koszty transportu pokrywają pp. Jan Grzesło, prezes firmy „Prontex” i Brunon Siemiesz, wiceprezes „Seabridge International Shipping Inc”. Komitet Współpracy przygotowuje następny transport dla polskich uczelni, a mianowicie Canadian National Research Council. ■ Delegacja Kongresu Polonii Kanadyjskiej z prezesem Malickim bawiła na przełomie czerwca i lipca w Polsce z wizytą, podczas której przeprowadzono szereg rozmów z czynnikami rządowymi. Prez. Malicki ocenia pobyt jako owocny: poznano sytuację w kraju i omówiono możliwości współpracy. Uzgodniono, że KPK w granicach swych możliwości będzie popularyzował możliwości działania przedsiębiorstw zagranicznych w Polsce oraz będzie pośredniczył w przekazywaniu przez firmy kanadyjskie bezpłatnie sprzętu medycznego; uzgodniono także współpracę na odcinku oświatowym, m.in. wymianę podręczników i nauczycieli: angielskich dla Polski oraz polskich dla szkół polonijnych. ■ Zabiegi o zniesienie wiz kanadyjskich dla obywateli polskich zakończyły się niepowodzeniem. Dotyczy to zresztą obywateli wielu państw i ma na celu ochronę rynków pracy. ■ Zmiana na stanowisku ministra Imigracji umożliwiła, a może i spowodowała, zrewidowanie niektórych przepisów imigracyjnych oraz praktykę urzędów hamujących załatwianie zaległych wniosków o stały pobyt. W wyniku zorganizowanej akcji Kongresu Polonii Kanadyjskiej, organizacji zrzeszonych przedstawicieli rzeczników Polonii w parlamencie, a więc pos. Jesse Flisa i sen. Stanley'a Haidasza, sprawy osób kategorii *self exile*, które złożyły

wnioski o stały pobyt przed 31 sierpnia ub.r., będą załatwiane pozytywnie. Konsulaty w Buffalo i Detroit będą szybciej rozpatrywać wnioski i wystawiać wizeny pobytowe, gdyż personel konsularny zostanie zwiększony. Wszystkie wnioski będą załatwione do końca 1992 r. Do czasu ich załatwienia petenci mogą otrzymać tymczasowe pozwolenie na pracę oraz naukę języka angielskiego. Przepisy te wchodzi w życie w połowie lipca br. Osoby, które ubiegają się o stały pobyt w kategorii „uchodźców”, a których wnioski złożone przed kilku laty nie zostały rozpatrzone, mają opuścić Kanadę, gdyż obecnie nikt nie musi ze względów politycznych wyjeżdżać z Polski. W kategorii tej znajduje się sporo Polaków, którzy usadowili się tu na dobre i stworzyli rodziny. Zmianie uległy również przepisy imigracyjne odnośnie osób w wieku emerytalnym. I tak wszyscy stali mieszkańcy będą mogli sprowadzać rodziców, którzy osiągnęli 60 rok życia albo młodszych, ale niezdolnych do pracy. Dotychczas nie mieli tego prawa. Druga zmiana w kategorii emerytów udaremnia uzyskanie wiz imigracyjnych osobom posiadającym środki na samodzielne utrzymanie się. Te ostatnie przepisy weszły w życie 30 czerwca br. ■ Dr Edward Możejko, profesor literatury porównawczej w University of Alberta w Edmonton, został wybrany, spośród znacznej grupy slawistów jako *research fellow in residence* na uniwersytecie w Sapporo. Prof. Możejko jest redaktorem *Canadian Slavonic Papers*, oficjalnej publikacji naukowej kanadyjskich slawistów. Ostatni tom *Canadian Review of Comparative Literature* jest w całości poświęcony literaturze o „mniejszym zasięgu” (*Canadian Literature of Lesser Diffusion*) i zawiera referaty z konferencji, która odbyła się w kwietniu 1988 na University of Alberta. Prof. Możejko w zwięzłym referacie, przedstawiając „polską literaturę w Kanadzie”, wywodzi, iż w Kanadzie, w odróżnieniu od USA, twórczość grup etnicznych, autorów innych aniżeli anglosaskiego i francuskiego pochodzenia, może być i jest zarówno narodowa jak i kanadyjska. Prof. Możejko charakteryzuje prozę, w której przeważają różne formy pamiętnikarstwa i wspomnień, wysoko oceniając twórczość poetów polskich w Kanadzie. ■ Prof. Śmieja, od 1969 r. profesor zwyczajny hispanistyki na University of Western Ontario w London, osiągnął w ostatnim roku akademickim wiek emerytalny i wobec tego zakończył pełne normalne zajęcia. Ale tylko pełne i obowiązkowe. Senat bowiem obdarzył go tytułem *professor emeritus*, przydzielając mu gabinet i pomoc techniczną wraz z przywilejem prowadzenia wykładów wg własnego uznania. Florian Śmieja należy do tych nielicznych polskich profesorów, którzy zaangażowali się również w życie Polonii. Obecnie rozpoczyna wykłady na Uniwersytecie Wrocławskim (filologia romańska), a w semestrze zimowym o teatrze hiszpańskim. Następnie wraca do London, gdzie będzie prowadził wykłady dla magistrów hispanistyki. ■ Wrocławska Akademia Ekonomiczna zaprosiła wykładowców Sheridan College (Toronto) na wykłady i konsultacje. Udaje się tam czterech wykładowców ekonomii, a towarzyszy im dr Ewa Stachniuk, wykładowczyni na

wydziale języków obcych tej uczelni. Kanadyjczycy przeprowadzą konsultacje z polskimi wykładowcami, studentami i przedstawicielami prywatnych przedsiębiorstw, zapoznają się z możliwościami inwestycji kanadyjskich itp. Biblioteka Akademii otrzymała już pokaźną przesyłkę książek, raportów i przezroczy.

Toronto, 20.7.1991

B. H.

## KRONIKA NORWESKA

Ambasadorem RP w Oslo został p. Lech Sokół, który pracował poprzednio w Instytucie Sztuki PAN, a ostatnio był dziekanem Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Jednym z najbliższych zadań ambasadora RP będzie sfinalizowanie umowy dotyczącej zakupu gazu i ropy naftowej. ■ 11 czerwca br. premier Norwegii, p. Gro Harlem Bruntland, odpowiedzialna w ONZ za sprawę ochrony środowiska naturalnego, zaproponowała zredukowanie długu polskiego o 3,1 mld dolarów. W zamian Polska ma zobowiązać się do zainwestowania powyższej kwoty w oczyszczanie ścieków, filtry i inne tego typu urządzenia. Projekt ten jest związany z zawartym w 1989 i rozszerzonym w 1991 r. polsko-norweskim porozumieniem w sprawie współpracy w dziedzinie ochrony środowiska. Obejmuje ono m.in. przeszkolenie około siedmiuset polskich inżynierów, norweską pomoc przy wdrażaniu nowoczesnych urządzeń oczyszczania ścieków i gazów oraz zbieraniu danych do dalszych badań i analiz. Obie strony postanowiły utworzyć polsko-norweskimi komitet sterujący. ■ 15 czerwca br. w Oslo odbyło się po raz trzeci zakończenie roku szkolnego w polskiej szkole sobotniej im. Jana Pawła II. Wśród gości był po raz pierwszy ambasador RP. Od chwili powstania tej szkoły jej kierownikiem jest p. Zbigniew Tyszkowski. W minionym roku szkolnym do szkoły uczęszczało około 120 dzieci. ■ Prasa norweska podała, że Michał Butko, pracownik ambasady sowieckiej w Oslo, zwrócił się do władz norweskich o azyl polityczny. Butko nie miał statusu dyplomaty. Oficjalnie był tylko korespondentem gazety *Raboczaja Trybuna*, a faktycznie rezydentem KGB. Miał on przekazać kontrwywiadowi norweskemu informacje na temat sieci wywiadu sowieckiego w Norwegii. Podano również, że równocześnie poprosił o azyl tłumacz w biurze radcy handlowego ambasady ZSSR. ■ Utworzono w Oslo polski klub polityczny. Jego zadaniem jest prowadzenie akcji informacyjnej wśród norweskiej Polonii. W pierwszym rządzie Klub zajmie się koordynacją kampanii wyborczej do Sejmu i Senatu w Polsce. Zabiega on o utworzenie na terenie Norwegii kilku komisji wyborczych. ■ Od 23 do 27 czerwca br. odbywał się w Oslo 30-ty kongres Międzynarodowej Organizacji Władz Lokalnych. Uczestniczyło w nim około 1700 osób z 86 krajów świata. Polskę reprezentowała 4-osobowa delegacja z ministrem do Spraw Samorządów, Piotrem Kornackim, na czele. Dr Błaszczak, dyrektor Instytutu Ochrony Środowiska, wygłosił referat o stanie wód w Polsce. Obrady dotyczyły trzech głównych tematów: ochrony środowiska, służby zdrowia i stylu życia.

Paweł GAJOWNICZEK

## FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

rozpoczęła swoją działalność w lipcu 1990 r. Do dzisiaj FUNDACJA otrzymała w formie darów na rzecz bibliotek 150.278 egz. książek i pism od kilkudziesięciu instytucji i wydawnictw. Z tego blisko 100.000 egz. zostało już rozesłanych nieodpłatnie do ponad 1.200 bibliotek w kraju i kilkunastu za granicą.

Środki finansowe, dzięki którym jest możliwe prowadzenie działalności statutowej pochodzą z darów na rzecz FUNDACJI. Nieodpłatne rozsyłanie książek do bibliotek jest kontynuowane.

Prezesem FUNDACJI jest Jerzy Giedroyc, wiceprezesem Irena Lasota, przewodniczącą Rady Programowej — Anna Radziwiłł.

Dyrektorem FUNDACJI jest Tomasz Cyngot, wicedyrektorem — Marek Krawczyk.

FUNDACJA potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek przekazanych w lipcu br. Dziękujemy:

Młodzieży LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO W KLIMONTOWIE za	— 300.000 zł.
Dyrekcji MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ W SIEMIENOWICACH za	— 80.000 zł.
IDEE (Instytutowi na Rzecz Demokracji w Europie Wschodniej) za	— 10.000 \$ US
Spółce ALFABET-O za	— 35.000.000 zł.

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM  
PBK III/Oddział w Warszawie  
nr konta: 370015-975148-132-3

●  
UWAGA: Podajemy NOWY adres i numer telefonu:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,  
ul. Marszałkowska 74,  
00-524 Warszawa,  
tel. 21 70 75

Listy do Redakcji

Sydney, 3 sierpnia 1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem agnostykiem. Nie mam żadnej znajomości teologii i nie interesuje mnie historia Kościoła. Mam jednak świadomość znaczenia, jakie spełnia religia w życiu większości ludzi. Dlatego z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością zawsze czytam wszystkie artykuły i eseje Antoniego Pospieszalskiego, które ukazują się w *Kulturze*, w rubryce „O religii bez namaszczenia”.

Jest to człowiek religijny, wykazujący miłość i szacunek dla Kościoła, a w szczególności troskę o jego rozwój. Z wielką znajomością tematu i zrozumieniem ważności religii dla człowieka w ogóle i roli, jaką spełnia Kościół w Polsce, omawia Pospieszalski te trudne i kontrowersyjne sprawy. Ale czyni to w sposób wyjątkowy, rzadko spotykany w polskiej publicystyce na tematy religii. Z perspektywy wielu lat życia i pracy w Wielkiej Brytanii — kraju pluralizmu i tolerancji — nie waha się krytykować praktyki czy proklamacji i aktów Kościoła, których w nowoczesnym świecie jesteśmy świadkami. Co więcej — potrafi on także wypowiedzieć słowa krytyki wobec „naszego” Papieża, tam, gdzie nie zgadza się z Jego wypowiedziami lub polityką. Chciałbym wiedzieć, ilu prawdziwych Polaków katolików potrafiłoby się zdobyć na równie niezależną postawę.

Niechże ten krótki list będzie hołdem dla Antoniego Pospieszalskiego i podobnych mu ludzi. Niechaj będzie także podziękowaniem dla *Kultury* za udostępnianie tego rodzaju publicystyki.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia

Jerzy BONIECKI

●  
Genewa, 19 lipca 1991 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Sądząc, że nie jest rzeczą obojętną jakie ziemie wchodzą dzisiaj w skład Rzeczypospolitej Polskiej, pozwalam sobie nawiązać do listu pana Tomasza Mianowicza w Nr 7/8 1991 *Kultury*.

Oczywiście, że skrawek przedwojennej Saksonii (Bogatynia) należy dzisiaj do Polski. Jest to część południowych Łużyc, które — wraz z Budziszynem — należą nadal do Saksonii.

Historyczną zachodnią granicą Śląska były rzeki Bóbr i Kwisa (bądź Kwisza). Tylko księstwo Żegańskie (Sagan) wybiegało „półwyspem” na zachód. Całe wschodnie Łużyce należą dzisiaj do Polski, aż po Nysę, która

nie darmo nazywa się Łużycką (w odróżnieniu od Nysy Śląskiej).

Gdzieś w połowie 19 w. (dokładnej daty nie sprawdzałem) rząd pruski przyłączył resztę południowych Łużyc — ze Zgorzelcem — wybiegającą długim klinem na zachód daleko poza Sprewę, do prowincji Śląskiej. Północne Łużyce wchodziły w skład Brandenburgii.

Historyczne Łużyce należały przez długi okres czasu, wraz ze Śląskiem, do Korony Czeskiej.

Zainteresowanym polecam Szkolny Atlas Historyczny Wład. Semkowicza (Lwów-Warszawa 1932), ale przede wszystkim Grosser Historischer Weltatlas, II und III Teil, Monachium 1957.

Z najgłębszym szacunkiem

Krzysztof GÓRSKI

Malmö, 18. 07. 1991 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Czesława Miłosza, *Kultura* nr 7/8, 1991, jest w tonie i słowach jak najbardziej wyważony. I nikogo też nie uraża. Wylewne okazywanie wiary, jak by to chciał p. J.M. Bocheński w komentarzu, jest tylko ksenofobią i bardzo płytką wiarą w Boga.

Prawdą jest, że księża zajęli miejsca pierwszych sekretarzy byłej partii komunistycznej.

Dalej straszy się wiernych piekłem. Jeśli już nic nie jest i nie będzie w stanie zmienić naszych bogobojnych obrzędów, to staniemy się ośrodkiem zainteresowania turystów jako duży skansen w środku Europy.

Z wyrazami szacunku

Jerzy JÓŻWICKI

Edmonton 14.7.1991

Szanowny Panie Redaktorze!

Całkowicie popieram stanowisko M. Poleskiego (*Kultura*, 5/524 str. 89-93) sugerujące wydatne zmniejszenie liczby ministerstw w Polsce. W dodatku do argumentów podanych przez niego dodam walor mniejszej grupy współdecydującej, co pozwala na bardziej rzeczowe i odformalizowane działanie bardzo utrudnione w większych grupach, w których sprawy organizacyjne a nie merytoryczne nieomal nieuchronnie wysuwają się na czoło. Przywódcy despotyczni mogą sobie pozwolić na większą grupę, bo i tak nikt w niej nie ośmiela się im sprzeciwić, ale chcąc mieć w Polsce demokrację także i na górze trzeba zapewnić warunki autentycznej pracy zespołowej, co jest niemal niemożliwe w większych grupach tracących nieraz sporo czasu i wysiłku na popisy krasomówcze poszczególnych członków, misterne intrzygi, rozgrywki między poszczególnymi koalicjami osób i interesów.

Reforma rządu powinna iść w parze z intensywnym szkoleniem kadry administracyjnej na wszystkich szczeblach. Wprawdzie powołano do życia Krajową Szkołę Administracji Państwowej, ale jeszcze nie widać jakichś

wyraźnych wyników. Obawiam się, że aspekt prawniczo-formalistyczny, raczej stonowany w nowoczesnym szkoleniu na rzecz szeroko pojętego zarządzania, może w Polsce ciągle jeszcze przeważać ze szkoda dla wartości szkolenia. Mając wieloletni dorobek w studiach i szkoleniu na polu organizacyjnym zgłosiłem swojego czasu gotowość do pomocy w dziedzinie podnoszenia poziomu kadr samorządu terytorialnego, a nawet opracowałem odpowiedni tekst szkoleniowy oparty na analizie konkretnych przypadków. Okazało się, że nie jestem potrzebny bo szkoli się tylko w wąskich specjalizacjach metodą „pożarową”, natomiast nie ma zrozumienia i potrzeby szkolenia w szeroko pojętych umiejętnościach kierowniczo-organizacyjnych. Jest w tym wszystkim jakieś zasadnicze nieporozumienie, bo przecież wąskie specjalizacje nie pomogą jeśli ludzie na stanowiskach kierowniczych nie nabędą podstaw elementarnej kultury organizacyjnej, opartej na umiejętnym podejmowaniu decyzji, umiejętnym zgraniu ludzi i zadań w spójne całości, dawaniu dobrego przykładu od góry do samego dołu, elementarnej życzliwości i odpowiedzialności. Propaguje się na przykład w Polsce skomplikowane testy doboru ludzi, a jednocześnie nie docenia się faktu, że można ludzi po prostu nauczyć zasad sprawnej organizacji. Istnieje mnóstwo książek w tej dziedzinie na Zachodzie a nawet i w Polsce (sam jestem jednym z autorów w tej dziedzinie) bardzo pomocnych w szkoleniu. Opracowałem między innymi po polsku zbiór konkretnych przypadków organizacyjnych aby moim ewentualnym kursantom pokazać jak można je konstruować samemu w oparciu o własne doświadczenie, a następnie odgrywać w grupie szkoleniowej. To podejście jest powszechnie obecnie stosowane w zachodnim szkoleniu kierowniczym. Chodzi nie o formalistyczne wdrażanie szkolonym przyszłym lub obecnym kierownikom jakichś abstrakcyjnych zasad, a przede wszystkim o uświadomienie im szerokiego zakresu różnych rozwiązań, przed którymi oni stoją w praktyce codziennej.

Gospodarka rynkowa wymaga państwa skierowanego twarzą do społeczno-gospodarczej rzeczywistości, a nie sztywnych biurokratów wiedzących wszystko lepiej od „szarych” ludzi, apodyktycznie narzucających innym swoją wolę, bezwzględnie manipulujących społeczeństwem (pisałem o tym obszernie w *The Self-Defeating Organization*, 1986). Urzędnik państwowy nie miał w Polsce dobrej marki także i przed komunizmem, a w PRL uosabiał gwałt na zniewolonym społeczeństwie. Trudno zrozumieć naiwność przywódców, którym wydawało się, że przywrócenie demokracji niemal automatycznie uczyni niemal wszystkich dobrymi obywatelami. Wystarczyło zaś zobaczyć jak nawet w nowych warunkach obywatele byli i są źle traktowani przez instytucje państwowe (choćby między innymi wyczekiwanie w długich kolejkach o byle co, podczas gdy na Zachodzie załatwiamy takie sprawy bez trudu pocztą), aby nie dziwić się znacznej bierności obywatelskiej, a nawet wyraźnemu rozczarowaniu z nowej władzy, która tyle obiecywała, a w życiu codziennym jest faktycznie niestyczna z przeciętnym obywatelem.

Oczywiście, można i trzeba szukać lepszych niż dotąd rozwiązań strukturalnych, ale poza tym trzeba starannie szkolić kadrę kierowniczą centralnej władzy państwowej, samorządów terytorialnych, spółdzielni i innych przedsiębiorstw społecznych oraz oczywiście przedsiębiorstw prywatnych. Napisałem w tej sprawie szereg memoriałów do odpowiednich władz, ale poza zdawkowymi pokwitowaniami mojej dobrej woli nic konkretnego z tego nie wyszło. Po części jest to wynikiem braku dostatecznej dobrej woli ze strony krajowych kolegów po fachu, którzy faktycznie nie spieszą się z jakąkolwiek autentyczną współpracą, chyba że chodzi o ich własne wyjazdy zagraniczne.

Z poważaniem

Aleksander Jan MATEJKO



## WYJAŚNIENIE PEN CLUBU

Czujemy się w obowiązku sprostować wiadomości na temat PEN Clubu podczas stanu wojennego podane w „Roczniku Literackim 1983” (PIW, Warszawa, 1991) oraz w studium Jakuba Karpińskiego pt. „Dziwna wojna” (Instytut Literacki, Paryż, 1990).

Na str. 129 tego studium czytamy, że po rozwiązaniu prawowitego zarządu PEN Clubu i powołaniu przez władze stanu wojennego „tymczasowego — komisarycznego — zarządu złożonego z osób nie będących członkami PEN Clubu”, Polski PEN Club „istniał następnie pod zarządem komisarycznym, ale zarząd wstrzymywał się od organizowania działań widocznych na zewnątrz”.

Fakty są jednakże następujące:

1. Polski PEN Club nigdy nie istniał „pod zarządem komisarycznym”, gdyż zaraz po rozwiązaniu prawowitego Zarządu został na jego wniosek uspijony (forma zawieszenia przewidziana na tego rodzaju okoliczności) przez Międzynarodową Federację PEN. Stan uspienia zakończył się dopiero w pięć lat później, z chwilą zwołania ogólnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego 19 września 1988, które zresztą wybrało ponownie zarząd rozwiązany w 1983 roku przez ówczesne władze administracyjne.

2. Do działalności pod nazwą PEN Clubu uprawnione są jedynie centra przyjęte w poczet Federacji PEN. Rozwiązanie legalnie wybranego zarządu przez urzędy administracyjne — i następujące w rezultacie tego aktu przemocy uspienie centrum — uprawnienia takie odbiera. Zwrot o „wstrzymaniu się przez zarząd komisaryczny od organizowania działań widocznych na zewnątrz” nie uwzględnia faktu, że to administracyjno-represyjne ciało działań takich podejmować nie mogło.

3. Do ogłoszenia sprostowania skłania nas także i to, że prawowity zarząd Polskiego PEN Clubu prowadził — również po jego rozwiązaniu — regularną działalność opiekuńczo-charytatywną. Objęci nią byli m.in. internowani (w 1982 roku było wśród nich ok. dwudziestu członków PEN) i ich rodziny. Regularne były też bliskie związki zarządu z władzami Federacji PEN i działającym przy nim Komitecie do Spraw Pisarzy Uwięzionych (*Writers in Prison Committee*). Do pamiętnych kronik federacji należy wreszcie kilkadziesiąt PEN Clubowych spotkań, które w Jaworzu i Darłównu zorganizowali nasi internowani koledzy. Zdumienie budzi więc samo już nawet zdanie o „istnieniu PEN Clubu pod zarządem komisarycznym”.

4. Władze administracyjne rozwiązały zarząd PEN Clubu 19 sierpnia 1983 (pismo Urzędu m.st. Warszawy, S.A.III-6015/106/83) nie zaś 24 sierpnia 1983, jak podano w „Dziwnej wojnie”.

Wdzięczni będziemy autorowi za stosowne korektury.

Szczególnie przykra, z uwagi na charakter publikacji, jest jednakże bałamutna nota na ten sam temat w „Roczniku Literackim 1983”.

W pomieszczonym tam „Diariuszu życia literackiego” (str. 759-794) zabrakło wzmianki o administracyjnym rozwiązaniu Zarządu Polskiego PEN Clubu. Znalazły się natomiast, pod datą 30 sierpnia, na str. 783, oznajmienia, że Polski PEN Club „wznowił statutową działalność” i że komisaryczny zarząd „będzie kierował pracami tego stowarzyszenia”. Jak wszystkim zainteresowanym wiadomo, są to stwierdzenia kłamliwe. O prawdziwym stanie rzeczy napisaliśmy wyżej.

Zarząd Polskiego PEN CLUBU

## NAGRODY

Nagrody redakcji *Polityki* w dziedzinie najnowszej historii Polski otrzymali Krystyna Kersten za książkę „Jałta w polskiej perspektywie” (Aneks i Nowa), Marta Fik za książkę „Kultura polska po Jałcie. Kronika lat 1944-1981” (Polonia), Maciej Kozłowski za książkę „Między Sanem a Zbruczem” (Znak), Włodzimierz Borodziej za książkę „Od Poczdamu do Szklarskiej Poręby” (Aneks), M.K. Kamiński za książkę „Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne 1945-1948” (PWN), Barbara Skarga za książkę „Po wyzoleniu” (W Drodze) — książka ta ukazała się w 1985 roku w Bibliotece *Kultury*, autorka użyła pseudonimu Wiktoria Kraśniewska.

Znana poetka, Wisława Szymborska, otrzymała nagrodę im. Goethego. Nagroda wynosi 50 tys. marek.

Nagrody miesięcznika *Literatura na Świecie* w jubileuszowym 20-tym roku działalności zostały przyznane: Jerzemu Pomianowskiemu za przekłady z języka rosyjskiego — ze specjalnym uwzględnieniem przekładu „Archipelagu GUŁ-ag” Aleksandra Sołżenicyna i za tłumaczenie prozy Izaaka Babela; Elżbiecie Komarnickiej za „Mazurek dla dwóch nieboszczyków” Camilo Jose Cela, laureata Literackiej Nagrody Nobla 1989 roku; Oskarowi Hedemannowi za przekłady Ferdinanda Céline’a.

Jury nagrody pisarskiej Polskiej Fundacji Kulturalnej im. Prezydenta Edwarda Raczyńskiego w Londynie przyznało doroczną nagrodę za najlepszą książkę historyczną opublikowaną w 1990 r. Stanisławowi Niciejowi za pracę p. „Cmentarz obrońców Lwowa”, przygotowaną do druku przez wyd. Ossolineum.

Nagrodę im. Franciszka Skowry, przyznaną za prace naukowe powstające w środowisku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, otrzymali w bież. roku: Ks. Piotr Taras za pracę „Polonia w Detroit” oraz Ks. Antoni Dembiński za pracę „Ustawodawstwo karne rzymskich cesarzy chrześcijańskich w sprawach religijnych”.

# WAWEL

## PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:  
— Literatura piękna i fachowa,  
— Albumy, plakaty, pamiątki,  
— Książki antykwaryczne.  
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.  
Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 3<sup>me</sup> trimestre 1991.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 4274-1991

# KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC  
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04  
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1991</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 12,00	\$ A. 70,00	\$ A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	Flh 20,00	Flh 100,00	Flh 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....	\$ can. 12,00	\$ can. 65,00	\$ can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84 .....	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 11533 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 4882346 .....	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492 .....	\$ US 10,00	\$ US 55,00	\$ US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241 .....	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 464 — AGATA TUSZYŃSKA

### ROSJANIE W WARSZAWIE

Migawki spod zaboru rosyjskiego  
w okresie Powstania Styczniowego

Str. 128.

Cena F. 70,00.

TOM 466 — JAKUB KAPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

### DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury” należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu”, „Porcja wolności”, „Krótkie śpięcie”, „Płonie komitet”.

Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: „*Solidarność*” przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981-1982; Pierwszy rok stanu wojennego. 1983-1984: *Policja i opozycja*.

Str. 260.

Cena F. 80,00.

TOM 469 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Marek Zieliński: *Lekcja historii*; Bogusław Leitgeber: *Europejskie tło narodzin Akademii Krakowskiej*; Bernarda Tendyra: *Władysław Sikorski w oczach Brytyjczyków*; Leszek Brzoza: *Piłsudczycy na emigracji*; P.R. Magocsi: *Ukraińcy Galicji pod rządami Habsburgów i Sowietów*; Adam Ciołkosz: *Raport z okupowanej Polski* (opr. Andrzej Friszke); Jerzy Polaczek: *Żołnierze AK w obozach Maryjskiej ASSR*; Józef Mirski: *Kościół katolicki na Białorusi*; Tadeusz Wyrwa: *Losy wywiadu polskiego we Francji*; Benedykt Heydenkorn: *Bractwo ukraińskich mesjanistów*; Andrzej Paczkowski: „*Izolacja*” Prymasa Wyszyńskiego; Witold Ptasznik: *Legia Oficerska. Z dziejów zapomnianego oddziału Wojska Polskiego na Bliskim Wschodzie*; Hubert Łaszkiwicz: *Polacy w Brześciu* oraz bogaty dział LISTÓW DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.